

GALA W ZAMKU KRÓLEWSKIM

**Strażnik Pamięci 2019
– wręczenie nagród**



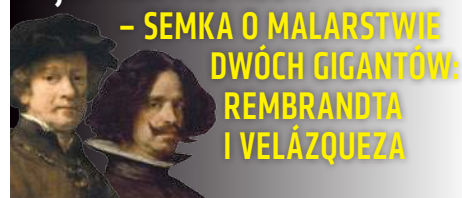
**PiS ostatnio się pogubił
– ocenia Ziemkiewicz**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 46/348 12-17 LISTOPADA 2019

POJEDYNEK MISTRZÓW



**– SEMKA O MALARSTWIE
DWÓCH GIGANTÓW:
REMBRANDTA
I VELÁZQUEZA**

**Czy niemiecka AfD
zagroza Polsce?**

Duda już wystartował

**JAK PREZYDENT
WALCZY
O DRUGĄ KADENCJĘ**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 71 tys. egzemplarzy

Dbamy o lokalne społeczności

Szkoły, szpitale, nowoczesne budynki bez barier architektonicznych, zrewitalizowane zakątki polskich miasteczek, które stają się ich wizytówką. Właśnie takie inwestycje mają szczególne znaczenie dla społeczności lokalnych. W ich finansowaniu pomaga Bank Gospodarstwa Krajowego.

Realizowanie dużych inwestycji, które zmieniają rzeczywistość gospodarczą Polski - z tym kojarzą się działania BGK. Jednym z priorytetów państwowego banku rozwoju jest także poprawa jakości życia Polaków. Zaangażowanie finansowe BGK sprawia, że nie tylko wielkie miasta, ale także małe miejscowości, mają szansę na rozwój.

Długo oczekiwane inwestycje

Sposobem na realizację inwestycji ważnych dla lokalnych społeczności są niestandardowe rozwiązania finansowe, jak partnerstwo między podmiotami publicznymi i prywatnymi (PPP). Taka forma wsparcia umożliwi powstanie szpitala powiatowego w Żywcu - jednej z najbardziej wyczekiwanych inwestycji w regionie. BGK udzielił finansowania zarówno na jego budowę, jak i zakup wyposażenia. To pierwsza inwestycja w ochronie zdrowia na taką skalę w formule PPP w Polsce.

Doświadczenia wyniesione m.in. z Żywca zostały wykorzystane



przy wypracowaniu sposobu finansowania przebudowy liceum ogólnokształcącego w Piastowie. Już niebawem młodzie

Budowa szpitala, szkoły, ośrodka kultury - te przykłady pokazują, że także małe inwestycje mogą mieć ogromne znaczenie.

ludzie będą mogli się uczyć w komfortowym, zmodernizowanym budynku. Projekt uwzględnia nowoczesną bibliotekę, salę gimnastyczną i boisko. Szkoła długo czekała na inwestycję - jej budynki mają prawie 80 lat.

Rewitalizacja miast i miasteczek

Równie istotne jest tworzenie centrów życia kulturalnego, inkubatorów przedsiębiorczości, czy miejsc integrujących lokalną społeczność. Ciekawym przykładem rewitalizacji jest inwestycja w gminie Koźmin Wielkopolski. W zaniedbanych budynkach przedwojennej gazowni powstał tętniący życiem ośrodek kultury. Przedsięwzięcie zostało zrealizowane dzięki unijnej pożyczce JESSICA, której udzielił Bank Gospodarstwa Krajowego.

Budowa szpitala, szkoły, ośrodka kultury - te przykłady pokazują, że także małe inwestycje mogą mieć ogromne znaczenie dla lokalnych społeczności.

Karolina Podlewska



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Siła Andrzeja Dudy

Wszystkie badania opinii publicznej wskazują, że obecny prezydent jest zdecydowanym faworytem w najbliższych wyborach prezydenckich. Jednak, jak tyle razy można się było przekonać, wyborów nie wygrywa się w sondażach, ale przy urnie wyborczej. Poza tym pewna i stabilna przewaga prezydenta nad potencjalnymi konkurentami nie jest miażdżąca i nie przekracza granicy 50 proc. poparcia. Jak zmienne mogą być sympatie polityczne, pokazał doskonale przypadek Bronisława Komorowskiego – mimo wysokiego poparcia na początku kampanii były już prezydent systematycznie je tracił.

Oczywiście z kilku powodów trudno przyjąć, żeby historia miała się powtórzyć. Po pierwsze Andrzej Duda, inaczej niż prezydent Komorowski, dobrze się czuje w otoczeniu zwykłych Polaków. Umie nawiązać z nimi kontakt, jest naturalny i umie słuchać. Pod tym względem na pewno nie zmarnował czasu: bez przerwy niemal – o czym w Warszawie albo się nie wie, albo się tego nie dostrzega – odwiedzał średnie i małe miejsco-

wości, spotykając się z wyborcami. Ta inwestycja czasu i wysiłku powinna procentować. Inaczej też niż Komorowski Andrzej Duda zachował w sobie dynamikę, nie widać po nim takiego zmęczenia i wypalenia, jak było to w przypadku poprzedniej głowy państwa.

Nie znaczy to jednak, że obecny prezydent ma wygraną w kieszeni. W ciągu tych kilku lat sprawowania urzędu nie udało mu się stworzyć wokół siebie silnego zaplecza politycznego i intelektualnego. O ile początki były obiecujące, o tyle później można było odnieść wrażenie pewnego marazmu. Z jednej strony prezydent potrafił zdobyć się na zawetowanie dwóch z trzech przygotowanych przez PiS ustaw reformujących sądy, jednak później już samodzielnej roli w takim stopniu nie odgrywał. Trudno uznać, żeby siłą strategiczną dysponowała obecna kancelaria głowy państwa. Poza wyjątkami są to raczej urzędnicy, a nie wizjonerzy. Te ograniczenia widać było wtedy, gdy prezydent próbował zrealizować własną inicjatywę referendum konstytucyjnego. Projekt, podobnie jak py-

tania, które chciano zadać, okazał się politycznym niewypałem.

Obok dobrego kontaktu ze zwykłymi wyborcami drugą najmocniejszą stroną prezydenta jest jego działalność międzynarodowa. Spotkania z prezydentem USA, zaangażowanie w militarne i gospodarcze zbliżenie z największym supermocarstwem, doprowadzenie do zniesienia wiz dla Polaków – to na pewno można zaliczyć do sukcesów.

Prezydent Duda będzie też korzystał z kłopotów opozycji. Chociaż od dłuższego czasu mało kto wierzył w powrót Donalda Tuska do polskiej polityki i w jego start w kampanii prezydenckiej, ostateczne ogłoszenie tej decyzji to dla prezydenta Dudy dobra wiadomość. Żaden z potencjalnych pozostałych konkurentów nie wydaje się stanowić dla prezydenta Dudy rzeczywistego zagrożenia. Logika wyborów sprawia, że najprawdopodobniej każda z dużych partii opozycyjnych – PO, PSL i Lewica – wystawi swojego kandydata. To zaś oznacza, że zapewne w drugiej turze Andrzej Duda zmierzy się z kandydatem PO: w pierwszej turze wyborów elektoraty partyjne będą zapewne wierne kandydatom wskazanym przez swoje partie. Trudno sobie wyobrazić, żeby czy to Władysław Kosiniak-Kamysz, czy Robert Biedroń albo Adrian Zandberg nadrobili stratę do PO i weszli do drugiej tury. Najprawdopodobniej zatem konkurentką dla obecnego prezydenta będzie Małgorzata Kidawa-Błońska – osoba budząca powszechną sympatię, jednak bez wielkich osiągnięć politycznych na koncie.

Gdyby oceniać szanse poszczególnych kandydatów z dzisiejszej perspektywy, to Andrzej Duda ma je z pewnością największe. Jednak nic nie jest jeszcze przesądzone. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

20 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PREZYDENCKIE TOUR DE POLOGNE
Duda wśród rodaków

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

14 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NA STRAŻY PAMIĘCI
Relacja z gali na Zamku Królewskim

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PIS – JAK SIĘ POZBIERAĆ PO SUKCESIE?
Powyborcze porządki

26 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SELLINEM
DORÓWNAMY ZACHODOWI

28 PIOTR GOCIEK
PSL – NOWA ENDECCJA?

32 PIOTR SEMKA
WOJOWNIK ZIELONEGO SZTANDARU

34 KAMILA BARANOWSKA
RATLEREK CZY BERNARDYN?

36 ŁUKASZ WARZECHA
LUD ZINDOKTRYNOWANY

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OLIMPIADA NIE Z TEORII

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
STRASZNE KLASY

KULTURA

42 PIOTR SEMKA
POJEDYNEK MISTRZÓW
Rembrandt kontra Velázquez

46 WIESŁAW CHEŁMIŃIAK
**TERMINATOR PADŁ
POD CIĘŻAREM WŁASNEJ LEGENDY**



48 ROZMOWA Z DYREKTOREM CENTRUM SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
**KONSERWATYWNE POGLĄDY
TO PROBLEM**

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
OSTRZEŻENIE MATKI BOŻEJ
Fragment książki o objawieniu w Japonii

58 FRAGMENT KSIĄŻKI
**GRZEGORZ BRAUN O STAWIANIU
ZASŁONY DYMNEJ**

HISTORIA

62 MONIKA MAŁKOWSKA
ŻELAZNA KURTyna Z BETONU
Na pamiątkę obalenia muru berlińskiego

65 JAN HLEBOWICZ
NIEZNANE LUDOBÓJSTWO

ŚWIAT

70 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ZA ODRĄ WRZE
Zagrożenie dla Polski

74 JACEK PRZYBYLSKI
AMERYKA NA POŁOWANIU

78 PIOTR WŁOCZYK
„UWALNIANIE” DZIECI OD PŁĘCI

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z JADWIGĄ EMILEWICZ
**POLSKA ZRYWA Z MODELEM
TANIEJ IMITACJI ZACHODU**
Minister przedsiębiorczości i technologii:
Temat wieku emerytalnego jest zamknięty

84 JAKUB WOZINSKI
**SOROSOWIE LIBERALIZMU
GOSPODARCZEGO**

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
DIWA Z BARBADOSU
Rihanna – od muzyki do mody

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. PIOTREM CZAUDERNĄ
**IMPULS DLA POLSKIEJ
MEDYCYNY**
W stronę nowych technologii



ORLEN



11 listopada

**RAZEM ŚWIĘTUJMY
NIEPODLEGŁOŚĆ**

niepodległa

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięcki**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojanicz**,
Grzegorz Brzozowicz, **Slawomir Cenciekiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Cioś (*Brusela*), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzelska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Itzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Torąński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Darek Golik/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
 (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 71 tys. egzemplarzy

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
 oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
 wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
 opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
 Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
 za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
 prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Dziś tylko jeden list, odnoszący
 się do wydarzeń z Bełchatowa.
 Zachęcamy do przysyłania kore-
 spondencji i przypominamy nasz adres
 e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Opłatek” i „Kłótwa”

Rzecz, która wydarzyła się w kościele
 w Bełchatowie, czyli wypłucie Komunii
 przez nastolatka i schowanie jej do
 kieszeni, była bolesna i tragiczna. Cieszę

1 listopada 2019 r. zmarła



dr Izabella Galicka

Wspaniała Polka
 Requiescat in Pace

Antoni Trzmiel z Rodziną

się, że kapłani najprawdopodobniej
 uchronili młodego człowieka przed spro-
 fanowaniem Najświętszego Sakramentu,
 a więc niezmiernie ciężkim grzechem.

Równie bolesne co samo zdarzenie
 były dla mnie późniejsze reakcje.
 Nazywanie Ciała Chrystusa „opłatkiem”,
 do czego posunął się pan Tomasz
 Sekielski, to podłość względem wszyst-
 kich wierzących. Pan, który realizując
 swój film o ofiarach księży-pedofilów,
 chciał uchodzić za bezstronnego
 reportażystę, w pewnym sensie zrzucił
 tym wpisem maskę. Taka złośliwość
 względem wierzących (również wzglę-
 dem ofiar strasznej zbrodni pedofilii,
 ale zachowujących wiarę) to żadna
 bezstronność. Zresztą zapowiedź udziału
 pana Tomasza w wydarzeniu o nazwie
 „Ukróćmy wszechwładzę kościoła”, które
 organizuje Teatr Powszechny w Warsza-
 wie (informacja pojawiła się na stronie
 teatru) tuż po wystawieniu spektaklu
 „Kłótwa” (tak, tak, „Kłótwa” wraca),
 mówi wszystko.

[...] Gdyby kapłani działali bez policji,
 pewnie relacje mediów o tym, co zdarzy-
 ło się w tym kościele, daleko wyprzedza-
 łyby w swej sensacyjności prawdę.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

1 listopada 2019 r.
 odeszła do Pana



Izabella Galicka

wybitna historyk sztuki, patriotka, taterniczka,
 wspaniała człowiek.

Kochana Izo,
 Twój uśmiech sprawiał,
 że stawaliśmy się lepsi.

**Żegnamy Cię i dziękujemy,
 Twoi oddani Przyjaciele.**



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Krajobraz po Tusku

A jednak sprawdziła się „klątwa Kaczyńskiego”. Po przegranej Donalda Tuska z kandydatem PiS w 2005 r. już nigdy nie przyszło Tuskowi powalczyć o prezydenturę. W 2010 r. ówczesny lider Platformy sam zrezygnował ze startu do godności głowy państwa. Teraz ponownie uchodzi z pola walki.

Można by napisać ciekawą książkę o tym, jak w przypadku Donalda Tuska w ostatnich 30 latach przemienne uкладаła się krzywa momentów determinacji i chwil słabości oraz ulegania woli innych. W 1993 r. znany gdańszczanin przegrał wraz z Kongresem Liberałów wejście do Sejmu. W 1994 r. bez sentymentów wszedł do potężnej wówczas Unii Wolności. Gdy ta osłabła, też bez wahania porzucił tonący statek i stworzył PO. W 2005 r. przegrał prezydenturę, ale szybko opracował model opozycji totalnej. W latach 2007 i 2011 skutecznie powiódł PO do zwycięstwa, ale już w 2014 r. czmychnął do Brukseli. Przez zeszły rok nadymał się na wielki powrót, ale ostatecznie uciekł z pola walki.

Salon z najwyższym trudem powstrzymuje się od głośnych

wyrazów rozczarowania. Tylko Hanna Lis zaczęła na Twitterze: „Parę lat temu wybrał apanaże. Teraz stchórzył”. Ale szybko powrócił trend – „to nasza wina”. Leszek Jażdżewski, organizator słynnego wystąpienia Tuska na UW, zagrział: „Tusk wygrywał z PiS, stojąc na czele sprawnej kampanijnej maszyny, dziś byłaby to nierówna walka błędnego rycerza z nawałą przeciwników”. A zatem jest już zgrabne wytłumaczenie – Wielki Donald by wygrał, ale skoro kampanię miał zarządzać niedojda Schetyna, to wolał się cofnąć.

Zostawmy jednak na boku jeremiady nad tym, że biały koń nie nadejdzie. Sytuacja po decyzji Tuska jest oczywiście najgorsza dla Platformy. Wejście do gry przybysza z Brukseli zamknęłoby okres wahań i wprowadziłoby nastrój mobilizacji. Wszyscy pod komendę wodza. Skoro wodza nie ma – zaczynają się sprzeczki. Polityk Platformy czy celebryta? A jeśli polityk, to kto – Kidawa-Błońska, Sikorski czy Siemoniak? Wszyscy są kiepscy i w PO to wiedzą. Ale postawienie na celebrytę w stylu Jerzego Owsiaka to nie tylko

ryzyko, lecz także samoogłoszenie schyłku Platformy. Bo PSL z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i Lewica z Robertem Biedroniem bądź Adrianem Zandbergiem na pewno wykorzystają kampanię do przesłania: epoka dominacji PO w obozie opozycji już nie wróci. Tyle że wiara PSL w przebojowość WKK to też czysty marketing.

Andrzej Duda też może mieć mieszane uczucia. Postać Tuska zmobilizowałaby wielki elektorat negatywny na prawicy. Może tylko Robert Biedroń, szczególnie w repertuarze antyklerykalnym, mocniej pobudzałby do głosowania na prawicę. Ale Kosiniak czy Zandberg?

Zmora obozu PiS będzie więc znowu pytanie: Jak zmobilizować swoich wyborców? A wybory rozstrzygnąć może elektorat konfederatów. Tylko jak Duda ma robić kampanię odwołującą się do centrum, a jednocześnie uwodzić wyborców Korwina i Brauna?

Słowem – nadal nie wiemy nic. A o wyniku wyborów przeważą 2–3 proc. niezdeterminowanych, których reakcji nie sposób przewidzieć. I tylko książki Tuska szczerze żal. Kto ją teraz kupi? ©©



FOT. ADRIAN STOK

DO AMERYKI WRESZCIE BEZ WIZ

Polacy mogą już dużo łatwiej podróżować do Nowego Jorku, Chicago, Orlando czy San Francisco. 11 listopada Polska stała się uczestnikiem amerykańskiego programu ruchu bezwizowego. Do Stanów Zjednoczonych bez wizy można podróżować w celach biznesowych i turystycznych na maksymalnie 90 dni. Niezbędne jest również uzyskanie elektronicznej autoryzacji podróży w systemie ESTA. Za elektroniczne pozwolenie wjazdu do USA trzeba zapłacić tylko 14 dol. (dla porównania koszt wizy wynosił 160 dol.). (jap) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Wafelek”

Zycie liberalno-lewicowej opozycji to nieustający paroksyzm oburzenia. Powód tego oburzenia, a właściwie Oburzenia, jest jeden – Polska ciemnota i to, że mimo iż elity tyle już razy ją potępiły, ona ani myśli zniknąć czy nawet się wstydzić. Żeby jednak móc w Oburzeniu trwać nieustannie, trzeba codziennie znajdować nowe preteksty. A to,

Oni po prostu nas nienawidzą i gardzą nami tak jak Ku Klux Klan „czarnuchami”. Gardzą polskością i katolicyzmem

że nie zachwycają się jak należy noblistką, a to, że ocenzurowali artystce fellatio na bananie, a to znów...

W ubiegłym tygodniu spazm historycznej nienawiści wywołał książdz z Bełchatowa, który ośmie-

lił się (Tak! Ośmielił się!) wezwać policję, gdy nastolatek w kościele wypuł komunikant i schował go do kieszeni. „K..., gdzie my żyjemy?!” – zawyli „ludzie inteligentni na pewnym poziomie”, jak sami zwykli się skromnie nazywać. „Państwo wyznaniowe! Taliban!”. Bardziej subtelni skupili się na duszoszczypatielnym roztkliwaniu, jaki to straszliwy stres przeżyło biedne dzieciątko, które, prawdopodobnie, chciało się pobawić w jakieś Nergalowe czarne msze czy inny okultyzm, a zły katabas mu całą zabawę popsuł.

Słowem kluczem całego oburzenia stał się „wafelek”. W ten pogardliwy sposób światłe (we własnym przekonaniu) elity okazały się określać Eucharystię. „PiS-owska policja prześladowuje dziecko za wypłucie wafelka!” – unieśli się artyści, politycy i inne „ałtorytety” – a dalej już to samo co zwykle, że ciemnogród, katolic-

ka dzicz i w ogóle, niech wreszcie przyjdzie tu Europa i zrobi z nimi wszystkimi porządek.

Chyba nie warto wdawać się w dyskusję, wyjaśniać, że niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w sakramenty, czy nie, z punktu widzenia prawa hostia to „przedmiot kultu religijnego” i zachowanie bluźniercy było równoznaczne z tym, gdyby demolował kościół, rzucając krzesłami. Oraz że książdz nie miał innego wyjścia – gdyby zamiast wzywać policję, chciał zdisciplinować małego przestępcę sam, dopiero podniósłby się jazgot... Cóż, po prostu warto zachować w pamięci zbydlęcenie, które na tę okoliczność okazały liberalno-lewicowe „elity”. I nie wierzyć na przyszłość w ich bajki. One po prostu nas nienawidzą i gardzą nami tak jak Ku Klux Klan „czarnuchami”. Gardzą polskością za to, że taka katolicka, i katolicyzmem za to, że polski. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Pamięć i niemoc

Swięto Niepodległości mamy za sobą, pełne biało-czerwonych flag, pięknych słów o patriotyzmie, wspólnocie, dumie narodowej. I oczywiście, tak jak co roku, sporów – czy bardziej patriotyczni są ci, którzy poszli w Marszu Niepodległości, czy może ci, którzy bawili się z prezydentem Andrzejem Dudą, a może ci, którzy rozrabiali na ulicach w walce z duchami – czyli protestując przeciwko nieistnjącemu w Polsce faszyzmowi. Tyle że – jak powiedział kiedyś jeden z wielkich Polaków – patriotyzm jest tam na dole, a słowa są ulotne i niewiele kosztują.

À propos ulotności. Ponad rok temu, w okolicach Wszystkich Świętych, zamieściłem na portalu społecznościowym dwa zdjęcia zniszczonych, zapomnianych grobów powstańców wielkopolskich na wielkopolskich cmentarzach. Padło wiele pięknych słów różnych instytucji państwowych, jak to grobami się zaopiekują, jak będą przywracać pamięć. I co się przez ten rok wydarzyło? Jednym z grobów zaopiekowali się kibice Lecha Poznań. Oddolnie, społecznie, bez większego rozgłosu odnowili go w ciągu trzech miesięcy. Drugim

miał zaopiekować się zgodnie z ustawą IPN i WOT. Po roku grób jest równie zaniedbany, jak był. Nic się nie zmieniło.

W państwowych instytucjach usłyszałem, że walczą, że pamiętają, ale trzeba czasu, bo procedury, finanse, przepisy, że szybko to się nie da. To, z czym zwykli ludzie poradzi sobie w niespełna kwartał, państwo polskie z całą jego potęgą nie poradziło sobie w rok.

Wygląda na to, że ta pamięć i patriotyzm przegrywają walkę z biurokracją i przepisami. Co o państwie najlepiej nie świadczy. A słowa... ©©

Droga Faustyny do świętości

Darem Boga dla naszej epoki, darem polskiej ziemi dla Kościoła nazywał św. Faustynę podczas jej mszy kanonizacyjnej papież, dziś również święty, Jan Paweł II. Film „Miłość i Miłosierdzie” o Faustynie Kowalskiej będzie można kupić za tydzień z „Do Rzeczy”.

Faustyna Kowalska przyszła na świat w wielodzietnej chłopskiej rodzinie. Do szkoły powszechnej chodziła niecałe trzy lata. Już od dziecka wiedziała, że jest powołana do tego, by służyć Bogu. Silną chęć do życia konsekrowanego poczuła już w wieku siedmiu lat, a jako nastolatka pragnęła przywdziać habit. Sprzeciwiali się temu rodzice, których nie było stać na posag dla córki. Przyszła święta musiała poczekać i sama zarabiać pieniądze. W 1925 r. wstąpiła do nowicjatu sióstr MB Miłosierdzia w Warszawie.

Taki był początek niezwykłego życia zakonnego siostry Faustyny Kowalskiej, apostołki Bożego Miłosierdzia na ziemi. Życia niezwykłego, mistycznego, przepelnionego Bożą obecnością, a jednocześnie niełatwego, spotykającego się nierzadko z niezrozumieniem, ale każdego dnia

realizującego nakaz Boga. „Powiedz, córko moja, że jestem miłością i miłosierdziem samym” – nakazuje jej Jezus Chrystus w jednym z widzeń.

Drogę do świętości autorki „Dzienniczka”, perły literatury mistycznej, przedstawia film „Miłość i Miłosierdzie” w reżyserii Michała Kondrata. To fabularyzowany dokument, dramat historyczny, który premierę miał w marcu 2019 r. Obraz chętnie oglądany nie tylko w Polsce. Jak podaje portal Tvpinfo.pl – tylko jednego dnia (28 października) zarobił w amerykańskich kinach 1,4 mln dol. Film opowiada o życiu świętej, przypomina okoliczności powstania obrazu Jezusa Miłosiernego i wyjaśnia, co ma wspólnego obraz Zbawiciela namalowany według zaleceń polskiej zakonnicy z Cahunem Turyńskim. W roli Faustyny Kowalskiej występuje Kamila Kamińska. Na ekranie towarzyszą jej m.in.: Maciej Małysa, Janusz Chabior, Remigiusz Jankowski, Piotr Cyrwus, Monika Goździk, Jacek Borkowski.

„Do Rzeczy” z książeczką i płytą DVD z filmem trafi do sprzedaży 18 listopada w cenie 29,99 zł. © © *oprac. raw*



Za tydzień
z „Do Rzeczy”
film fabularny
„Miłość
i Miłosierdzie”



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aż 172 mln zł – najwyższa kara w historii UOKiK

Równowartość 40 mln euro kary nałożył na spółkę Engie Energy Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów za „uporczywe i bezpodstawne odmawianie przekazania żądanych dokumentów”. To najwyższa kara w historii działania Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

Prezes UOKiK Marek Niechciał uznał brak woli współpracy firmy zaangażowanej w budowę gazociągu Nord Stream 2 za brak szacunku dla polskiego państwa. – Prosimy spółkę o dokumenty i dane dotyczące umów zawartych z Gazpromem. Interesują nas informacje o paliwach gazowych, w szczególności na temat umów przesyłu, dystrybucji, sprzedaży, dostaw czy magazynowania. Dane te są niezbędne



FOT. ANDRZEJ STOK

w prowadzonym postępowaniu antymonopolowym, w którym sprawdzamy, czy Engie Energy oraz pięć innych podmiotów utworzyły wspólnego przedsiębiorcę bez naszej zgody – wyjaśnia Marek Niechciał, prezes UOKiK. © © (*jap*)

ORDO IURIS BRONI DZIENNIKARZY I POZYWA GOOGLE

Prawnicy z Instytutu Ordo Iuris wstawili się za twórcami programu „Wierzę” publikowanego w internetowej telewizji wSensie – Markiem Miśko i Pawłem Lisickim, redaktorem naczelnym „Do Rzeczy”. Programy te zostały zablokowane w serwisie YouTube pod pretekstem szerzenia „mowy nienawiści”. Przedstawiciele Ordo Iuris interweniowali i kanał wSensie.tv został odblokowany. Prawnicy wysłali też do Google wezwanie przedprocesowe, w którym domagali się przeprosin wobec dziennikarzy. Koncern na to wezwanie nie odpowiedział. Przedstawiciele Ordo Iuris wytoczyli więc powództwo o ochronę dóbr osobistych Pawła Lisickiego – podnoszą w nim, że zasugerowano, iż twórczość dziennikarza ma „negatywny charakter”.

Ordo Iuris przygotowało też projekt ustawy, która pomogłaby chronić wolność wypowiedzi w Internecie. (*luz*) © ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 synkopie zaangażowanej

W Rzymie do końca listopada trwa Roma Jazz Festival. Grają giganci jazzu, m.in. Archie Shepp, Dave Holland i Abdullah Ibrahim (dawniej Dollar Brand), a śpiewa Dianne Reeves. Koncerty odbywają się głównie w salach Auditorium, imponującego rozmiarów i urodą centrum kulturalnego, które pośród zieleni zaprojektował sam Renzo Piano. Słowem – rozkosz dla ucha i oka.

muzyków zaproszonych na festiwal dokonano bowiem na podstawie szczególnych, ideologicznych kryteriów: „W tegorocznym festiwalu chodzi o przełamywanie granic i burzenie murów. Wybraliśmy wyłącznie artystów znanych ze swego zaangażowania społecznego i w walkę o prawa obywatelskie, a rzecz migracji i integracji. Przecież jazz to muzyka integracji, a stworzyli ją imigranci. Granice są po to, żeby je przekraczać”. Pytany, czy jest to festiwal skierowany przeciw Trumpowi, powiedział, że jak najbardziej.

Campa postawił w ten sposób przed imprezą artystyczną, finansowaną w sporej części z kasy publicznej, wyraźnie naszkicowane cele polityczne, z którymi przecież nie wszystkim jazzmanom i jazzfanom jest po drodze. Ale to furda. Co najgorsze, uzależnił zaproszenie artystów do Rzymu od ich aktywności społecznej i poglądów. To już brzmi groźnie, a nawet bardzo groźnie i jeszcze gorzej się kojarzy.

Domyślam się, że pan Ciampa w chwili intelektualnego wzmocnienia potrafi dosłuchać się, z jakich pozycji światopoglądowych, wstecznych czy postępowych jazzman gra solówkę, czy improwizacja idzie w ideologicznie prawidłową stronę i czy aby między grającymi unisono nie wdarł się konflikt klasowy. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

*Peregrynacja wizerunku św. Donalda
w intencji statutu
w wyborach prezydenckich*



c e z a t y e t y j z t o o d

Festiwal otworzyła grupa Radiodervish, której muzyka jako żywo nie ma nic wspólnego z jazzem. Oferuje za to zaangażowane społecznie pieśni, które układa i śpiewa, zresztą bardzo dobrze, pochodzący z Palestyny poeta Nabil Salameh. Świetnie rymowały się z tegorocznym hasłem imprezy „Bez granic. Migracja i integracja”. W tym roku, jak wyznał dyrektor artystyczny Mario Ciampa, selekcji



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Biały koń nie nadjechał

I stało się. Z dawna wyczekiwana ostatnia nadzieja opozycji ogłosiła, że z Brukseli do Warszawy się nie wybiera. Tym samym na Twitterze zaroilo się od całego spektrum psychologicznych traum i wytłumaczeń. „Kilka lat temu wybrał apanaże. Teraz stchórzył. Nazwijmy rzeczy po imieniu. Historia osądzi” – napisała np. Hanna Lis. A potem wpis wykasowała.

Gdzieś obok powstała również grupa wsparcia pod imieniem Świętej Racjonalności. „Najlepsze w decyzji Donalda Tuska jest to, że ją tak wcześniej ogłosił. Co do jej treści mam wątpliwości. Mam nadzieję, że się mocniej włączy w obronę państwa prawa i demokracji w Polsce” – stwierdził Leszek Balcerowicz. „Donald Tusk nie wystartuje w wyborach prezydenckich, bo – jak mówi – »jest potrzebna osoba nieobciążona bagażem niepopularnych decyzji«. Racjonalna decyzja” – dodała Renata Grochal.

Po pierwszym szoku pojawił się jednak promyk nadziei. „Wszystkim, którzy teraz będą kwękać na kolejne kandydatury, że nie mają »charyzmy«, przypominam: w 2015 r. prezes wyciągnął z piątego rzędu plastikowego skorumpowanego fajtlapę-urzędnika i profesjonalnie, z confetti, zrobił z niego Kandydata. Teraz wszystko zależy od opozycji demokratycznej” – zaapelował prof. Wojciech Sadurski. „Znikł król, niech żyje Małgorzata Kidawa-Błońska. Odbuduje i ozłoci majestat urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej tak zmaltretowany przez obecnego rezydenta Pałacu. Wybierzcie ją, Rodacy. Bo jestem pewien, że Koalicja Obywatelska ją wystawi” – zwrócił się do Narodu Waldemar Kuczyński.

Niestety gdzieś z prawej strony, zamiast powagi, złośliwcy potrafili się zdobyć jedynie na chichot. „Czy na FB jest już wydarzenie: »pielgrzymka prześlągalna na kolanach w celu przekonania Donalda Tuska do startu w wyborach prezydenckich«?” – zapytał Krzysztof Karnkowski. „I Jarosław Kurski został z tą książką Tuska jak Himilbach z angielskim. Mógł Tusk przynajmniej poczekać, aż się nakład rozejdzie” – podsumowała Kataryna. No cóż, też wybrałbym Brukselę. ©©



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**



#GramyDlaKultury

**TOTALIZATOR SPORTOWY MECENASEM
KULTURY NARODOWEJ**

JAK CELEBRYTA Z CELEBRYTĄ

Blogerka modowa Maffashion niedawno rozstała się ze swoim chłopakiem, o czym poinformowała świat za pośrednictwem Instagrama, zając się przy tym sushi. Oczywiście załaziła ją potem fala krytyki za upublicznianie swoich prywatnych spraw, ale Maffashion się tym nie przejęła. I nadal roztrząsa swoje sercowe sprawy w mediach społecznościowych. Wyznała np., że „ciężko jest po tylu latach przeprowadzić się z dnia na dzień i przenieść wszystkie rzeczy”. Zapewnia też, że choć już nie są razem, to nadal ma świetny i częsty kontakt ze swoim eks. Na koniec, gdy padło pytanie, po co znów uzewnętrznia się w Internecie, odpowiedziała: – Video było nagrane na spontanie, po długiej rozmowie. Pełnej wzruszeń. Jeśli ktoś nie rozumie, dlaczego to dodaliśmy, to niech zostanie osobą publiczną i wtedy zrozumie! W sumie to zgadzamy się z opinią, że tylko celebryta jest w stanie zrozumieć celebrytę. Ten stan umysłu jest całkowicie obcy normalnym ludziom.

EGZAMIN EDZI

I stało się! Edzia Górniak podobno oblała egzamin na prawo jazdy. I to teorię, więc wydawało się łatwiejszą część egzaminu. Przypomnijmy, że Edyta Górniak bierze udział w programie TVN, gdzie na oczach widzów uczy się jeździć samochodem. – Poległa na pytaniu o silnik i oświetlenie – ujawnia rozmówca serwisu Pudelek. Podobno wynik egzaminu bardzo zasmucił i rozczarował piosenkarkę. – Edyta jest bardzo zawiedziona. Musi jeszcze posiedzieć nad testami. Obiecała, że następnym razem bardziej się przyłoży – dodaje źródło portalu. Wychodzi na to, że stawka za udział w programie nie jest uzależniona od sukcesu na egzaminie, bo wtedy zdałaby wszystko w cuglach!

GORSZY DZIEŃ

Anna Lewandowska opublikowała na Instagramie wpis o tym, że także miewa w życiu gorsze momenty, kiedy wszystko idzie nie tak i jest jej smutno. „Tak wyglądam, kiedy jestem smutna i zmartwiona. [...] tak jak wszyscy, jestem tylko człowiekiem i też zdarzają mi się smutniejsze momenty i gorsze samopoczucie” – pisze Anna. „Rzadko dodaje się takie zdjęcia na social media, ale przecież smutek,

złość czy płacz to emocje, które towarzyszą każdemu w życiu. [...] Nie ma ludzi idealnych, nie musimy się też starać tacy być. Ważne, by zawsze być sobą i być w zgodzie z sobą” – dodaje. Żeby uwiarygodnić wpis, opatrzyła go zdjęciem w szarej bluzie i z nieco potarganymi włosami. Obstawiamy, że jakieś 95 proc. kobiet chciałoby tak wyglądać w swoje najlepsze dni. Następnym razem pani Anna musi się bardziej postarać.

DOBRO PLANETY

Aktorka Olga Bołądź postanowiła zaapelować do swoich koleżanek z show-biznesu, by te w ramach dbania o środowisko przyjrzały się swoim szafom i pomyślały, czy nie mają w niej zbyt wielu ciuchów. – Oto mój challenge, załóż swoją ulubioną sukienkę po raz kolejny na wyjście! – zachęca Bołądź. – Powtarzajmy nasze looki! Wyzwam was, dla matki planety, nośmy nasze rzeczy wielokrotnie! Uwielbiam piękne rzeczy, te nowe i te stare, chcę je zużywać, a nie założyć raz i co dalej? Większość z nas ma pełno ciuchów, które nie wychodzą z mody, to kwestia naszego postrzegania. Wyjdźmy z tych schematów! Potraktujcie przegląd waszej szafy jak przygodę z recyklingiem i przyjmijcie #bołądźchallenge. Odkrywajcie swoje ciuchy na nowo – grzmi aktorka. Obawiamy się, że akcja spali na panewce. Z prostego powodu. Jest oczywiste, że większość celebrytek mając do wyboru dobro planety i dobry look, wybierze to drugie.

OSCAR CZY RESORT?

Aktor Jarosław Jakimowicz postanowił przypomnieć o sobie w dość spektakularny sposób. Otóż został zaproszony do jednego z programów TVP, w którym tuż przed nim występował także były szef MON, polityk PiS Antoni Macierewicz. Kiedy prowadzący program zakończył rozmowę z politykiem i udał się w stronę aktora, ten wstał i oznajmił, że musi podziękować panu Antoniemu za jego „pracę dla wolnej Polski”. Podszedł do niego i ściskając mu dłoń, wygłosił pean: – Dziękuję za 50 lat walki o niepodległość, dziękuję za kraj, w którym żyję w imieniu moich dzieci, w imieniu Polaków, wszystkich, którzy to rozumieją, i tych, którzy rozumieją to inaczej. Jestem dumny i zaszczycony – stwierdził Jakimowicz. W lepszej roli Jakimowicza jeszcze nie widzieliśmy! Oscar dla niego! A przynajmniej jakieś ministerstwo! ©



FOT. PAMEL CROWADA



FOT. RADOSŁAW NAWRECKI/FOTUM



FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FOTUM

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, zmartwiła nas mocno decyzja Donalda Tuska, iż nie będzie kandydował na prezydenta, ale też doskonale go rozumiemy i nawet podziwiamy, iż po raz kolejny pokazał, że jest mężem, tfu, osobą stanu. Otóż nic dziwnego, że Krul Europy nie chce kandydować na stanowisko skompromitowane przez osobodudę. Wszyscy wiemy, jakiego formatu politykiem jest Donald. On po prostu czułby się źle, wiedząc, kto był jego poprzednikiem i z kim mogą go porównywać hejterskie prawicowe media. Jesteśmy przekonani, iż to jedyna motywacja dla jego decyzji.

Chcemy też ogłosić Donalda, kiedy już przestanie być Krulem Europy, naszym prezydentem na uchośtw... uchoćtwi... za granicą. Będzie dla nas jednocześnie symbolem zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej emigracji od tego, co dzieje się w tym kraju.

Przyjrzelśmy się ostatniej dyskusji na temat osobomarszałka seniora, który otworzy nowe obrady Sejmu, i jesteśmy przerażeni, iż będzie to Macierewicz. W ten sposób zostanie otwarty nowy rozdział w historii kaczofaszystowskiej dyktatury.

Tymczasem w postępowym państwie instytucji marszałka seniora zwyczajnie by nie było. Jest to bowiem ejdżyzm, wytykanie wieku i dyskryminacja – iż najmłodsi posłowie nie mają szans na taką funkcję.

Zwróćcie też uwagę, iż cały czas dyskutujemy o marszałku seniorze, a nie o marszałkini seniorini. To kolejny obszar polityki, do którego nie dopuszcza się waginoosób.

Naszym postulatem jest więc natychmiastowe zniesienie tej funkcji promującej patriarchyzm i dyskryminację.

Pisząc te słowa, nie znamy jeszcze przebiegu tegorocznego Marszu Niepodległości, aczkolwiek podejrzewamy, iż wiemy, czego się można spodziewać. Jak co roku – triumfu patriotycznego fashysmu, okraszonego przekazem katolicko-narodowym, iżby jeszcze skuteczniej dyskryminować mniejszości. Musicie wiedzieć, iż nasz plan na przetrwanie tego okropnego święta był następujący: w piątek zakupy żywnościowe, iż w niedzielę i poniedziałek sklepy są zamknięte, a następnie schowanie się w umocnionej szafie na cały weekend w obawie, że fashysm przyjdzie i po nas. Ogromnie się smucimy, że co roku musimy się tak stresować i denerwować, a w dodatku w tym roku dwa dni z rzędu nie mogliśmy zrobić zakupów :(©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

REKLAMA

30 lat RMF FM

**Zawsze tam,
gdzie dzieje się
coś ważnego**

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI



Na straży pamięci

Podczas uroczystej gali na Zamku Królewskim w Warszawie po raz siódmy uhonorowano nagrodami Strażnik Pamięci osoby i instytucje zasłużone w upowszechnianiu polskiej historii. Nagrodę specjalną Strażnika Wartości otrzymał ks. abp Marek Jędraszewski

Polska lat 20. XX w. była fenomenem na skalę światową. Młode państwo, które właśnie odzyskało niepodległość, rozwijało się gospodarczo i modernizowało niemal najszybciej w Europie, radykalnie wyczyściło swoje służby z agentów państw sąsiednich, wzmacniało swoje granice, w którym kwitły polska kultura i sztuka. I właśnie niepowtarzalny klimat dwudziestolecia międzywojennego, kreowany nie tylko piosenkami „Miłość ci wszystko wybaczy” Hanny Ordonówny czy „Umówiłem się z nią na dziewięć” Eugeniusza Bodo, tym razem w wykonaniu Grażyny Nity i Damiana Wilmy (na fortepianie akompaniował Tomasz Świerk), towarzyszył uroczystej Gali Strażnika Pamięci zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy” w ubiegłym tygodniu na Zamku Królewskim w Warszawie. Patronat narodowy nad uroczystością kolejny już raz objął prezydent RP Andrzej Duda.

Gośćmi finału nagrody, której celem jest uhonorowanie twórców, instytucji i mecenasów wspierających promocję i kultywowanie polskiej historii, byli oprócz samych laureatów m.in.: premier Mateusz Morawiecki, wicepremier i minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, minister w Kancelarii Prezydenta RP Adam Kwiatkowski, szef kancelarii premiera Michał Dworczyk, wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, były marszałek Sejmu Marek Kuchciński. Obecni byli także przedstawiciele polskiego biznesu i samorządów.

Wyróżnienie Strażnik Pamięci 2019 wręczono w trzech kategoriach: Mecenasa, Instytucja i Twórca. Wręczono także nagrodę specjalną – Strażnik Wartości.

– W tym roku, ograniczając liczbę nagród, postanowiliśmy uwypuklić ich znaczenie – mówił, otwierając uroczy-

stość, Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”. Dodał też, że w tym roku po raz pierwszy wręczona zostanie nowa nagroda przyznawana pod patronatem „Do Rzeczy” przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

Prezydent Andrzej Duda skierował specjalny list do uczestników. Odczytał go minister Adam Kwiatkowski. „Życzę, by nagroda Strażnik Pamięci i jej laureaci nadal przyczyniali się do umacniania tego, co dla narodu najważniejsze – miłości ojczyzny, wierności etosowi Rzeczypospolitej i czci dla zasług naszych przodków” – napisał prezydent. Podkreślał, że nagroda przyznawana przez „Do Rzeczy” zwraca uwagę na coś bardzo fundamentalnego: na warunki, których spełnienie jest konieczne, by historia miała szansę trwać i być przekazywana – to twórca, instytucja, mecenas. „Ze współdziałania tych trzech czynników rodzą się cenne przedsięwzięcia. Dzięki nim pamięć może przetrwać nawet czasy zniewolenia, jak wiemy z doświadczeń ostatnich dwóch wieków. Dzięki nim też obserwujemy obecnie wielkie ożywienie zainteresowania historią, która dla pokoleń



Na Gali Strażnika Pamięci oprócz laureatów obecni byli przedstawiciele prezydenta, rządu i parlamentu FOT. ROBERT GAROZIŃSKI



Premier Mateusz Morawiecki dziękował nagrodzonym za ich trud w podtrzymywaniu pamięci FOT. ROBERT GAROZIŃSKI

wyrośli już w wolnej Polsce jest źródłem dumy i skarbnicą wzorców postaw patriotycznych” – napisał prezydent.

Z kolei szef rządu Mateusz Morawiecki w swoim wystąpieniu zwrócił uwagę, że laureaci konkursu odgrywają istotną rolę w społeczeństwie. Nie tylko bowiem kultywują i chronią pamięć o przeszłości, lecz także walczą o naszą przyszłość.

– Dziękuję wszystkim, którzy są emisariuszami z przeszłości ku przyszłości. Właśnie na tym zaczynię, tym kwasie chlebowym naszych wspaniałych dziejów, wiem i wierzę w to, że budujemy lepszą i piękną Polskę – mówił premier Morawiecki. – Pamięć jest rzeczą niezbędną do funkcjonowania narodu. Bez pamięci trudno wyobrazić sobie silny naród, który dumnie patrzy w przyszłość.

Pamięć jest ważniejsza od nawet najpiękniejszych eksponatów, które trzymamy w naszych muzeach, gablotach.

List przesłał też szef PiS. „Chciałbym z całego serca pogratulować Państwu wyrażającego się w różnych formach ogromnego wkładu w wielkie dzieło pielęgnowania pamięci historycznej” – napisał Jarosław Kaczyński.

CHRONIĄ PRZESZŁOŚĆ, WALCZĄ O PRZYSZŁOŚĆ

W kategorii Mecenasy – w której wyróżniliśmy firmy i instytucje wspierające twórców propagujących polską historię – kapituła konkursu Strażnik Pamięci zdecydowała się przyznać nagrodę główną Polskim Liniom Lotniczym LOT. To właśnie w nich podróżni mogą oglądać

brytyjski film „Poland: The Royal Tour”, opowiadający o współczesnej Polsce. Laudację wygłosił, wręczając nagrodę, Antoni Trzmiel, szef portalu DoRzeczy.pl.

– Pragnieniem i cechą Polaków było przez lata wzbijać się wyżej i wyżej – mówił Trzmiel, wskazując istotną rolę LOT dla promocji polskości, rozbudowy polskiej floty i nazywając instytucję podniebnym mecenasem polskości.

– W setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości do naszej floty dołączyły dwa samoloty w barwach narodowych, a wszystkie zostały ozdobione napisem „Niepodległa”, który wyszedł spod ręki marszałka Józefa Piłsudskiego. LOT z dumą promuje nasz kraj i jego historię już w ponad 100 miejscach, do których codziennie latamy – mówiła odbierająca

DZIĘKUJEMY PARTNEROM ZA POMOC W REALIZACJI GALI



PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

WSPÓŁORGANIZATORZY:



PROJEKT DOFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MKiDN



PROJEKT ZREALIZOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM
CENTRUM KULTURY



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PATRONAT
MEDIALNY





Specjalną nagrodą wyróżniony został abp Marek Jędraszewski. Na zdjęciu z premierem Mateuszem Morawieckim, ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą i redaktorem naczelnym „Do Rzeczy” Pawłem Lisickim FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

■ nagrodę Katarzyna Piskorz z zarządu spółki.

W kategorii Instytucja kapituła konkursu Strażnik Pamięci wyłoniła trzech laureatów. Honorowe dyplomy, które wręczał Piotr Zychowicz, redaktor naczelny „Do Rzeczy Historia”, otrzymali: Biuro Programu „Niepodległa” i Instytut Pileckiego. Nagrodę główną Strażnika Pamięci w tej kategorii przyznano Stowarzyszeniu Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu, którego przewodniczącą jest Janina Kalinowska.

– Mimo brzemienia wspomnień nie do wspominania, trudności życiowych, niesprzyjającej politycznie atmosfery, tłumienia wołania o prawdę Stowarzyszenie dokonało wielkiej pracy dokumentującej ukraińskie ludobójstwo na Polakach i pozostawiło trwałe znaki pamięci tej hekatombi – podkreślała Ewa Siemaszko, badaczka ludobójstwa Polaków na Wołyniu. – Wielkość zasług Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu wynika nie tylko z ogromu dokonanej pracy dla pamięci wołyńskiej hekatombi. Koszty tej działalności Stowarzyszenie pokrywa ze składek członków, ludzi ocalałych, w większości ubogich emerytów i inwalidów.



FOT. ROBERT GARCZŃSKI

W trakcie gali jej uczestnicy mogli też obejrzeć zwiastun filmu pt. „Stanica Kresowa” o członkach zamojskiego stowarzyszenia – sierotach po zamordowanych na Wołyniu.

W kategorii Twórca kapituła konkursu wyróżniła specjalnymi dyplomami wręczonymi przez Piotra Gabryela, zastępcę redaktora naczelnego „Do Rzeczy”, pisarkę Joannę Siedlecką i brytyjskiego autora książki „X, Y, Z. Prawdziwa historia złamania szyfru Enigmy” Dermota Turinga (w jego imieniu dyplom odebrał prezes zarządu wydawnictwa Rebis Tomasz Szponder).

Statuetkę Strażnika Pamięci przyznało natomiast Wojciechowi Tomczykowi,

dramaturgowi oraz scenarzyście teatralnemu i filmowemu, autorowi spektakli „Norymberga”, „Imperium”, „Inka”.

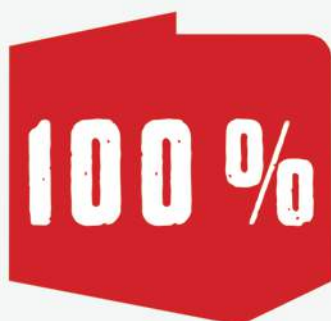
– Czego potrzebuje naród, żeby istnieć? Wiemy, czego potrzebuje państwo: obywateli, armii, granic, gospodarki, prawa. Ale czego potrzebuje naród? Potrzebuje wspólnych snów. Wspólnych marzeń. Wspólnego przekonania, że jego istnienie jest jemu samemu i światu potrzebne. Że ma przyszłość – mówił publicysta „Do Rzeczy” Piotr Gociek, przedstawiając laureata nagrody. – Naród potrzebuje pisarzy, którzy o tych wszystkich rzeczach będą przypominali. Prawdziwych pisarzy. Nie tych, którzy podlizują się publiczności, nie tych, którzy ją usypiają, nie tych, którzy mają siebie za jedyny temat ważny do opowiedzenia. Mamy wielkie szczęście. Jest dziś z nami taki pisarz. Nazywa się Wojciech Tomczyk – wyjaśnił. Gociek podkreślał, że laureat Strażnika Pamięci 2019 w tej kategorii jest „twórcą obdarzonym wielkim darem mówienia jasno o rzeczach najważniejszych. Twórcą, który nigdy nikomu się nie podlizywał, który nigdy nikomu na siłę nie chciał się podobać”.

STRAŻNIK WARTOŚCI

Podczas Gali Strażnika Pamięci została po raz pierwszy wręczona nagroda pod patronatem „Do Rzeczy” przyznana przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka – Strażnik Wartości. Otrzymał ją metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski. Kilka miesięcy wcześniej ostrzegał on przed zagrożeniem, które społeczeństwu i rodzinie niesie uleganie propagandzie ideologii LGBT. – Laureat, którego ogłoszone w rocznicę powstania warszawskiego słowa sprzeciwu wobec destrukcyjnych względem człowieka, rodziny i rodziny rodzin – czyli narodu – pseudoprawd zabłysnęły w tym roku niczym światło latarni morskiej nad Wisłą, ale także nad Dunajem i Wełtawą, i w wielu innych miejscach świata – mówił w uroczystej laudacji dr hab. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu im. Wacława Felczaka. Przypomnił, że bez osobistego zaangażowania ks. abp. Jędraszewskiego nie powstałby trybunał ds. procesu beatyfikacyjnego Sługi Bożego Jánosa Esterházyego, więźnia sowieckich łagrów.

Uroczystą Galę Strażnika Pamięci poprowadzili Rafał Ziemkiewicz wraz z żoną Aleksandrą Ciejek. ©

Wojciech Wybranowski



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

ZGŁOŚ SWÓJ PRODUKT

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



PATRONAT
HONOROWY:



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII

eprasa.pl 6e552f16ee



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

No i zostaliśmy trendsetterami. A może nawet kimś więcej? Nie dalej niż trzy tygodnie temu pisaliśmy: „Naszym zdaniem skoro już mowa o zasługach, to najlepszym marszałkiem seniorem Sejmu byłby Antoni Macierewicz. Piszemy to całkiem serio”. I kto został marszałkiem seniorem? Antoni Macierewicz. Dobrze wiedzieć, że nasze zaprzyjaźnione wiewiórki nie tylko mówią nam na uszko ciekawe rzeczy, lecz także uważnie słuchają.

Abyło tak. Decyzja o marszałku seniorze zapadła po spotkaniu dwóch dawno niewidujących się dobrych druhów i szczerzej, ciepłej rozmowie. Nic więcej nie możemy powiedzieć, bo dało się słowo. Pospekulować możecie wy. Na przykład: Czy aby nie byli to podejmujący tę decyzję oraz bohater tej decyzji?

Serdecznie witamy nowych członków rządu oraz starych-nowych członków rządu. Obiecujemy, że jednych i drugich będziemy po równo zauważać w naszej wpływowej rubryce, gdyż jesteśmy przeciwni zarówno dyskryminacji, jak i afirmacji.

Ogólnie rzecz biorąc, zakończenie negocjacji koalicyjno-rządowych przyjęliśmy z satysfakcją i zadowoleniem. Zdradzić możemy jedynie, że akcje naszych wiewiórek zyskują.

Przy okazji: bardzo podoba nam się rozszerzenie nazewnictwa resortów o piękne słowo „zasoby”. Uważamy, że można by pójść dalej. Na przykład Ministerstwo Cyfryzacji mogłoby się nazywać Ministerstwem Zasobów Nienaturalnych. A resort finansów – Ministerstwem Zasobów Waszych i Naszych.

dwaj panowie g

Pamiętacie, by wierzyć tylko w wiadomości oficjalnie zdementowane? Dlatego ucieszyło nas, że zdementowano naszą informację (skubniętą parę dni później przez „Rzepę”), jakoby niejaki Pogonowski vel Pogon vel Profesor miał odejść z ABW. Zwłaszcza że z Pogona pożytku i tak nie mieliśmy. Zakazał swoim podwładnym jakichkolwiek kontaktów z naszą wpływową rubryką.

Więcej o manewrach wokół ABW. Otóż nasze wiewiórki twierdzą, że Zbyszek Zizou Ziobro planował przejście Agencji w ramach negocjacji koalicyjnych. Miał nawet dwóch kandydatów na nowego szefa. Pierwszy to obecny prokurator krajowy. Kandydatem alternatywnym był niejaki Dariusz Barski. Ponieważ obu lubimy, wieści o manewrach specjalnie nas nie zmartwiły. No i ciągle czekamy na rezultaty.

Zwrozonej złościowości zauważamy natomiast, że powstaje na naszych oczach nowy podgatunek resortów – resorty wymuszkowe. No bo jak może istnieć poważne Ministerstwo Energii bez spółek energetycznych? Jak może istnieć poważne

Ministerstwo Środowiska bez lasów państwowych? Jak wreszcie bardzo zagraniczne ma być Ministerstwo Spraw Zagranicznych, skoro wydzielonymi sprawami Europy i tak będzie zajmował się Kondzio Szymański? I tak dalej.

Nasi drodzy czytelnicy są mądrzejsi od nas, gdyż czytają te słowa, kiedy wszystko jest już jasne. Niestety, my musieliśmy wysłać numer do drukarni, zanim premier Mateusz ogłosił skład nowego rządu. Zagramy więc w małego totolotka z naszymi czytelnikami. Wiewiórki obiecywały nam trzy zupełnie nowe nazwiska nowych ministrów, nazwiska, których w ogóle wcześniej nie wymieniano na medialnej giełdzie. W tym kobietę. I co, sprawdziło

Znamy dużo więcej kryptopisowców wśród znanych pisarzy. Szczególnie wśród tych bardziej poczytnych i utalentowanych

się? Odpowiedzi prosimy wysłać do nas na e-mail, którego nie podamy.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Wiewiórki opowiadają, że PeŁo zamówiła duże ogólnopolskie pogłębione badania na temat tego, kto ma być kandydatem na prezydenta. Wyniki miały być znane pod koniec minionego tygodnia, więc spodziewajcie się przecieków w rozmaitych mediach lada moment.

WEine Totalopposition doszło też do strasznego aktu przerażającej nienawiści. Tak odrażającego, że aż PiS-owskiego. Otóż kandydatka na kandydata na prezydenta, Małgorzata Kidawa-Błońska, oświadczyła na zamkniętym spotkaniu szefostwa PeŁo, że Donald Tusk nie byłby dobrym kandydatem na prezydenta. Wciąż nie możemy wyjść z szoku.

Poniedziałek – ja. Wtorek – ja. Środa – też ja. Czwartek – dzwoniła Angela. Potem znów ja”. Próbujemy sobie zawczasu wyobrazić, jak będzie wyglądała szczerza książka Złego Donalda z Brukseli zatytułowana „Szczерze”.



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Jednak musi w niej być coś o PiS, Kaczorze Dyktatorze i prezydencie Andrzej Sebastianie. Więc może bardziej „Poniedziałek – jak ja ich k... nienawidzę. Wtorek – dalej ich nienawidzę. Środa – nienawidzę ich ponad wszelką miarę. Czwartek – dzwoniła Angela. Też za nimi nie przepada”.

Oczywiście żartujemy. Rozmawialiśmy z wiewiórką, która już czytała to wiekopomne dzieło. Z jej opowieści wynika, że przypominają raczej ogólnie słuszne banialuki w stylu tych, które kiedyś pisał Tomasz Lis, zanim nie padło mu na myśl ogólne antypisowskie zac zadanie. „Co z tą Polską” i tak dalej. To piękne porównanie. Donald Tusk Tomaszem Lisem polskiej polityki. Jeden i drugi kiedyś dla wielu coś znaczyli, dziś dychają tylko dzięki niemieckim pieniądzom.

Przy okazji. Niespecjalnie wierzymy w zapowiedzi Złego Donalda z Brukseli, że nie będzie kandydował na prezydenta. Do wyborów daleko. W lutym się pewnie okaże, że nie chce, ale musi. Na razie będzie sobie patrzył, jak kompromitują się rozmaici inni pretendenci.

Najbardziej zaciękała nas jednak wiadomość z Brukseli, że Tusk miałby być szefem kolejnej Komisji Europejskiej, za pięć lat. Gdyby okazało się to prawdą, to implikacje są niezwykle ciekawe. Oznaczałoby to, że nikt w Brukseli nie wierzy, iż PiS przegra



kolejne wybory w kraju (2023) i europejskie (2024).

Tymczasem w mediach. Bardzo zabawne okazały się rozważania „GazWybu” na temat rzekomego rozpaczliwego szukania pieniędzy w budżecie, żeby zapłacić dziurę po 5 mld, których zły Gowin nie chce dać, broniąc zasady 30-krotności. Gdyby szturmowcy z Gwiazdy Śmierci z Czerskiej czytali coś poza własną gazetą, na przykład raporty think tanków, to wiedzieliby, że w budżecie jest ok. 30 mld ziko do powachlowania, przestawienia, przesunięcia wydatków na zaprzyszły rok i tak dalej. Dziwnym trafem jesteśmy więc pewni, że przyszłoroczny budżet zepnie się pięknie i bez 30-krotności.

Tymczasem w Pałacu Prezydenckim. Mało kto wie, że prezydent Andrzej Sebastian skierował na ręce naszej nowej noblistki Olgi Tokarczuk zaproszenie nie tylko takie ogólne, lecz także konkretnie na 11 listopada. I tu pewne-

go rodzaju zaskoczenie. Tokarczuk zamiast polecić do „GazWybu” i ogłosić, że nigdy, ale to przenigdy z faszystami wina pić nie będzie, odpowiedziała owszem, odmownie, ale ze wszelkimi formami grzecznościowymi. I po cichu. Szanujemy.

GazWyb” z kolei już próbował robić jesień średniowiecza Markowi Krajewskiemu za przyjęcie z rąk prezydenta Andrzeja Sebastiana odznaczenia za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie kryminału. W wielkiej konfidencji zdradzimy, że od dawna wiedzieliśmy, iż Krajewski to kryptopisowiec. Może dlatego, że jeden z panów chodził do liceum razem z jego najbliższym przyjacielem, niejakim Gościwitem. A poglądy Gościwita są nam od dawna znane. Inna sprawa, że Krajewski na swoich kryminałach tłucze taką kasę, iż może mieć popiskiwanie Czerskiej w tej części ciała, z której zwykle robi się niedobrym ludziom jesień średniowiecza.

Generalnie znamy dużo więcej kryptopisowców wśród znanych pisarzy. Szczególnie wśród tych bardziej poczytnych i utalentowanych. Złośliwie nie ujawnimy nazwisk, bo chcemy, żeby szturmowcom z Czerskiej drżały ręce z niepokoju za każdym razem, kiedy wybierają tytuł do recenzji. Już widzimy ten pot na czole i blade usta wypowiadające najgłębsze lęki: „Na świętych Marksa i Michnika, a co jeśli pochwałę nieodpowiednią osobę?”. ©©

REKLAMA



BELLONA

TEGO NIE NAPISAŁ
ŻADEN SCENARZYSTA,
TĘ HISTORIĘ NAPISAŁO ŻYCIE.

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja

A professional studio portrait of Andrzej Duda, the President of Poland. He is a middle-aged man with short, dark hair, wearing a dark navy blue suit, a white shirt, and a diagonally striped tie in shades of red and brown. He is standing with his hands clasped in front of him, looking directly at the camera with a slight smile. The background is a plain, light grey.

Prezydenckie Tour de Pologne



Wojciech Wybranowski

Zostało mu jeszcze w Polsce do odwiedzenia ok. 30 powiatów, w których nigdy nie pojawił się prezydent Rzeczypospolitej. Ogłosił zniesienie wiz do USA, pokazał się ze światowymi przywódcami w Niemczech, a na koniec roku znów poleci do Stanów. Podczas gdy partie opozycyjne szukają kandydatów, Andrzej Duda jest już w środku nieoficjalnej kampanii

Prezentowane w ubiegłym tygodniu wyniki badań pracowni IBRiS dla Wirtualnej Polski wskazują, że gdyby wybory prezydenckie odbyły się teraz, a opozycja nie wystawiłaby wspólnego kandydata, to urzędujący prezydent Andrzej Duda miałby niemal pewne zwycięstwo w kieszeni. W pierwszej turze zdobyłby 48,2 proc. głosów ankietowanych. Sondaż CBM Indicator przeprowadzony na początku października wskazywał, że obecny prezydent cieszy się największym (58 proc. ankietowanych) zaufaniem Polaków. W dodatku typowany dotąd na głównego rywala Andrzeja Dudy obecny wiceszef Rady Europejskiej Donald Tusk ogłosił w środę, że w wyborach prezydenckich nie wystartuje.

– Podjąłem decyzję, że nie będę startował w nadchodzących wyborach prezydenckich. Możemy wygrać te wybory, ale musi być to kandydatura nieobciążona багаżem trudnych i niepopularnych decyzji, a ja takim багаżem jestem – powiedział Tusk.

I choć w obozie liberalno-lewicowym zrobiło się nerwowo – Władysław Kosiniak-Kamysz wezwał do przeprowadzenia prawyborów na opozycji, a eurodeputowany Leszek Miller diagnozował, że „Andrzej Duda ma drugą kadencję na wyciągnięcie ręki” – to w otoczeniu urzędującego prezydenta korki od szampana bynajmniej nie strzeliły.

STRACH PRZED „ZAKONNICĄ”

Nieoficjalnie od jednego z najbliższych współpracowników prezydenta

Andrzeja Dudy słyszymy, że doskonale pamięta on o przypadkach Bronisława Komorowskiego, który – jak wskazywały sondaże, a za nimi większość mediów – był zdecydowanym faworytem wyborów i miał rozgromić Dudę już w pierwszej turze. Szef „Gazety Wyborczej” Adam Michnik mówił wówczas w programie „Tomasz Lis na żywo”, że Komorowski jest tak dobrym prezydentem, iż mógłby przegrać wybory tylko wtedy, gdyby „pijany przejechał na pasach zakonnicę w ciąży”. Ostatecznie kampania prezydencka i wynik wyborów w 2015 r. okazały się klęską Komorowskiego.

– Słabość opozycji to oczywiście dobry prognostyk, jednak polska polityka jest na tyle nieprzewidywalna, że zawsze może zdarzyć się przysłowiowa „zakonnica w ciąży” i nagle wszystko się posypie – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” nasz rozmówca z otoczenia prezydenta. – W dodatku przekonanie niektórych polityków PiS, że wszystko jest już rozstrzygnięte i można iść „na rympał”, wcale nam zadania nie ułatwia – dodaje, robiąc aluzję do informacji o tym, że kandydatami PiS do Trybunału Konstytucyjnego mają być prof. Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz. Szczególnie tę drugą kandydaturę prezydent miał, zdaniem naszego rozmówcy, „przyjąć z poczuciem absmaku”. – Nie patrzmy więc na to, co robi opozycja, na wyniki sondaży, i robimy swoje. To będzie bardzo trudna batalia – dodaje nasz informator.

Oficjalnie prezydent Andrzej Duda kampanii wyborczej jeszcze prowadzić nie może. Prawdziwy wyścig zacznie się dopiero po ogłoszeniu terminu wyborów prezydenckich. – Gdy przychodzą ludzie z pytaniem, kiedy będziemy coś robić w kampanii, to im mówię, że my pracujemy dla prezydenta Polski, a nie dla kandydata na prezydenta Polski – ucina Marcin Kędryna, dyrektor biura prasowego w Kancelarii Prezydenta RP.

Nieoficjalnie w Kancelarii Prezydenta większość działań głowy państwa już od wielu miesięcy podporządkowana jest właśnie walce o reelekcję. I choć obóz prezydenta nie mógł powołać jeszcze sztabu wyborczego, nie zatrudniono speców od kampanii, Andrzej Duda prowadzi już prezydencki wyścig. – Duda jest takim politykiem, dla którego tylko okres ciszy wyborczej jest czasem odpoczynku. Od pierwszego dnia po

wyborach wziął się do roboty i tę pracę kończy ostatniego dnia przed ciszą wyborczą. Tak to u nas wygląda – mówi nam jeden z prezydenckich ministrów. Przypomina, że już 7 sierpnia 2015 r., dzień po zaprzysiężeniu, Andrzej Duda pojechał w Polskę, aby spotykać się z mieszkańcami trzech powiatów.

PLAN BEZ ZASKOCZEŃ?

Jak będzie wyglądać walka prezydenta o reelekcję? Zdaniem naszych informatorów większych zaskoczeń nie będzie. – Jakiś czas temu jeden ze współpracowników prezydenta przygotował kalendarz działań na ten rok, który jest już realizowany. I jeśli porównasz to, co będzie się działo w kampanii wyborczej, z tym, co się dzieje obecnie, to większych zmian prawdopodobnie nie będzie. Kilka podstawowych aspektów: objazd powiatów, kwestie gospodarcze, polityka międzynarodowa i budowa prestiżu państwa, akcje społeczne – wylicza nasze źródło z Kancelarii Prezydenta RP. – Oczywiście pojawiają się ludzie z różnych miejsc, którzy mówią, jakie mają wielkie plany, czego to nie będą robić w kampanii, ale na razie podchodzimy do tego z wielkim spokojem – dodaje.

Głównym elementem kampanijnych działań prezydenta Andrzeja Dudy będzie najprawdopodobniej – tak jak ma to miejsce obecnie – wyjście z pałacu w teren i liczne spotkania z ludźmi w małych i średnich miasteczkach.

W kampanii wyborczej w 2015 r. Andrzej Duda odwiedził 270 powiatów. A już jako prezydent Rzeczypospolitej wyjechał na spotkania do 118 powiatów. Tylko w tym roku Andrzej Duda 38 razy spotkał się (stan na 6 listopada 2019 r.) z mieszkańcami Polski lokalnej.

– Andrzej wygrał wybory w 2015 r., m.in. dlatego, że był ze zwykłymi ludźmi, dla zwykłych ludzi, pokazywał im, że są ważni. Był przez nich niezwykle ciepło przyjmowany. I teraz będzie to jeden z ważniejszych fundamentów – spekuluje w rozmowie z „Do Rzeczy” jeden z bliskich współpracowników prezydenta Dudy. – On „strażnikiem żyrandola” nie będzie – podkreśla.

Określenie „strażnik żyrandola” przylgnęło do Bronisława Komorowskiego, który jako głowa państwa rzadko opuszczał Pałac Prezydencki, nie lubił spotykać się ze zwykłymi

ludźmi, ograniczając kontakt do spotkań w gronie zaufanych i zaprzyjaźnionych publicystów z szeroko pojętego centrum. Kiedy musiał jechać w teren i rozmawiać z mieszkańcami powiatów, często kończyło się to wpadkami. O Andrzeju Dudzie nie da się tego powiedzieć. Jego roboczy kalendarz pełen jest wyjazdów, nie tylko do dużych aglomeracji, lecz także małych miast i miasteczek.

Jednym z celów prezydentury jest wytłumaczenie ludziom, którzy mieszkają w całej Polsce, na prowincji, że są tak samo ważni jak politycy w Sejmie, jak mieszkańcy Warszawy, jak ludzie w wielkich miastach. To element budowania wspólnoty narodowej i to jeden z elementów prezydentury Andrzeja Dudy – mówi Marcin Kędryna.

W ubiegłym tygodniu Andrzej Duda przemawiał podczas posiedzenia inauguracyjnego obrady kongresu WADA (Światowej Agencji Antydopingowej) w Katowicach. Następnego dnia pojechał do Jarocina, gdzie wziął udział w dwóch odrębnych spotkaniach: z samorządowcami i mieszkańcami. Na 11 listopada zaplanowano udział prezydenta w uroczystościach Święta Niepodległości w niewielkim Rypinie w województwie kujawsko-pomorskim.

Jarocin był jednym z dwóch ostatnich powiatów w Polsce, w których dotąd prezydent się nie pojawił. Poczynając od kampanii wyborczej w 2015 r., zjeżdżał już niemal całą Polskę lokalną.

Jak mówi nam jeden z jego współpracowników – prawdopodobnie prezydencki objazd zostanie powtórzony w kampanii. Ze szczególnym uwzględnieniem ok. 30 powiatów, w których Andrzej Duda co prawda już był – jako poseł, europoseł lub kandydat na prezydenta – ale nigdy po 1945 r. w tych miejscach nie był urzędujący prezydent Polski.

Duda jest świetny w bezpośrednich relacjach z ludźmi. Ma to, czego nie miał Komorowski, czego nie ma pani Małgorzata Kidawa-Błońska: potrafi mówić ich językiem, rozumie ich problemy. Daje im poczuć, że są ważni, że on jako prezydent będzie o nich pamiętał – uważa jeden z doradców prezydenta.

Rzeczywiście, kampania prezydencka w 2015 r. pokazała, że Andrzej Duda potrafi budzić pozytywne emocje wśród wyborców. Na spotkania z nim

przychodziły tłumy. Stawiany na pozycji przegranego Duda ujmował ich entuzjazmem, energią i empatią.

Byłem z nim na jednym z takich wyjazdów, po kilku powiatach w Wielkopolsce. We Wrześni na koniec spotkania przyszło starsze wiekiem małżeństwo, które bardzo chciało go poznać, ale pomyliło godziny i spóźniło się na spotkanie. Więc poświęcił im dodatkowy kwadrans na rozmowę, wszyscy czekali, bo terminy goniły, a on z nimi rozmawiał – opowiada nam dziennikarz, który w poprzedniej kampanii wyborczej jeździł z walczącym o wybór kandydatem tzw. Dudabusem.

W innej wielkopolskiej mieście przyszli ludzie, którzy poskarżyli się, że córka chciała wziąć udział w spotkaniu, ale pracuje w zakładzie fryzjerskim i musiała zostać w pracy. A Duda zapytał o numer do niej, zadzwonił i rozmawiał. Rodzice tej pani i ona sama byli zachwyceni. Takie

Kampania prezydencka w 2015 r. pokazała, że Andrzej Duda potrafi budzić pozytywne emocje wśród wyborców

historie w małych miastach rozchodzą się natychmiast, tworzą pozytywny wizerunek – dodaje nasz rozmówca.

Czasem o wizytach prezydenta w małych miejscowościach jest głośno i z innego powodu. Tak było chociażby w przypadku niedawnej wizyty w niewielkim zachodniopomorskim Szczecinku. Burmistrz Szczecinka Daniel Rak z Koalicji Obywatelskiej zażądał od organizującego wizytę głowy państwa starostwa powiatowego ok. 900 zł za rzekome straty, które miało spowodować wstrzymanie rejsów promu wycieczkowego. – Pan starosta robi sobie kampanię polityczną, zaprasza prezydenta i dlaczego miasto ma ponieść koszty? Jeżeli zapraszam gości, to ja za nich płacę – burzył się Rak.

Wymienianą kwotę zapłacił z własnej kieszeni minister Piotr Woźny, którego postępowanie burmistrza zażenowało. Ale natychmiast oddał mu je poznański historyk prof. Stanisław Żerko.

„Szczecinek to moje rodzinne miasto. Dziękuję za Pana gest. Jest mi jednak po ludzku wstyd za tę sytuację i tych małych ludzi. Chciałbym Panu zwrócić te głupie 900 zł, tę sumę powinien uiścić ktoś związany z tym miastem” – napisał prof. Żerko.

Jednym z elementów już kampanii wyborczej miała być też – jak to określa nasz informator – sprawa „polskości Śląska”. Chodzi tutaj m.in. o wojskową paradę „Wierni Polsce” w Katowicach w Święto Wojska Polskiego. Prezydent Andrzej Duda mówił wówczas, że „nigdy nie podpisze ustawy o obniżeniu emerytur wojskowych, która będzie godziła w tych, którzy służyli Rzeczypospolitej, i w tych, którzy po nich pozostali”. Część mediów spekulowała, że przeniesienie wojskowej defilady z Warszawy – gdzie od kilku lat corocznie się odbywała – to element kampanii wyborczej startującego na posła z Katowic premiera Mateusza Morawieckiego.

Zastanawiałem się, skąd się wzięło w mediach to połączenie, kto coś takiego do nich wypuścił. Był to pomysł prezydenta, a ustalenia w tej sprawie zapadły, zanim podjęto decyzję o starcie premiera Morawieckiego z Katowic – mówi nasze źródło w Pałacu Prezydenckim.

MIĘDZYNARODOWY PRESTIŻ I GOSPODARKA

Skuteczna polityka międzynarodowa może stać się istotnym elementem kampanii w prezydenckim wyścigu. Tak jak stało się nim długo oczekiwane przez Polaków zniesienie wiz do Stanów Zjednoczonych. Najpierw przed wyborami parlamentarnymi prezydent Donald Trump zadeklarował, że taka decyzja już zapadła, a teraz w przededniu Święta Niepodległości potwierdził ją prezydent Andrzej Duda.

Bezwizowa możliwość podróżowania do Stanów Zjednoczonych do 90 dni w celach turystycznych i w celach biznesowych będzie możliwa od 11 listopada tego roku – mówił prezydent Duda. I dodawał: – Dziękuję prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi, który rok temu obiecał, że Polska zostanie przyjęta do tego programu ruchu bezwizowego do końca jego pierwszej kadencji. Bardzo dziękuję też pani ambasador za bardzo poważne potraktowanie tej sprawy, ale dziękuję także wszystkim moim rodakom, którzy się w tę sprawę zaangażowali.

Dobre relacje prezydenta RP i głowy Stanów Zjednoczonych to dość istotny aspekt. Andrzej Duda może pochwalić się sukcesem. W czerwcu tego roku po spotkaniu Dudy i Trumpa w Waszyngtonie doszło do podpisania polsko-amerykańskiej umowy o współpracy, przewidującej zwiększenie potencjału obronnego polskiej armii, w tym zakup samolotów F-35 i zwiększenie liczby żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Polsce. Podpisano także porozumienia dotyczące zwiększenia ilości gazu kupowanego przez Polskę oraz współpracy medycznej między Stanami Zjednoczonymi a Polską. Większość amerykańskich mediów, także nie-przychylnych Trumpowi, opisywała podpisywane umowy jako sukces Polski osiągnięty kosztem Niemiec. „Biały Dom Trumpa zrobił pokaz z chwalenia Polski i wzmocnił pozycję Dudy kosztem niemieckiej kanclerz” – pisał wówczas „The Washington Post”.

Prezydent Andrzej Duda i prezydent Donald Trump spotykali się na dłuższych i krótszych rozmowach kilkakrotnie, a amerykański przywódca nazywał polskiego prezydenta przyjacielem. Wielokrotnie ciepło mówił o Polsce.

Najprawdopodobniej jeszcze w tym roku, w przededniu rozpoczęcia oficjalnej kampanii wyborczej, dojdzie do kolejnego spotkania Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa. – Okazją mogłoby być zakończenie przez Polskę przewodnictwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, które przypada na koniec grudnia tego roku – mówi nasz informator.

Międzynarodowych spotkań, w których uczestniczy Andrzej Duda, jest sporo. Jeszcze w tym tygodniu np. prezydent Duda miał spotkać się w Berlinie z prezydentami Czech, Słowacji i Węgier oraz Niemiec w 30. rocznicę zburzenia muru berlińskiego.

W sumie Andrzej Duda odbył 11 wizyt w Stanach Zjednoczonych, siedem w Niemczech, pięć na Węgrzech i Słowacji, cztery na Ukrainie, po dwie w Izraelu, Chorwacji, Estonii, na Łotwie i w Rumunii. Był też w Wielkiej Brytanii, Czechach, Portugalii, Kanadzie, Norwegii, Danii, Szwecji, Palestynie, Meksyku, Kazachstanie, na Malcie czy w Socjalistycznej Republice Wietnamu. Część z tych wizyt miała charakter kurtuazyjny, np. przy okazji historycznych rocznic, ale np. już na początku swojej prezydentury został zaproszony – wraz

Prezydent Andrzej Duda i prezydent Donald Trump spotykali się na rozmowach kilkakrotnie. A prezydent USA nazwał Dudę przyjacielem

z grupą polskich przedsiębiorców – do Chin, gdzie wziął udział w spotkaniach z premierem Chin Li Keqiangiem oraz Polsko-Chińskim Forum Gospodarczym, a także w szczycie gospodarczym państw Europy Środkowo-Wschodniej i Chin.

– Mamy się czym chwalić, bo za prezydentury Dudy polska polityka zagraniczna przynosi wymierne efekty, także jeśli chodzi o współpracę gospodarczą, czego Chiny mogą być jednym z kilku przykładów – mówi jeden z naszych informatorów. – Działania dotyczące wsparcia dla naszej gospodarki są jednym z tych elementów, które są dziś przez nas wykorzystywane i mogą być wykorzystane w kampanii – dodaje.

WAŻNA JEST WSPÓLNOTA

Czy tak będzie? Wiele na to wskazuje. Jedno z naszych źródeł mówi, że elementem gospodarczej kampanii prezydenta Dudy może być np. powołanie przez niego wiosną tego roku Rady ds. Przedsiębiorczości, która ma pomóc w stworzeniu polskim przedsiębiorstwom warunków do stabilnego rozwoju. Małe i średnie przedsiębiorstwa to 40 proc. naszego PKB, to 70 proc. miejsc pracy w Polsce. – W związku z czym nie ma żadnych wątpliwości, że każde działanie, które przyczyni się do poprawy warunków funkcjonowania na rynku gospodarczym, do poprawy przedsiębiorcom możliwości czy to inwestowania, czy po prostu funkcjonowania ich firm na co dzień – jest nie tylko oczekiwane, ale przede wszystkim bardzo potrzebne Polsce – mówił wówczas Andrzej Duda.

Rok wcześniej ludzie prezydenta zorganizowali konferencję poświęconą polskiemu start-upom i wsparciu dla nich. – Do tego dojdą zapewne okolicznościowe wydarzenia i akcje, które będą miały też miejsce i w przyszłym roku, w rodzaju akcji sadzenia drzewek „sadziMY” czy zaproszenia naszej noblistki Olgi Tokarczuk albo udziału w akcji Wiel-

kiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Nie wszystkim będzie się to podobać, ale jest ważne dla tych, dla których ważna jest wspólnota, a takich jest w Polsce większość – mówi współpracownik prezydenta.

CO ZE SZTABEM W TEJ KAMPANII

Zdaniem naszych informatorów nie ma jeszcze pomysłu na to, kto miałby wejść w skład sztabu prezydenckiego podczas kampanii wyborczej w 2020 r. Nasze źródła mówią, że Duda chciałby skorzystać z ludzi, którzy współpracują z nim w Kancelarii Prezydenta, i tych, którzy pomagali mu w poprzedniej kampanii. W kilku przypadkach będzie dziś to niemożliwe. Ówczesna szefowa jego sztabu Beata Szydło została euro-deputowaną, nieoficjalnie mówi się też, że relacje między nią a prezydentem od tamtego czasu się pogorszyły.

Wpływ na kształt sztabu i projekt kampanii Dudy będą miały też władze PiS i Jarosław Kaczyński. Relacje Dudy z szefem PiS w trakcie tej kadencji ulegały pogorszeniu, czego kulminacją było prezydenckie weto wobec ustaw mających reformować wymiar sprawiedliwości. Jarosław Kaczyński kilkakrotnie okazywał też swój niechętny stosunek prezydentowi, władze PiS zablokowały też – głosami senatorów PiS – prestiżowy dla prezydenta projekt przeprowadzenia referendum konstytucyjnego. Kilkakrotnie też politycy Prawa i Sprawiedliwości mówili nieoficjalnie mediom, że partia może wystawić innego niż Duda kandydata na prezydenta. Dzisiaj taka ewentualność na Nowogrodzkiej nie jest już rozważana, a relacje między liderem partii Jarosławem Kaczyńskim a Andrzejem Dudą się poprawiły. – Prezydent proponował, by to Jarosław Kaczyński był marszałkiem seniatem, ale prezes zdecydował, że z różnych względów nie przyjmie tej funkcji. Wynikiem porozumienia jest nominacja na to stanowisko dla Antoniego Macierewicza – twierdzą nasze źródła.

Macierewicz jako szef MON szybko wszedł w konflikt z urzędującym prezydentem, którego głównym powodem była różnica zdań na temat tego, kto faktycznie ma sprawować przywództwo nad polską armią. Zwycięsko z konfliktu wyszedł prezydent Duda.

PiS – jak się pozbierać po sukcesie?

Przez ostatnie miesiące strategia PiS opierała się na dwóch założeniach. Po pierwsze – że żelazny elektorat może sarknąć, ale nie odejść, więc skupić się trzeba na walce o centrum, a centrum chce przede wszystkim świętego spokoju. Po drugie – że przestrzeń do dalszego wzrostu PiS jest głównie na wsi, z której można w całości wyprzeć PSL i przejąć masę upadłościową po nim, spychając w ten sposób PO i SLD do strukturalnej mniejszości. Wieś zaś kieruje się przede wszystkim wyrachowaniem, od kogo dostanie więcej pieniędzy.

Z tych dwóch wskazań wyciągnięto wniosek, że PiS powinien stać się partią „cieplej wody w kranie” czy może – by sięgnąć po porównanie kulinarne – ciepłych kluch, ale tłusto okraszonych. Strategię tę już dawno temu ujął Jarosław Kaczyński w zapowiedzi „PiS od dziś znaczyć będzie: pieniądze i spokój”, i – co prawda – jej wprowadzenie w życie mocno się przeciągnęło, bo partii wyrosłej z polsko-polskiej wojny trudno było zapanować nad retoryką, ale ostatecznie w kampanii nie słyszało się o imigrantach, targowicy i kaście kradnącej części do wiertarek, tylko o nowych świadcze-



Rafał A. Ziemkiewicz

Paradoksalnie najbardziej pogubiona i zdezorientowana jest po wyborach właśnie ta partia, która je wygrała. Sukces nie przełożył się na oczekiwaną poprawę politycznej sytuacji – przeciwnie, rządzić będzie teraz trudniej. Stare wytyczne straciły sens, nowych jeszcze nie ogłoszono, ale wiele wskazuje na powrót do twardej linii

niach i subwencjach, a twarz Jarosława Kaczyńskiego zdobił jak bodaj nigdy szeroki uśmiech.

Dziennikarze nazwali tę linię „doktryną Parucha”, ja osobiście podsumowywałem ją formułą, że „PiS się stuszczył”, podkreślając fakt, że równolegle „PO spisała”, brnąc dokładnie w te same zachowania, które przed rokiem 2015, gdy były one domeną PiS, nazywała „antydemokratycznym rokoszem”, „delegitimizowaniem państwa” oraz „podkopywaniem fundamentów demokracji” i oczywiście nie posiadała się z oburzenia. (Można rzec, że powstała w ten sposób rodzima odmiana zjawiska, które w zachodniej Europie nazwano kiedyś „obrotową sceną polityczną” – tyle

że tam chodziło o fakt, iż wymieniane się miejscami partie w opozycji mówiły o wrażliwości społecznej, a przy władzy o równowadze budżetowej, u nas zaś zmiana dotyczy radykalizmu w wojnie tożsamościowej).

„SPOKÓJ” I „PIENIĄDZE”

Wyzwaniem dla PiS stało się teraz rozstrzygnięcie, czy „doktryna Parucha” sprawdziła się i należy stosować ją dalej, czy też uznać za błąd i odrzucić.

Z jednej strony – łagodzenie przekazu i sypanie obietnicami przyniosło oczywiście korzyści, elektorat wzrósł o 2,3 mln głosów, głównie wiejskich, do ponad 8 mln. Nigdy jeszcze żadna partia w dziejach

III RP nie miała tak szerokiego poparcia. Z drugiej – okazało się, że nie da się aż tak daleko wyprawić się po nowe zdobycze i zachować polityczny matecznik.

W ramach „spokoju” PiS panicznie uciekał od postulatów takich jak ograniczenie swobody aborcji, wymówienie „konwencji stambulskiej” czy okazanie stanowczości wobec roszczeń amerykańskich organizacji żydowskich do „mienia bezspadkowego”. Lęk przed atakami liberalnych mediów przyczynił się np. do brzemiennej w skutki decyzji w sprawie senatora Bonkowskiego, usuniętego przed wyborami z PiS z powodu uznano go za antysemicki wpis w Internecie i za nazwanie Aleksandry Dulciewicz „proniemiecką”. Mających prokuratorские zarzuty Stanisława Gawłowskiego i Krzysztofa Kwiatkowskiego opozycja niby nie ogłaszała swoimi kandydatami, ale nikogo przeciwko nim nie wystawiła. Gdyby tak samo zachował się PiS wobec popularnego w okręgu senatora, nie miałby teraz bólu głowy w izbie wyższej. Jednak na Nowogrodzkiej uznano chyba, że TVN z „Wyborczą” nie przepuszcza takiej gratki i trzeba mieć w okręgu kandydata partyjnego, choćby pozbawionego szans. Z analogicznych powodów nie zdecydowano się na lokalne porozumienia z senackimi kandydatami Konfederacji.

W ramach „pieniędzy” z kolei zapędziła się rządząca partia w obietnice składane na koszt przedsiębiorców, na dodatek z uzasadnieniem, że jeśli kogoś nie stać na podnoszenie pracownikom płac w nakazanym tempie, to nie nadaje się do biznesu. Pierwszym PiS zraził do siebie ideową prawicę, drugim – przedsiębiorców, szczególnie tych drobnych.

Ceną sukcesu „pieniędzy i spokoju” był więc powrót na polityczną scenę partii narodowo-katolickiej oraz znaczny sukces PSL w małych miastach, który z nawiązką zrekompensował mu straty poniesione na wsi i dał partii odsyłanej już do historii drugie życie. Czy było warto?

Na to właśnie pytanie nikt w PiS odpowiedzieć nie umie. Ani nawet, powiedzmy sobie otwarcie, nie próbuje. Wszyscy w partii wiedzą, że władny udzielić tej odpowiedzi i ewentualnie przełożyć ster jest tylko Komendant. Nie wiedzą, niestety, co robić, gdy nie daje on jasnych wytycznych. Muszą zgadywać.

Jedną z możliwych odpowiedzi jest przyjęcie, że najważniejsze jest w obecnej sytuacji politycznej pozostanie przez

Andrzeja Dudę na urzędzie prezydenckim. A tym, co najbardziej temu zagraża, jest spolaryzowanie nadchodzących wyborów w kolejny plebiscyt „PiS kontra reszta świata”. Trzeba więc, na razie, pogodzić się z rozczarowaniem żelaznego elektoratu oraz możliwym przerzucaniem przezeń sympatii na prawicowo wyrazistszą Konfederację i przede wszystkim rozmiękczać krytykę płynącą ze strony liberalno-lewicowych salonów.

Tak rozumiałbym powody, dla których Jarosław Gowin zbulwersował elektorat PiS zapowiedzią, że „położy się Rejtanem” w obronie obecności na polskich wyższych uczelniach tzw. gender studies. Nie ma tu chyba co wdawać się w merytoryczną dyskusję – chodzi w końcu nie o wolność słowa, na którą powoływał się wicepremier, lecz o to, czy godzi się utrzymywać z pieniędzy podatników „badania”, które coraz częściej są na świecie demaskowane jako zwykła pseudonaukowa hochsztaplerka.

POWRÓT DO TWARDEJ LINII?

Być może do takich sygnałów można zaliczyć także powrót do agendy PiS, za sprawą dwóch dziennikarzy „Gazety Polskiej Codziennie” i nieumiejącego przeciwstawić się ich szarży rzecznika Fogla, w sprawie zakazu hodowli zwierząt na futra. Tutaj znowu trzeba zwrócić uwagę na poważną hipokryzję wrogów branży futrzarskiej – choć oficjalnie mówią o „dobroście zwierząt”, nie chodzi im bynajmniej o żadne normy czy przepisy, które by regulowały hodowlę, tylko o prostu o likwidację całej branży, w oczywistym interesie zagranicznej konkurencji. Ten pomysł rozwściecza rolników, bo dla każdego oczywiste jest, że „futerkowce” to tylko początek. Tymi samymi argumentami można uznać za „niemoralne” fermy drobiu i w ogóle wszystkich zwierząt rzeźnych, czy też, jak czyni to europosłanka Spurek, produkcję mleka.

W tym przypadku przejmowanie przez PiS sztandarowych, antyrolniczych haseł skrajnej lewicy może nie być skutkiem kalkulacji, tylko obłędu – do „prozwierzęcego” wzmoczenia dołączył od razu Krzysztof Czabański, dopiero co bardzo wyraźnie za swe antyrolnicze działania ukarany przez wyborców, postulując stworzenie specjalnej „policji ochrony zwierząt”. W kategoriach politycznej gry wyjaśnić takiego pomysłu się nie da. Podaną w ten sposób piłkę już podchwycili Konfederaci, zapowiadając inicjatywę sej-

mowego zespołu broniącego hodowców, niewątpliwie wystąpi też w ich obronie zagrażające PiS z drugiej flanki PSL.

Do przejawów kontynuowania kursu „miękkiego” zaliczyłbym też ogłoszenie przez prezydenta oficjalnego zaproszenia dla Olgi Tokarczuk, mimo realnego ryzyka, że noblistka wykorzysta je do jakiejś politycznej, antypisowskiej demonstracji (co zresztą niekoniecznie musiałoby reelekcji prezydenta zaszkodzić).

Jednocześnie prezydent wskazał na marszałka seniora Sejmu Antoniego Macierewicza, od dłuższego czasu w PiS zmarginalizowanego. Ten wybór jest niewątpliwym ukłonem do żelaznego elektoratu, i, jeśli zasugerował go sam Komendant (skądinąd podobno prezydent chciał marszałkiem seniorem uczynić właśnie jego), może to oznaczać, że cierpliwość Macierewicza się opłaciła. Po wejściu do Sejmu Konfederacja znowu staje się potrzebny, by odbudować zaniedbaną katolicko-narodową flankę partii i rywalizować z coraz bardziej pobożnym w symbolice Marszem Niepodległości na patriotyczną różnicowość. Może to oznaczać także dobrą koniunkturę dla lekceważonego w ostatnich latach ojca dyrektora.

Zdaje się do tego pasować zaskakująca decyzja o kandydaturach PiS do Trybunału Konstytucyjnego, jak twierdzą zainteresowani – nieskonsultowana z partiami Gowina i Ziobry. Decyzja ta wielu nawet życzliwym PiS komentatorom wydaje się niezrozumiała. Czyżby Komendant naprawdę chciał pokazać, że PiS nie ma żadnych niezaangażowanych w pierwszej politycznej linii ekspertów?

Możliwe jest tylko jedno wyjaśnienie: Jarosław Kaczyński znalazł receptę na powyborcze pogubienie się PiS w powrocie do twardej linii i chce sprowokować jak najostrzejszą reakcję totalnej opozycji. Wracając do temperatury emocji z czasów KOD i „ciamajdanu”, chce wziąć w kleszcze PSL, nawet za cenę obrony PO przed utratą wyborców na rzecz proponującego łagodny kurs Kosiniaka-Kamysza. Liczy też, że wymusi dyscyplinę na wzmocnionych wyborami frakcjach – przecież im ostrzejsza walka, tym mniejsze pole do dyskusji i mniej miejsca na wątpliwości.

Chyba że ogłoszenie kandydatur Piotrowicza i Pawłowicz to tylko rodzaj rozpoznania walką, a strategiczne decyzje podejmie Jarosław Kaczyński, oceniwszy reakcje na nie. Pokażą to już najbliższe tygodnie.



Z Jarosławem Sellinem, wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego, posłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Dorównamy Zachodowi

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czego pan się spodziewa po nowej kadencji parlamentu?

JAROSŁAW SELLIN: Dalszej realizacji wizji polskiego modelu państwa dobrobytu. Pod względem materialnym, dzięki dobrej zmianie, Polacy przez cztery lata zaczęli spełniać marzenia poprzednich pokoleń, by poziomem życia dorównać narodom żyjącym na zachód od nas. Jest to już w naszym zasięgu za kilka, kilkanaście lat, ale wymaga dobrego rządzenia. Zaczniemy od realizacji „piątki Kaczyńskiego” w pierwszych stu dniach nowych rządów.

W jaki sposób na wasze rządy wpłynie krucha równowaga sił w Senacie?

Silniejsza pozycja naszych przeciwników w ławach izby wyższej nie stanowi dla nas poważniejszego problemu politycznego. Ostateczna ocena każdej senackiej poprawki należy do Sejmu, dlatego opozycja nie jest w stanie zablokować procesu legislacyjnego, może go jedynie opóźniać. Wiele zależy od tego, jaką postawą będą się kierować senatorowie Koalicji Obywatelskiej, SLD i PSL. Mam nadzieję, że czeka nas merytoryczna debata, w której zakresie polityki opozycji, zamiast blokować wszystkie nasze inicjatywy z kłucza

partyjnego, będą proponować sensowne zmiany, w ramach konstruktywnej krytyki przekonując nas do swoich racji.

Jest pan optymistą w tym zakresie?

Totalność opozycji działa destrukcyjnie na państwo, niszczy wspólnotę. Wiele przykładów na potwierdzenie tej tezy widzieliśmy w trakcie poprzedniej kadencji. Marzę o innym niż w latach 2015–2019 stylu uprawiania polityki przez naszych przeciwników. Wierzę, że to jest realne. Cztery lata totalnej walki z rządem skończyło się klęską opozycji. Powinni to przemyśleć. Widać już, że część polityków opozycji takie wnioski wyciąga. Takie są zapowiedzi PSL, a i jeden z posłów Konfederacji zapowiedział, że nie będą odrzucać wszystkich propozycji rządu.

Ludowcy nauczyli się na błędach? PSL to opozycja merytoryczna?

Politycy tej partii wysyłają sygnały sugerujące, że w tej kadencji nie będą odrzucać wszystkiego, co zaproponuje Zjednoczona Prawica.

Porozmawiajmy o nowym rządzie. Jak bardzo będzie się różnił od dotychczasowego?

Pewne jest, że premierem na kolejne cztery lata pozostanie Mateusz Morawiecki, zaś na stanowiska marszałków Sejmu i Senatu będziemy proponować kolejno: Elżbietę Witek oraz Stanisława Karczewskiego.

Zostanie też odtworzone Ministerstwo Skarbu Państwa pod nową nazwą oraz kierownictwem Jacka Sasina. Jarosław Gowin uprzednia likwidację tego resortu nazwał „jedną z największych pomyłek” rządów Zjednoczonej Prawicy. „Spółki przestały współpracować i stały się elementami udzielnych księstw poszczególnych ministerstw” – tak tę tezę tłumaczył lider Porozumienia. Ponowne połączenie spółek w jednym ministerstwie zapobiegnie walkom frakcyjnym?

Każdy model zarządzania ma swoje plusy i minusy. Żaden nie jest idealny.

Zaletą rozproszenia spółek było to, że zajmowały się nimi konkretne resorty, wyspecjalizowane w konkretnych branżach. Z merytorycznego punktu widzenia to było sensowne. Ministerstwo Zasobów Narodowych – jak sama nazwa wskazuje, będzie zajmować się całym majątkiem Skarbu Państwa, nie tylko spółkami.

„Narodowy” to chyba wasz ulubiony przymiotnik.

Bardzo ładnie brzmi, prawda? Naród jest pojęciem niezwykle pozytywnym – to wspólnota tak naturalna jak rodzina. Trzeba ją pielęgnować, wspierać, także na poziomie językowym. Mówię to jako wiceszef resortu kultury, któremu podlega bardzo wiele instytucji, określonych takim właśnie przymiotnikiem: Opera Narodowa, Teatr Narodowy, Filharmonia Narodowa...

Wracając od rzeczywistości językowej do tej realnej, przejdźmy do kontrowersyjnych kandydatur do Trybunału Konstytucyjnego...

Kontrowersyjnych, ale dobrze przygotowanych do pełnienia funkcji w Trybunale.

Zgłosiliście kandydatury: Elżbiety Chojny-Duch, Stanisława Piotrowicza, prof. Krystyny Pawłowicz. Pierwsza nie wzbudza większych emocji. Co innego dwoje pozostałych. „To osoby, które dyskwalifikowały Sejm, teraz mogą dyskwalifikować Trybunał Konstytucyjny. Przecież to byli najtwardsi funkcjonariusze partyni” – to opinia Andrzeja Zolla.

Nie zgadzam się z tą opinią. To osoby, które pomagały nam reformować wymiar sprawiedliwości zgodnie z oczekiwaniem większości Polaków. Tę reformę trzeba kontynuować.

Jednak czy aby na pewno działacze partyni powinni trafić do TK? Czy to nie grozi upolitycznieniem niezależnej z założenia instytucji?

Jeśli były polityk ma wykształcenie prawnicze i duży dorobek akademicki bądź praktyczny w zawodzie prawniczym, to nie widzę problemu, aby zasiadał w sądzie konstytucyjnym.

To prawda. Zarówno Stanisław Piotrowicz, jak i Krystyna Pawłowicz są doświadczonymi prawnikami. Jednak politykami partii rządzącej byli jeszcze dosłownie wczoraj. Czy to naprawdę nie jest problem?

Jednak przestali nimi być, decydując się na inną, dalszą karierę zawodową, zgodną ze zdobytym wykształceniem. Leon Kieres też trafił do Trybunału prosto z ław senackich. Chwilę wcześniej był więc politykiem.

Czy gdyby polityk Platformy o wykształceniu prawniczym za rządów Platformy został sędzią TK, też nie widziałby pan w tym problemu upolitycznienia TK?

Tak właśnie było z Kieresem. Z samego faktu, że instytucja polityczna, którą jest Sejm, wybiera członków Trybunału, nie wynika, że Trybunał jest upolityczniony. Upolitycznieni to są ci szefowie trybunałów czy sądów, którzy w trakcie pełnienia tych funkcji biorą udział w wiecach politycznych, ze świeczkami w dłoniach, a nawet na nich przemawiają. Jestem przekonany, że naszym kandydatom nawet do głowy nie przyjdzie, by w czymś takim uczestniczyć.

Zgoda. Jednak czy aby na pewno „polityczny” powinien być sąd konstytucyjny?

Kierujemy do jego składu osoby, które mają świadomość, że powinny kierować się niezależnością. Warto pamiętać, że sędziowie TK wybierani są na dziewięcioletnią kadencję. Wcale więc nie muszą być zakładnikami określonej opcji politycznej, bo ich kadencja wykracza daleko poza kadencje instytucji politycznych.

Marcin Matczak pyta na Twitterze: „Mam poważne pytanie do popierających PiS – czy naprawdę Wasza partia nie może wystawić kandydatów do TK, którzy będą apolitycznymi prawnikami o konserwatywnym światopoglądzie? Trump wystawił Gorsucha – można się z nim nie zgadzać, ale trudno potępić. Ale Pawłowicz i Piotrowicz?”. Co na to Jarosław Sellin?

Nie rozwinął, jakie ma zastrzeżenia do tych obojga kandydatów. Może jakąś skrajność polityczną? Ja ich tak nie postrzegam.

A czy Stanisław Piotrowicz nie jest policzkiem dla tych wyborców PiS, którzy od swojej partii oczekują konsekwentnej dekomunizacji?

Nie rozumiem.

Mam na myśli kontrowersyjną przeszłość zawodową w latach PRL.

W tych latach pracowało kilkanaście tysięcy prokuratorów, a tylko z Piotrowi-

cza próbuje się robić „prokuratora stanu wojennego”. Wyjaśnienia znamy: zajmował się przestępstwami kryminalnymi i gospodarczymi, a w dwóch przypadkach, gdy zetknął się ze sprawami o charakterze politycznym, doszło do umorzeń. Są też świadectwa wdzięczności wobec niego od osób, którym groziło więzienie za politykę.

Jednak pan – jako były dziennikarz, a obecnie wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego – doskonale wie, że liczą się nie tylko fakty, lecz także ich medialne interpretacje. A te dla Piotrowicza i Pawłowicz nie są korzystne. Te kandydatury mogą zniechęcić centrowych wyborców PiS czy Andrzeja Dudę, który przecież już startuje do walki o reelekcję.

Przesadza pan.

Tak czy inaczej Andrzej Duda potrzebuje większej liczby głosów niż PiS do zwycięstwa. Jak je zdobędzie?

Rzeczywiście Andrzej Duda potrzebuje w tych wyborach poparcia ok. 9 mln Polaków, biorąc pod uwagę, że frekwencja w wyborach prezydenckich jest zawsze wyższa niż w parlamentarnych. Nie będzie to łatwe – tu zgoda – ale jestem pewien, że się uda.

Który polityk opozycji mógłby zagrozić urzędującemu prezydentowi w kampanii?

Nie będę spekulował, bo jako polityk popierający Andrzeja Dudę nie mam zamiaru nic podpowiadać jego przeciwnikom.

Na godnego rywala kreowany jest Władysław Kosiniak-Kamysz. Taki pomysł na kandydata wysmiał Sławomir Neumann, sugerując, że PSL przeżywa „zawrót głowy” od „sukcesu”, którym miał być ośmioprocentowy wynik w wyborach. Podziela pan ironię Neumanna?

Powiem tylko jedno: nie lekceważymy żadnego z potencjalnych kandydatów. Z pewnością w pierwszej turze powalczy wielu polityków. Jestem przekonany, że Andrzej Duda wejdzie do drugiej tury i ją wygra. Więcej nawet: postaramy się tę batalię rozstrzygnąć już w pierwszej turze. Łatwo nie będzie. Pewne jest jednak, że Andrzej Duda będzie szlachetnie rywalizował z przeciwnikami w wyścigu o fotel prezydencki.

Donald Tusk zlecił badanie, z którego wynika, że start w wyborach to dla niego wielkie ryzyko z uwagi na bardzo szeroki elektorat negatywny. Po czym zrezygnował ze startu...

Nie jestem zaskoczony wynikami tych badań. Polacy pamiętają siedmioletnie rządy Tuska i ich nieciekawe zakończenie. Trudno zaufać politykowi, który odpowiedzialne stanowisko premiera rządu swojego kraju porzucił na rzecz stanowiska usługowego, podrzędnego, którym jest funkcja szefa Rady Europejskiej. Trudno sobie wyobrazić, aby na taką polityczną degradację pozwolili sobie Cameron, Angela Merkel, premier Francji, ktokolwiek szanujący swój kraj. Polacy zapamiętali sobie ten tekturowy styl rządzenia „państwem teoretycznym”, które nie realizowało żadnej ambitnej polityki służącej ludziom i w gruncie rzeczy „związało państwo”. Wolałbym, żeby obecny szef RE już nie odgrywał żadnej roli w polskiej polityce.

A kto jest liderem opozycji na dziś?

Nie mam pojęcia. To o tyle trudne pytanie, że formalnie najsilniejsza z formacji opozycyjnych jest jedyną partią, która z tych wyborów wyszła z poczuciem klęski.

Jarosław Gowin zapowiedział, że „położy się Rejtanem”, jeśli ktoś będzie próbował ograniczać wolność słowa zwolennikom ideologii gender. Co na to wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego?

Słowa wicepremiera padły w szerszym kontekście obrony autonomii uczelni wyższych. A to raczej idea słuszna, zgodna z wielowiekową tradycją. Uważam jednak, że uczelnie powinny zajmować się nauką, nie zaś ideologią. Natomiast na szczęście – o czym zresztą w cytowanym przez pana wywiadzie wicepremier wspominał – tylko na jednej polskiej uczelni prowadzone są gender studies. To i tak o jedną uczelnię za dużo.

Jakie będą priorytety polskiej polityki historycznej i kulturalnej obozu Zjednoczonej Prawicy na najbliższe cztery lata?

W polityce historycznej, polityce pamięci dalsze powoływanie, otwieranie, wzmacnianie instytucji, gdyż tylko ich systematyczna praca może przynieść efekty w budowaniu „kapitału moralnego” narodu i państwa, a takie jest zadanie tej polityki. Ta mapa instytucjonalna wreszcie się wypełnia: muzeami, instytucjami. W polityce kulturalnej dalsze wzmacnianie mecenatu państwa, a więc coraz większe pieniądze na kulturę, a także polepszenie bytu materialnego artystów. W największym skrócie to priorytety na najbliższe cztery lata.



Piotr Gociek

**Partia chadeków, drobnych kapitalistów, polskich przedsiębiorców
czy proteza dla liżącej rany Platformy – oto sedno wyboru,
przed którym stoją ludowcy**



PSL – nowa endecja?

Czy Władysław Kosiniak-Kamysz będzie kandydatem zjednoczonej opozycji na prezydenta? Miesiąc po wyborach o Polskim Stronnictwie Ludowym najczęściej mowa jest w najmniej istotnym kontekście. Rada naczelna PSL podjęła uchwałę stwierdzającą, że naturalnym kandydatem ludowców na prezydenta jest Kosiniak-Kamysz, a ten zapewne wystaruje, bo każde wybory to okazja do promowania własnej partii. Kandydatem zjednoczonej opozycji jednak nie będzie, bo i Platforma Obywatelska, i trójnurtowa lewica mają własne interesy do załatwienia przy okazji kampanii prezydenckiej.

O wiele ciekawsze jest pytanie, co tak naprawdę przydarzyło się PSL 13 października 2019 r. Czy był to jedynie splot szczęśliwych okoliczności, czy może osiągnięty przez ludowców wynik zwiastuje początek ich nowej drogi. Jedno nie wyklucza drugiego. Wszak dla PiS splot szczęśliwych okoliczności, który dał Zjednoczonej Prawicy samodzielną większość w Sejmie, był jednocześnie nowym początkiem. Nikt nie uwierzyłby w roku 2015 w przepowiednię, że za kilka lat pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego ta sama formacja zdobędzie ponad 8 mln głosów, a jej najważniejszą, oprócz szefa PiS, twarzą będzie znany naonczas głównie w kręgach finansowych bankier Mateusz Morawiecki.

PSL w roku 2015 zdobyło 780 tys. głosów. O ponad 400 tys. mniej niż w roku 2011 (1,2 mln). Tendencję spadkową potwierdziły wybory samorządowe z roku 2018, w których ludowcy osiągnęli dużo gorszy wynik (12 proc.) niż w roku 2014 (niemal 24 proc.). Przegrany bój o europarlament, kiedy to PSL startowało w Koalicji Europejskiej z PO, SLD i Nowoczesną, był kolejnym powodem do zmartwień. Część wyborców ludowców została w domach, część głosowała na PiS. Jesienne wybory do Sejmu zamieniły się w grę o wszystko, być albo nie być. Władysław Kosiniak-Kamysz zdawał się mieć przed sobą dwie opcje: złą i niedobłą. Samodzielny start i nieprzekroczenie pięcioprocentowego progu albo



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Na sojusz budowany przez PSL oddano ponad półtora miliona głosów. Kosiniak-Kamysz wygrał, ale najważniejszą kwestią jest, co zrobi ze swoim zwycięstwem.

Na stole leżą trzy opcje. Pierwsza, którą nazwałem roboczo „nic się nie stało”, oznaczałaby, że mimo współpracy w ramach klubu parlamentarnego (w którym oprócz ludowców ponownie będą pojedynczy przedstawiciele rachitycznej Unii Europejskich Demokratów oraz – po raz pierwszy – pojedynczy posłowie ruchu Kukiza) polityka ludowców się nie zmienia. Czasem podkreślają swą odrębność, kiedy czują, że światopoglądowe pomysły PO i Lewicy stają się nie do przyjęcia dla elektoratu PSL, okazjonalnie wstrzymują się od głosu, gdy PiS przedstawi jakiś nowy projekt społeczny, poza tym jednak niespecjalnie wychylają się z opozycyjnego chóru rytualnych potępień i oskarżania PiS o niszczenie demokracji oraz łamanie konstytucji. Co dalej? A to się zobaczy, do końca kadencji daleko. Moim zdaniem takie podejście to droga wprost do szybkiego roztrwonienia kapitału z trudem zgromadzonego w ostatnich wyborach.

Opcja druga, być może już realizowana, to koncepcja PSL jako neo-Platformy. Z tego punktu widzenia ciekawie brzmią medialne doniesienia o dobrych relacjach Kosiniaka-Kamysza z Donaldem Tuskiem. Ten ostatni lansował już lidera ludowców na premiera koalicyjnego rządu „wszyscy przeciw PiS”, teraz lansuje go na kandydata zjednoczonej opozycji na prezydenta. Tusk nie kryje rozczarowania polityką Schetyny, obaj panowie wciąż mają wiele niezadowolonych porachunków.

PSL jako neo-Platforma oznacza coś więcej niż tylko propozycję dla wyborców PO zniechęconych Schetyną, wewnętrznymi sporami w partii, brakiem wizji i dziwnymi manewrami światopoglądowymi. PSL jako neo-Platforma mogłoby zagrać przeciw PiS w grę, która przyniosła kiedyś sukces Tusкови w kampanii 2007 r. Była to gra, którą opisałem szczegółowo w książce „Pozamiatane. Jak Platforma Obywatelska porwała Polskę”. Partia Tuska od chwili stworzenia przez PiS rządu w 2005 r. grała w „PO jest lepszą partią zmiany” albo „PO jest lepszą prawicą”.

Tusk, mobilizując wyborców przeciw Kaczyńskiemu w ramach „pierwszego wielkiego anty-PiS-u”, kokietował jednocześnie dawny elektorat PO-PiS, mówiąc: tak, zmiany są potrzebne, ale powierzcie im ich przeprowadzenie niewłaściwej ekipie. Wyborcy zaś zmian oczekiwali,

i to głębokich, to właśnie było przyczyną przełomu roku 2005. To, co Tusk zrobił z tymi oczekiwaniami, jest już zupełnie inną historią.

Platforma po klęsce w roku 2015 w podobną grę zagrać nie potrafiła, bo po pierwsze zastygła w paroksyzmie ślepej nienawiści do zwycięskiego PiS, po drugie nie okazała się zdolna do wewnętrznego resetu, po trzecie próba surfowania na fali „czas na zmiany” oznaczałaby przyznanie wprost, że przez wcześniejsze osiem lat rację miał PiS, a nie PO. Odpowiedzią na rządy Zjednoczonej Prawicy stała się więc opozycyjność totalna, połączona z pogroźkami, że PiS obali ulica albo zagranica.

To, co było niemożliwe w roku 2015, mogłoby być możliwe w roku 2019 i kolejnych latach. Nie wydaje się jednak, by PO była wiarygodna w roli neofity. Taką rolę za to może doskonale odgrywać PSL. Łatwo wyobrazić sobie, jak Kosiniak-Kamysz przejmuje część retoryki PiS i przedstawia się jako zwolennik aktywnej polityki społecznej, polityk dbający o polską tradycję, przestrzegający przed konfliktem z Kościołem, jako orędownik polskiego małego biznesu, promotor eksportu, przeciwnik globalizacji podpisujący się pod hasłem „kapitał ma narodowość”. Łatwo też sobie wyobrazić, że dzięki temu przejmuje niektórych dotychczasowych wyborców PO i jednocześnie łączy tam, gdzie w ostatnich latach PiS odnotował największy wzrost: wśród niezdecydowanych.

Pytanie, co PSL mogłoby zrobić dalej z tak uzyskanym poparciem. Myślę, że w scenariuszach kreślonych przez Tuska ludowcy – nie mam wątpliwości, że traktowani instrumentalnie – mieliby być „konserwatywnym skrzydłem PO poza PO”, odbierając PiS poparcie tam, gdzie w tej samej roli sama Platforma byłaby zupełnie niewiarygodna. Osłabiona Platforma i wzmocnione PSL – zagospodarowujące wspólnie odpowiednią liczbę głosów, by znów wspólnie rządzić, ale bez Schetyny, za to pod patronatem Tuska – tak, to też jest do wyobrażenia.

TRZECIA DROGA

Przed PSL jednak także opcja trzecia, najciekawsza, choć najtrudniejsza. Spójrzmy na to, jak ułożyły się wyniki ludowców w minionych wyborach. Wciąż osłabieni na wsi, gdzie PiS pozostaje niekwestionowanym hegemonem, zyskali nieco wpływów w dużych miastach. Nawet w województwach, gdzie Zjednoczona Prawica wygrywała z przygniatającą przewagą,

ponowny start w niewygodnej dla PSL koalicji, czyli powtórka z wyborów europejskich: osiągnięcie przez pojedynczych kandydatów dobrych wyników kosztem utraty odrębności, z perspektywą ostatecznego skonsumowania przez PO.

KONSERWATYWNE SKRZYDŁO PO

Kosiniak-Kamysz wybrał третią drogę. Niespodziewany sojusz z Pawłem Kukizem i przyciągnięcie pojedynczych konserwatywnych przedstawicieli PO pozwoliły mu na spozycjonowanie PSL (Koalicji Polskiej) jako ugrupowania odcinającego się od Platformy, a jednocześnie kontestującego PiS w sposób nieco mniej radykalny od partii Schetyny. Niby niewiele, ale wystarczyło.

■ PSL odnotowało zauważalne poparcie, podobnie zresztą jak Konfederacja. Nie jest więc prawdą, że PiS i jego koalicjanci zagospodarowali już cały elektorat konserwatywny, centroprawicowy, prawicowy czy, jak mówią niektórzy, „obóz patriotyczny”. Okazuje się, że jest w Polsce sporo wyborców, którzy z niechęcią przyjęliby recydywę rządów PO czy SLD, którym nie podoba się agresywne promowanie postulatów LGBT i którzy na sporo kwestii – od polityki historycznej do zagranicznej – mogą mieć punkt widzenia podobny do PiS, ale z różnych przyczyn odrzucają PiS jako głównego realizatora tej agendy.

Dla odcinającego się od totalnej opozycji PSL żadnej litości nie będą miały ani TVN, ani „Wyborcza”, ani reszta establishmentu medialnego czy politycznego obozu obrońców III RP

Może to oznaczać, że przed PSL otwiera się niespodziewana droga: budowa współczesnej endecji. Partii chadeków mocno przywiązanej do tradycji. Partii drobnych kapitalistów, popularnej wśród części klasy średniej, mocnej w mniejszych miastach, ale z przyczółkami w wielkich aglomeracjach.

Dla wielu ta myśl brzmi jak herezja. Jak to? Przemalowany komunistyczny ZSL, wieloletni sojusznik najpierw SLD, a potem PO, partia, która nigdy nie przeszła dekomunizacji czy dezubekizacji, mistrzowie „kapitalizmu familijnego”, nepotyzmu, partia Waldemara Pawłaka, który powinien trafić przed sąd za kontrakt gazowy z Rosją, partia Jana Burego – to ma być nowa endecja?

Tak może się zdarzyć, jeśli PSL przedstawi się konserwatywnym, zdroworozsądkowym, prokapitalistycznym wyborcom jako ugrupowanie bardziej godne zaufania niż Konfederacja, która w oczach wielu jest naturalnym kandydatem do pełnienia funkcji nowej endecji. Tyle że na razie Konfederacja to bardziej zlepek rozmaitych środowisk, w dodatku obciążony wizerunkiem ugrupowania happeningowego. PSL ma więc swoją szansę.

Czy tak się stanie, zdecydują wyborcy, a nie gazetowi teoretycy czy kanapowi spiskowcy. Nie twierdząc, że jest to kandydat idealny. Zauważam jedynie, że PSL przed taką szansą stoi. Kiedyś zdawało się, że Porozumienie Centrum może być najwyższej kolejnym przetrwalnikiem pewnej grupy

polityków prawicy. Jarosław Kaczyński dorobił się od Rafała Żiemkiewicza określenia „człowieka, który ukradł w Polsce prawicę”. To jednak nie tak. Po prostu wyborcy wskazują tę partię, która najbardziej odpowiada ich rozumieniu prawicowości. Być może więc Kosiniak-Kamysz doczeka się miana „polityka, który ukradł endecję?”. Próby reaktywacji endecji metodą kuluarowych inicjatyw przeciw się nie powiodły.

Wydaje się jednak, że powstało miejsce dla takiej formacji. Czy tylko chwilowo? Wiele będzie zależało od dalszych posunięć PiS, ale równie wiele od wyboru samego PSL i Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Ludowcy stoją dziś na prawdziwym rozdrożu, po raz pierwszy od brzemienne go w skutki wyboru, którego dokonała ich partia matka, ZSL, w roku 1989 porzucając PZPR na rzecz sojuszu z Solidarnością i utworzenia rządu Tadeusza Mazowieckiego. Trzydzieści lat później PSL może ostatecznie porzucić obóz Okrągłego Stołu i odciąć się od architektów III RP, którymi byli zarówno SLD, jak i PO. Nie musi to jednocześnie oznaczać akcesu do Zjednoczonej Prawicy, zresztą takiego aktu wyborcy Koalicji Polskiej wcale od ludowców ani ich sojuszników nie oczekują, bo gdyby tego pragnęli, cóż przeszkadzało im po prostu głosować na PiS.

NIEZALEŻNOŚĆ BĘDZIE BOLAŁA

Cóż zatem ma przed sobą Kosiniak-Kamysz? Opcja pierwsza („nic się nie stało”) i druga („konserwatywne skrzydło PO chwilowo poza PO”) to pozostanie przez ludowców w ramach definiującego III RP przez ćwierć wieku układu wpływów. Układu, który ewoluuje, zostawiając dla PSL coraz mniej miejsca. Obóz ten dryfuje w kierunku liberalnej lewicy w stylu zachodnich demokracji, czyli lewicy będącej albo taranem zmian obyczajowych, albo ich zakładnikiem. W dodatku zainfekowanej groźnym dla ludowców wirusem ekologizmu totalnego.

PSL zresztą zawsze było w tym obozie traktowane z lekką pogardą. Wspomnijmy choćby słynną wypowiedź Tuska o tym, że w PSL są inne standardy niż w PO.

Ludowcy za sprawą sejmowej arytmetyki okazali się nieodzowni, by sprawować władzę, pełniąc jednocześnie funkcję „tego gorszego brata” – pazernego na pieniądze, nieco tępawego, za to lekko zalatującego oborą. Na pierwszą część tej opinii sami zapracowali niezwykłą obrotowością i przedsiębiorczością w przejmowaniu rozmaitych stanowisk od gminy do ministerstw, od samorządów do rządu. I ta druga część sytuowałaby ich jednak raczej w szeregach tych, których dziś broni PiS, mówiąc głośno: Polacy to nie tylko młodzi wykształceni z wielkich ośrodków.

Opcja trzecia, czyli prawdziwa niezależność, a może i, kto wie, budowanie współczesnego odpowiednika endecji, oznacza pożegnanie z obozem totalnej opozycji i tylko pod takim warunkiem może zostać osiągnięta. PSL, pozostając jednym z głosów w antypisowskim chórze, któremu nuty podkładają już nie Schetyna czy Petru, lecz Brejza, Biedroń, Lubnauer czy Czarzasty, skazuje się na zagładę. W najlepszym razie na rolę cepeliowej przystawki wiejskiej potrzebnej tylko wtedy, kiedy trzeba wysłać do telewizji kogoś, kto przypomni o społecznej nauce Jana Pawła II.

Prawdziwa niezależność będzie bolała. Dla odcinającego się od totalnej opozycji PSL żadnej litości nie będzie miały ani TVN, ani „Wyborcza”, ani reszta establishmentu medialnego czy politycznego obozu obrońców III RP. Jednocześnie sam Kosiniak-Kamysz trzymać się powinien jak najdalej od fałszywych przyjaciół pokroju Donalda Tuska, bo dla byłego premiera zawsze będzie tylko instrumentem jego prywatnej wendety, a i ludzie, których skupiła wokół siebie Koalicja Polska, nie mają powodów, by dawnego szefa PO darzyć szacunkiem i sympatią. Za to Kosiniak-Kamysz musi się zastanowić, czy chce być lubiany, czy poważany. Czy chce oklasków, czy wpływów.

Wybór PSL wykracza poza prostą grę o wpływy i władzę. To wybór dla Polski fundamentalny. Te kilka procent (może więcej, może dziesięć, a w przyszłości i kilkanaście) poparcia dla ugrupowania, które skupia elektorat konserwatywny, ale szukający odrębności od PiS, będzie w przyszłości kluczowe dla powstrzymania ofensywy lewicy. PSL jako „odnowiona Platforma” albo neo-Platforma nie będzie się w tej rozgrywce liczyło, zostanie zneutralizowane wewnątrz większego obozu. Jako nowoczesna endecja może się Polsce przysłużyć niezależnie od tego, jak trudne będą jego relacje z PiS.

Już 18 listopada w **DO RZECZY** dodatek



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ V – KONFERENCJA:

Polacy przeciw oszczerstwu

Sesja 1: Pojęcie
hekatomby

Sesja 2: Skala
Holokaustu

Sesja 3: Rozmiary
polonofobii

Sesja 4: Czy prawo
orzędem?



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest minister sprawiedliwości

Organizator



Patroni medialni



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Wojownik Zielonego Sztandaru

Jest wtorek, 15 października, dwa dni po wyborach. Sensacją dnia jest utrata przez PiS większości w Senacie. „Jan Filip Libicki na marszałka Senatu” – to hasło rzuca Marek Jurek. Wyjaśnia swą ideę tak: „PiS powinien niezwłocznie podjąć działania zapobiegające objęciu marszałkostwa Senatu przez twardego lidera opozycji. Powinien więc podjąć pilne konsultacje z PSL. W tej sytuacji optymalnym kandydatem na marszałka jest senator Jan Filip Libicki”.

Sam zainteresowany pytany o swoje szanse na marszałkowanie w Senacie dyplomatycznie odpowiada: „Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie”. Chociaż jednocześnie lojalnie zaznacza, że przyjmie każdą funkcję, którą zaproponuje mu Władysław Kosiniak-Kamysz.

Libicki to przykład polityka, który do obozu PSL wstąpił jak do azylu z powodu swoich konserwatywnych poglądów. Teraz, gdy ludowcy mają ambicje zdobywać miejski elektorat – doskonale pasuje do tego nowego politycznego planu. Nic dziwnego, że jest gorącym zwolennikiem jak najszybszego ogłoszenia prezydenckiego startu Władysława Kosiniaka-Kamysza.

„PSL ma niekwestionowanego lidera. Jako doświadczony polityk uważam, że czekanie ze zgłoszeniem kandydatury Władysława Kosiniaka-Kamysza jest kompletnie niepotrzebne. Od niedzieli Władysław Kosiniak-Kamysz powinien powołać sztab i rozpocząć kampanię wyborczą tak, jak to



Piotr Semka

Jan Filip Libicki uznawany jest za atut w budowaniu PSL jako nowoczesnej chadecji. W przypadku drugiej tury Andrzej Duda kontra Władysław Kosiniak-Kamysz tacy tradycyjni katolicy jak Libicki junior mogą zachęcić elektorat Konfederacji do poparcia kandydata PSL

robi już od pół roku Andrzej Duda” – głosił Libicki przed Radą Naczelną PSL 3 listopada w Wierchosławicach. WKK wyraźnie zgłasza chęć startu, ale sonduje jeszcze możliwość poparcia swojej kandydatury także przez PO.

Z tak zaangażowanych słów można podejrzewać, że Libicki ma ambicje odegrać istotną rolę w sztabie wyborczym. 49-letni tradycjonalista z Poznania może pomóc zdobyć ludowcom wyborców katolickich. Dzisiaj bowiem PSL najbardziej nie potrzeba „swojaków” w stylu Jarosława Kalinowskiego czy „konkreciarzy” pokroju Adama Struzika. Ludowcy szukają obecnie kluczy do miejskiego elektoratu. Libicki junior doskonale do tego zadania pasuje.

ŚLADAMI OJCA

Urodzony poznanian, rocznik 1971. Porusza się na wózku inwalidzkim. To efekt przebytego porażenia mózgowego. Mimo to od 14 lat niemal bez przerwy jest parlamentarzystą. Aktywny był jako

doradca Państwowego Funduszu Osób Niepełnosprawnych, a w poprzednim Sejmie działał w parlamentarnym zespole ds. osób z niepełnosprawnościami.

W politykę wprowadzał go ojciec Marcin Libicki – przez długi czas lider konserwatywnej prawicy w Poznaniu. Libicki senior – wybitny erudyta, znawca sztuki, był najpierw trzykrotnie posłem na Sejm w latach 1991–2004, posłem ZChN, a potem w okresie 2004–2009 europosem z ramienia PiS.

Lata 90. to okres chwały wpływowego rodu Libickich. Poznań kojarzył się wtedy z silnym ośrodkiem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Tu zainicjowano jedno z pierwszych w Polsce mszy trydenckich. Tu wydarzeniem stawały się coroczne wykonania „Requiem” Mozarta. Tu powstało prężne wydawnictwo Dębogóra i tu sławę zyskał Jacek Kowalski – bard – piewca sarmatyzmu.

Gdy po wewnętrznym kryzysie w ZChN wielu jego działaczy przeszło do PiS – ich

siła zaczęła słabnąć. Poznańscy tradycyjniści nie potrafili przyzwyczaić się do reguł nowej partii.

Marek Jurek odszedł z PiS w kwietniu 2007 r. na skutek sporu z Jarosławem Kaczyńskim o wzmocnienie ochrony życia nienarodzonych. W wypadku Libickiego – kryzys wywołał zarzut lustracyjny wysunięty przez paru polityków z poznańskiego PiS. Dzisiaj, po latach, większość pytanym przeze mnie polityków poznańskiej prawicy uważa tamte zarzuty za nieuczciwe. Zarazem są i tacy, którzy widzieli w Libickim seniorze polityka, który monopolizował wpływy prawicy w Poznaniu.

Zapewne z powodu utracenia ojca z list na eurowybory w 2009 r. Jan Filip Libicki miał uraz do PiS. – Ojciec pytał Kaczyńskiego, czy ma składać wniosek do IPN o autolustrację. Prezes go od tego odwodził, tłumacząc, że to utrudni sytuację, a potem niespodziewanie nazwisko taty zniknęło z list – mówi syn o tamtych wydarzeniach.

Sam wszedł do polityki tuż za ojcem. Od 2005 r. był posłem PiS, w 2007 r. nie wszedł ponownie do Sejmu, ale dopomogło mu szczęście. W 2008 r. zwinął się mandat po Życie Gilowskiej, która zrezygnowała z posłowania, i Libicki junior znów był na Wiejskiej. W 2009 r. w odruchu solidarności z ojcem – wystąpił z klubu PiS.

Nastąpił czas politycznych epizodów z ugrupowaniami Polska Plus i Polska Jest Najważniejsza (PJN). Co znamienne, z tej drugiej formacji wystąpił, gdyż jej liderzy odmówili jednoznacznej deklaracji, że nigdy nie wejdą w alianse z PiS. Ostatecznie w lipcu 2011 r. został przyjęty do klubu Platformy Obywatelskiej, z której ramienia zdobył mandat senatora w Wielkopolsce. W PO politycy, którzy mieli na pieńku z Kaczyńskim, nie byli rzadkością – od Radka Sikorskiego do Michała Kamińskiego. Platforma wysunęła go ponownie do Senatu w 2015 r.

CZŁOWIEK ORKIESTRA

W 2016 r. doszło do zderzenia czołowego. Partia Schetyny, która w tamtym czasie wykonywała ukłony wobec feministek, zobowiązała swoich posłów do poparcia progresywnego projektu „Ratujmy kobiety”. Kilku posłów PO z Markiem Biernackim i Joanną Fabisiak na czele zostaje usuniętych z klubu. Libicki w geście solidarności sam wychodzi z PO i przechodzi do PSL.

Na zarzuty, że jako tradycjonalista katolicki i tak długo był w partii, która zaakceptowała finansowanie in vitro, odpowiadał: „Tak długo, jak pozwalano mi dawać wyraz

swoim poglądom w głosowaniach, mogłem w Platformie być. Kiedy okazało się to niemożliwe – opuściłem tę partię”.

Libicki szybko odnajduje się w stylistyce ludowców. Jest honorowym strażakiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Chorzepowie. Z Twittera dowiadujemy się, że ostatnio był honorowym gościem wyścigu traktorów w Woli Jabłońskiej, dożynek w miejscowości Lipa, gmina Ryczywół, a także patronował IV Światowemu Festiwalowi Wikliny i Plecionkarstwa.

Jednocześnie krytykował PiS za brak wsparcia dla małych przedsiębiorców i wtórował PO w krytyce zmian w sądownictwie. Jest i jeszcze jedno oblicze Libickiego juniora – konserwatywny katolik. To on bronił w sierpniu br. abp. Marka Jędraszewskiego, gdy lewica zaatakowała go za słowa o „zarazie LGBT”. Nie kryje też sporych wątpliwości wobec linii, po której prowadzi Kościół katolicki papież Franciszek. W wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” mówił niedawno: „W Kościele są dziś całkiem wpływowe środowiska, które mówią, że można głosić miłość bez prawdy. Wtedy te kłopotliwe elementy doktryny katolickiej można tak zagłaskiwać, żeby nie były wyraźne. Choćby nauczania Kościoła w sprawach etyki seksualnej”.

NOWE POLE DO GRY

Gdy rozmawiam z Janem Filipem Libickim w sejmowej restauracji – nie ukrywa ożywienia. „Znów jest ciekawie. Polityka wraca na Wiejską. Przez ostatnie cztery lata wszystko, co działo się w Sejmie i Senacie, było aż do bólu przewidywalne. Teraz znów ważne rzeczy będą dziać się tu, w parlamencie, a nie między Nowogrodzką i Foksal, gdzie jest Biuro Krajowe PO”.

Libicki nerwowo reaguje na medialne plotki o jego domniemyanych rozmowach z PiS w sprawie wyboru na marszałka. „To kompletne bzdury. PSL powinno być w Senacie elementem bloku opozycyjnego”.

Lubi podkreślać zalety ludowców: „PSL to jedna z nielicznych formacji, która jest w pełni demokratyczna. Byłem w wielu partiach, ale w żadnej z nich nie widziałem tak demokratycznego trybu podejmowania decyzji i dyskusji nad nimi. Gdy zaproszono mnie po raz pierwszy na radę naczelną PSL – każdy mówił to, co chciał. Podnosił rękę, zabierał głos i wskazywał na to, co uważał za ważne”. Wskazuje, że wśród ludowców dobrze pamiętane są słowa rzeczniczki PiS Beaty Mazurek, że PSL trzeba wyeliminować z życia publicznego. „Byłem na radzie wojewódzkiej PSL. Najgo-

rętsze brawa zbierały moje wypowiedzi krytykujące partię Kaczyńskiego”.

Jednak to wyraźne antypisowskie nastawienie nie oznacza, że politycy PSL nie przyjmują ostatnio kąśliwego tonu wobec Platformy. Próbkę tego stylu zademonstrował niedawno Marek Sawicki, wypowiadając się dla portalu wPolityce: „Lewica i KO próbują wysyłać różne docinki w stronę Kosiniaka-Kamysza, ale oni nie mogą w tej chwili ogłosić kandydata, bo zwyczajnie go nie wyłonili. KO nie podsumowała kampanii i czeka na rycerza na białym koniu, a przecież wiemy, że PiS zlikwidował stadninę w Janowie i nawet konia nie ma, żeby ten rycerz powrócił”.

Jan Filip Libicki to przedstawiciel sporej grupy emigrantów z obozu PiS, dla których Platforma z jej wilczymi stosunkami okazała się rozczarowaniem. Teraz, gdy PiS i PO nie dzielą już politycznego boiska na pół – mają pole do działania. I śnią o wygranej w prezydenckim wyścigu.

Ludowcy z satysfakcją wskazują, że w ich obozie jest Michał Kamiński, uważany za współtwórcę prezydenckiego sukcesu Lecha Kaczyńskiego w 2005 r., i Jacek Protasiewicz, szef sztabu PO w zwycięskich dla niej wyborach w 2011 r. W wypadku drugiej tury Andrzej Duda kontra WKK – tacy tradycjoniści katolicy jak Libicki junior mogą zachęcić elektorat Konfederacji od poparcia kandydata PSL.

Zanim jednak padną pierwsze salwy w prezydenckim wyścigu – ostra polityka zapukać może do Senatu. Jan Filip Libicki mówi: „Nie ma wątpliwości, że będą tutaj ostre spory. Wolałbym, aby ten rodzaj awantur, jakich widownią był w poprzedniej kadencji Sejm, nie wdarł się do Senatu. Tu dotąd panowała jednak kultura”.

I to właśnie zniechęca go do myśli o marszałkowaniu. „Większości w Senacie mogą być bardzo kruche. To zaostrzy konflikty. Przyjmij każdą funkcję, którą proponuje mi prezes Władysław Kosiniak-Kamysz”.

Jan Filip Libicki ze swoim wyrazistym katolicyzmem uznawany jest dziś w PSL za atut w budowaniu PSL jako nowoczesnej chadecji. Z czasem jednak jego pryncypializm ideowy i krytyka papieża Franciszka mogą okazać się zbyt radykalne jak na centrowych ludowców. Czy wtedy tradycjoniści z Poznania nie przyjdzie znów stanąć wobec dylematu: sumienie czy dyscyplina partyjna? To jednak wizja przyszłości. Na razie Libicki junior dobrze czuje się w roli chorążego Zielonego Sztandaru.



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Ratlerek czy bernardyn?



Kamila Baranowska

Lewica wystawi własnego kandydata na prezydenta. Chociaż największą ochotę na start ma Robert Biedroń, to większe szanse na przyzwoity wynik ma Adrian Zandberg

O tym, kto ostatecznie będzie kandydatem w wyborach prezydenckich, lewica ma poinformować już teraz. Na razie ogłosiła inną ważną ze swojego punktu widzenia decyzję, dotyczącą powstania jednego, wspólnego klubu parlamentarnego, zrzeszającego trzy lewicowe partie: SLD,

Wiosnę i Razem. Nie było to wcale takie oczywiste, bo opór do końca stawiała partia Razem, która jeszcze w kampanii, akcentując swoją odrębność, zapowiadała, że po wyborach utworzy własne koło. Przewodniczącemu SLD Włodzimierzowi Czarzastemu udało się jednak przekonać Adriana Zandberga, że zwłaszcza w przededniu kampanii prezydenckiej to zły pomysł, bo wyborcy nagrodzili Lewicę za jedność i tej jedności oczekują.

Równoległe z decyzją o wspólnym klubie zapadła też inna decyzja – ta o wystawieniu wspólnego kandydata Lewicy w wyborach prezydenckich. Tutaj nikt nie miał wątpliwości, że to jedyna słuszna droga. Nie oglądając się ani na to, co dzieje się w Platformie, ani na apele Władysława Kosiniaka-Kamysza, ani na decyzję Donalda Tuska o niekandydowaniu, Lewica zapowiedziała, że będzie

miała swojego kandydata. Jednego. I tu zaczynają się schody. Bo kto miałby nim być?

DWÓCH W GRZE

W grze są dwa nazwiska: Robert Biedroń – lider Wiosny Biedronia – i Adrian Zandberg – lider partii Razem. Każdy z nich ma swoje mocne i słabsze strony. Na medialnej giełdzie krąży jeszcze pomysł wystawienia kobiety. Wymienia się posłankę Razem Agnieszką Dziemiąnowicz-Bąk. To jednak mało realna kandydatura – choćby ze względu na brak doświadczenia i niską rozpoznawalność. A kampania prezydencka jest wymagająca i na przygotowanie do niej nie ma wcale tak dużo czasu.

– Siłą Roberta Biedronia i Adriana Zandberga jest na pewno to, że każdy z nich będzie się mocno odróżniał od reszty ewentualnych kandydatów –

wskazuje dr Sebastian Gajewski z Centrum Dasińskiego, lewicowego think tanku. – Są bardziej bezpośredni, swobodni i spontaniczni. Ich sposób bycia różni się od stylu Andrzeja Dudy czy Władysława Kosiniaka-Kamysza. Dzięki temu mają wizerunek, który bardziej przyciąga wyborców młodszych i tych, którzy poszukują w polityce zmiany. A w wyborach prezydenckich zwykle zyskują właśnie ci, którzy wyróżniają się spośród innych.

Największą słabością Biedronia jest jego brak wiarygodności, związany z dawną obietnicą oddania mandatu posła do Parlamentu Europejskiego i startu w wyborach parlamentarnych. Biedroń wybrał lepiej płatne miejsce pracy w Brukseli, a nie walkę o krajowy parlament, grzebiąc tym samym perspektywę Wiosny na własną polityczną przyszłość. I dając swoim krytykom asumpt do spekulacji, że za stworzeniem Wiosny stały motywacje dalekie od ideowych. Jego niewątpliwym atutem jest zaś ogólnopolska rozpoznawalność, co znacząco ułatwia prowadzenie kampanii. To z kolei największa słabość Zandberga, który jest wciąż politykiem słabo kojarzonym. Jego atutem jest to, że dobrze wypada w mediach, jest merytoryczny, grzeczny i nawet wygłaszając najbardziej radykalne opinie, robi to w sposób nieagresywny. Zbyt ni radykalizm – według naszych rozmówców z lewicy – nie jest przeszkodą. – Ubierz się go w garnitur, złagodź nieco to, co na co dzień mówi, ograniczy przekaz do tego, co w kampanii będzie dla lewicy ważne, i da sobie radę. To człowiek, który szybko się uczy – zachwala jeden z nich.

PRZEWAGA ZANDBERGA

O przewadze Zandberga nad Biedroniem świadczą też badania, które chętnie przywołują ludzie z lewicy. Zrobiła je kiedyś jedna z partii, żeby zbadać to, jak postrzegani są poszczególni politycy. Także ci lewicowi. Zapytano badanych, z jakimi zwierzętami, a konkretnie psami, kojarzą im się poszczególni liderzy. Włodzimierz Czarzasty najbardziej kojarzył się ludziom z psem domowym, kanapowym, nieco leniwym i wygodnym. Adrian Zandberg z bernardynem – potężnym, przyjaznym, a także budzącym pewien respekt. Robert Biedroń najczęściej kojarzył się za to z ratlerkiem albo chihuahua

– małym, głośnym, wesołym i całkiem niegroźnym. Ten wizerunek Biedronia jako polityka mało poważnego może mu w kampanii ciążyć.

– Adrian Zandberg ma wizerunek polityka poważnego z jasną wizją Polski, o której umie zrozumiale opowiadać, a przede wszystkim, której potrafi sprawnie bronić. Do tego ma żonę i dwójkę małych dzieci, a to w kampanii ma znaczenie i każdemu politykowi pomaga. Robert Biedroń ma dużą popularność i zaufanie społeczne, ale ma pewien deficyt powagi w swoim politycznym wizerunku. Jako polityk jest dla wielu fajny i atrakcyjny, ale jako kandydat na męża stanu już niekoniecznie – ocenia dr Gajewski z Centrum Dasińskiego.

Na lewicy od tygodni trwają rozmowy na temat tego, który z kandydatów miałby większe szanse na lepszy wynik. Wszyscy zdają sobie sprawę, że dobry wynik dodałby świeżo zreanimowanej Lewicy wiatru w żagle, gra jest więc warta świeczki. Na razie oprócz decyzji o wystawieniu własnego kandydata niezależnie od reszty opozycji ustalono jedynie, że nie będzie żadnych prawyborów.

– Próba zmuszenia różnych środowisk, żeby zrezygnowały ze swoich kandydatur prezydenckich, służyłaby w polskiej polityce tylko jednej osobie, Andrzejowi Dudzie – przekonywał niedawno w TVN24 Adrian Zandberg. – To, co nam pomaga, to różnorodność. Ta różnorodność lewicy jest moim zdaniem jej siłą, bo dzięki temu lewica może iść po różnych wyborców – dodawał.

W podobnym tonie wypowiada się Maciej Gdula z Wiosny. – Pewne jest wystawienie własnego lewicowego kandydata lub kandydatki i to, że nie będzie u nas prawyborów. To kwestia struktur i organizacji. Poza tym dobrze wychodzi nam dogadywanie się w formule trójpartyjnej. Kampania do parlamentu pokazała, że potrafimy dobrze współpracować, wykorzystując atuty każdej z partii, i wierzymy, że tak też będzie w kampanii prezydenckiej. Niezależnie od tego, kto będzie kandydatem, wszystkie trzy siły lewicowe zaangażują się w kampanię równie mocno, oczywiście uwzględniając siły, jakie kto posiada – zapewnia. I dodaje, że sprawa konkretnego nazwiska pozostaje jeszcze otwarta. – Nie ma tu walki czy przepychanek, raczej zastanawiamy się nad tym, kto lepiej przebij

się z naszą opowieścią i wizją Polski do wyborców i ma większe szanse, by wejść do drugiej tury, bo o to teraz gramy – mówi.

CO ZROBI CZARZASTY?

Mimo tych zapewnień sytuacja na lewicy staje się napięta. Nie pomaga sam Biedroń, który w momencie, w którym pozostali dwaj liderzy zapewniają, że żadnej decyzji jeszcze nie ma i sprawa jest otwarta, postanowił wyprzedzić fakty i na swoim Instagramie opublikował swoje zdjęcie z hasłem, które dało zwycięstwo Barackowi Obamie i wiele mówiącym komentarzem. „Yes, we can... But, can I? If u know what I mean. Hasłem wyżej w 2008 roku swoją kampanię zainaugurował 44. prezydent USA Barack Obama. #2020?”.

Niewykluczone jednak, że o tym, kto ostatecznie zostanie kandydatem Lewicy, zdecydują nie badania i nie bilans atutów i słabości poszczególnych polityków, lecz polityczny pragmatyzm Włodzimierza Czarzastego. To on jako szef SLD, czyli partii, która wprowadziła najwięcej posłów, dysponuje pieniędzmi i strukturami, bez których prowadzenie kampanii jest praktycznie niemożliwe, będzie miał decydujący głos przy wyborze kandydata. A biorąc pod uwagę coraz częściej pojawiające się zapowiedzi formalnego połączenia Wiosny z SLD, Biedroń może mu się wydawać politykiem bardziej przewidywalnym niż Zandberg, co do którego przyszłych politycznych decyzji pewności mieć nie może. Na razie Czarzasty zapewnia jedynie, że nie było propozycji startu w wyborach prezydenckich dla Zandberga w zamian za dołączenie jego partii do wspólnego klubu w Sejmie. I publicznie rozdaje pochwały po równo obu swoim koalicjantom.

– Coraz więcej ludzi ich [Biedronia i Zandberga – przyp. red.] lubi. To jest m.in. mój sukces. Brak zawiści, taki uśmiech... To są fajni faceci, którzy dla Polski zrobią jeszcze bardzo dużo dobrego – stwierdził w Polsat News. – Od dwóch miesięcy myślę kategoriami lewicy. Wiele struktur i ludzi już się połączyło. Jest mi to obojętne, czy jej liderem będzie ktoś fajny z Wiosny, Razem czy SLD – powiedział. Nieźle brzmi, ale w polityce fajne deklaracje najczęściej niewiele mają wspólnego z rzeczywistością.



Łukasz Warzecha

Czy w ramach politycznej walki można przywracać ulice komunistycznym zbrodniarzom?

17 listopada 1989 r. Feliksowi Dzierżyńskiemu odpadła głowa. Nie prawdziwemu oczywiście, tylko odlanemu z betonu, stojącemu na obecnym pl. Bankowym w Warszawie. Głowa niezłomnemu czekał się urwała się dlatego, że gdy pomnik wznoszono w 1951 r., trzeba się było spieszyć, by zdążyć na rocznicę śmierci Krwawego Feliksa, i dlatego wykorzystano beton zamiast spiżu. A beton – wiadomo, łatwo się kruszy.

A gdyby tak 30 lat temu pętla Dzierżyńskiego jednak z cokołu nie uniosła? Stał przecież na placu swojego wtedy imienia 38 lat, można było powiedzieć, że warszawianie się przyzwyczaili. No dobrze, może pomnik to przesada, ale czy naprawdę trzeba było zmieniać nazwę samego placu? A gdyby tak dzisiaj znalazło się 500 osób, może nawet 5 tys., które podpisałyby wniosek do Rady Warszawy o przywrócenie pl. Bankowemu imienia twórcy CzeKa, to czy radni by się zgodzili? W końcu vox populi – ten sam, którego podobno wysłuchano w Żyrardowie, zmieniając niedawno nazwę ulicy gen. Fieldorfa „Nila” na Jedności Robotniczej, które to imię nosiła od lat 70.

Zresztą przed 1989 r. była w Żyrardowie ulica Dzierżyńskiego. Były też m.in. ulice Juliana Marchlewskiego (współtwórcy Kominternu), Michała Roli-Żymierskiego (skazanego w II RP za korupcję, wkrótce agenta NKWD, w latach 40. marszałka Polski) czy Gieorgija Żukowa (marszałka Związku Sowieckiego). Czy gdyby dzisiaj znalazło się 500 obywateli – jak to było w przypadku ul. Fieldorfa w Żyrardowie – którzy stwierdziliby, że darzą ogromnym sentymentem pamięć, dajmy na to, Roli-Żymierskiego i domagają się przywrócenia jego imienia ul. Kościelnej – bo tak przed wojną się ta ulica nazywała i tak nazywa się znów dzisiaj – to radni Platformy Obywatelskiej równie ochotczo zagłosowałiby za?

Radni PO z Żyrardowa opowiadają, że owa „jedność robotnicza” nawiązuje do przedwojennego pisma o tym tytu-



Lud zindoktrynowany

le, a tym samym do przedwojennych oraz XIX-wiecznych tradycji Żyrardowa – miasta włókienniczego. Tyle że to zwykła ściema, bo nazwa ulicy została nadana w latach 70., gdy rządzący Polską niespecjalnie lubili sięgać po odniesienia do przedwojennych ruchów robotniczych, niepoddanych woli Moskwy.

Hasło „jedności robotniczej” było natomiast jednoznacznie identyfikowane z kongresem „zjednoczeniowym” z grudnia 1948 r., podczas którego komunistyczna PPR, przed wojną otwarcie wroga państwu polskiemu, wchłonęła resztkę

Polskiej Partii Socjalistycznej. Wtedy też wystartował dziennik „Trybuna Ludu”, który w pierwszym numerze na czołówce ogłaszał: „Kongres jedności robotniczej powołuje do życia Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą”. I o tę właśnie „jedność robotniczą” chodziło.

WOLA LUDU?

Argument o „woli ludu” pojawiał się w podobnych sytuacjach całkiem często. Przez długi czas zasłaniały się nim władze Warszawy za rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz, gdy zaczęły się



FOT. IPANEMINSKIERA

całkowitą likwidacją. Bardzo możliwe – wzięwszy pod uwagę poglądy mieszkańców stolicy, które mają odbicie w wynikach wyborów – że wyniki były nawet rzetelne. Paradoksalnie był to jednak najmocniejszy argument za likwidacją pomnika, bo pokazywało to, do jakiego stopnia indoktrynacja poprzez symbole jest skuteczna.

Skąd w Żyrardowie te 500 osób, żądających skasowania Fieldorfa na rzecz Jedności Robotniczej? Niekoniecznie przecież musieli to być mieszkańcy tej konkretnej ulicy – nie wiemy, czy wszyscy podpisani tam właśnie mieszkali. Czy to podobny przypadek jak z warszawskim sondażem? Zapewne tak – choć może mniej widać tu skuteczność indoktrynacji, a bardziej skutki politycznej wojenki. Ustawa dekomunizacyjna z 2016 r., w ramach której w Żyrardowie upamiętniono „Nila”, została przegłosowana już w warunkach najgłębszego od początku III RP podziału, który upolitycznił absolutnie wszystko. W dodatku w momencie, gdy rosło napięcie związane z innymi działaniami PiS, m.in. w sferze sądownictwa. Dekomunizacja nazw ulic padła tego podziału ofiarą, jak wiele innych kwestii. Jest przez część obywateli, tę najbardziej wrogo wobec władzy nastawioną, postrzegana po prostu jako kolejny PiS-owski wymysł, z którym należy walczyć. To był bez wątpienia powód, dla którego „mieszkańcy” (nie sposób znaleźć informacji, kto konkretnie i ile to było osób) zaskarżyli do sądu zmianę nazwy dokonaną w 2017 r. – i wtedy wygrali. Radni naprawili jednak błędy formalne i rychło ulica ponownie (a właściwie bez przerwy) nosiła imię bohatera podziemia.

W tej sytuacji sięgnięto po „inicjatywę społeczną”. Znalezienie 500 osób, wśród których są zapewne i oszałeli antypisowcy, i osoby z PRL-owskim sentymentem, w mieście wielkości Żyrardowa nie jest żadnym problemem, a ci, z nienawiści do partii rządzącej, podpisaliby nawet wniosek o przywrócenie ul. Stalina, gdyby taka jeszcze istniała przed dekomunizacją.

BOHATEROWIE I POLITYKA

W przypadku zmian nazw ulic – również przy okazji ustawy dekomunizacyjnej – pojawiały się także argumenty o kosztach. Zmiana nazwy ulicy to wymiana dokumentów, druków, pieczętek, wizytówek, tablic i tak dalej. Z tym

że akurat w przypadku Żyrardowa czy Białegostoku (gdzie ulicę „Łupaszkę” przemianowano na Podlaską, nie podając żadnego uzasadnienia i w ogóle unikając jakichkolwiek publicznych wyjaśnień w tej sprawie) to wyjaśnienie mocno naciągane. Jest wręcz przeciwnie: nazwy zostały zmienione już dwa lata temu, więc wszystkie koszty z tym związane już poniesiono. Teraz, z powodu decyzji przywracającej poprzednich patronów, trzeba by będzie ponosić powtórnie. A może i jeszcze raz, jeśli skuteczne okażą się zabiegi o zablokowanie zmian.

Sprawa ma również swój wymiar prawny. W Warszawie ratusz zaskarżył do sądu wszystkie podjęte przez wojewodę zastępcze decyzje dekomunizacyjne – zastępcze, bo miasto nie wywiązało się z obowiązku nałożonego na nie przez ustawę dekomunizacyjną. Sąd przyznał rację miastu.

Casus warszawski jest znamieny, bo pokazuje drugą stronę medalu. W przypadku gen. „Nila”, a nawet „Łupaszkę”, mamy do czynienia z bohaterami, którzy nie powinni wzbudzać wątpliwości. Tymczasem budzącą największe kontrowersje i chyba najgłośniejszą decyzją dekomunizacyjną, podjętą w atmosferze ostrej konfrontacji, była ta warszawska, o przemianowaniu al. Armii Ludowej na al. Lecha Kaczyńskiego. To, że w polskiej stolicy wciąż jedna z głównych arterii nosi imię kolaboracyjnej formacji, jaką była AL, jest haniebne. Czy jednak wojewoda musiał nadawać jej imię zmarłego tragicznie prezydenta miasta i państwa? Tak, Lechowi Kaczyńskiemu należy się w stolicy godne upamiętnienie, ale czy to faktycznie był najlepszy sposób? Szczególnie że nie trzeba specjalnej przenikliwości, żeby odczytać nastroje większości warszawian i zrozumieć, że decyzja wojewody – przedstawiciela rządu – zostanie odebrana jako arogancka interwencja w tkankę miasta na zasadzie: „Możemy wszystko i co nam zrobicie?”. Czy gdyby wojewoda zdecydował o zmianie nazwy na – powiedzmy – al. Piłsudskiego albo Kazimierza Wielkiego (polscy królowie z niezrozumiałych powodów są, jako patroni ulic, zepchnięci w większości polskich miast na margines – inaczej niż na przykład na Węgrzech, gdzie tamtejsi monarchowie patronują ulicom i w Budapeszcie, i w mniejszych miastach, i w miasteczkach), to awantura byłaby podobna? Tego się na razie nie dowiemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Niewińska

W nowoczesnej gospodarce nie wystarczą ani wiedza, ani znajomość języków obcych. Młodzi ludzie mają umieć współpracować, zarządzać, rozwiązywać konflikty. Tylko jak mają się tego nauczyć?



Licealiści z Poznania zaprosili uczniów kilku podstawówek do projektu „Skrzatki na laborce” i pokazywali im efektowne doświadczenia chemiczne. FOT. PROJEKT „SKRZATKI NA LABORCE”

Olimpiada nie z teorii

To jedyna taka olimpiada. Tutaj nie ma arkuszy z pytaniami, nauczycieli pilnujących uczestników jak na egzaminie. Chodzi o to, by zebrać grupę, wymyślić projekt służący lokalnej społeczności i wprowadzić go w życie. To założenia pierwszej praktycznej olimpiady Zwolnieni z Teorii. W tym roku już przeszło 14 tys. uczniów zgłosiło 2 tys. projektów.

– Jeśli wolontariat porównamy do volkwagena, to projekt społeczny Zwolnionych z Teorii jest jak ferrari. Robisz coś dobrego dla innych, ale zamiast wykonywać proste czynności, sam decydujesz, komu, z kim i w jaki sposób będziesz pomagać. Przy tym zdobywasz cenne kompetencje – wyjaśnia Rafał Flis, wiceprezes fundacji Zwolnieni z Teorii i jeden z trójki jej założycieli.

Przez ostatnich pięć lat w ramach olimpiady Zwolnieni z Teorii nastolatki zrealizowały w swoich środowiskach lokalnych tysiące projektów. Studenci z Warszawy zaproponowali projekt iGrandpa. Posadzili w szkolnych ławkach seniorów, sami byli ich przewodnikami po nowych technologiach i świadkami ich pierwszych selfie wysyłanych w świat. Projekt cieszył się taką popularnością, że nie skończyło się na jednej jego edycji.

MALUCHY W LABORATORIUM

Licealiści z Poznania postanowili z kolei zainteresować młodszych kolegów naukami ścisłymi. Uczniów kilku podstawówek zaprosili do projektu „Skrzatki na laborce” i pokazywali im efektowne doświadczenia chemiczne. Szło im tak dobrze, że z prośbą

o warsztaty zaczęły się do nich zwracać inne szkoły. Gdyby nie to, że wybierali się na studia, mogliby z powodzeniem otwierać firmę edukacyjną.

W tym roku projekt planuje Maja Geroska, 16-latką z Wrocławia. Wraz z zespołem będzie popularyzować czytelnictwo. – Chcemy przeprowadzić konkurs czytelniczy dla uczniów podstawówek w uboższych miejscowościach – mówi.

Maja jest jedną z ubiegłorocznych finalistek Zwolnionych z Teorii. Przez 11 lat mieszkała z rodziną w Pekinie. Żyła w wielokulturowym środowisku, więc po powrocie do Polski zaskoczyły ją rasistowskie, obraźliwe napisy na murach. Zebrała grupę rówieśników i postanowiła wymazać ksenofobiczne graffiti z wrocławskiego krajobrazu. Tak powstał uczniowski projekt pod nazwą „Problem? Covered”. Młodzi ludzie zbierali informacje o gryzmołach, których warto się pozbyć, nawiązywali kontakt z urzędem miasta, administratorami budynków, szukali partnerów, sponsorów, którzy sfinansują zakup farby czy detergentów, a do pracy oferowali własne ręce.

– Kiedy startowaliśmy z projektem, miałam już tu, w Polsce, grupę znajomych, odnalazłam się po przeprowadzce, ale ten projekt pozwolił mi lepiej poznać lokalne problemy, utożsamić się z moją małą ojczyzną, zachęcił mnie do aktywności obywatelskiej – opowiada Maja Geroska. – Najtrudniej było chyba uwierzyć w to, że mając 16 lat, możemy dokonać realnej

zmiany. Odblokowaliśmy się dopiero, kiedy przyszły pierwsze sukcesy i zobaczyliśmy, że udało się przejść od planów do czynów. Musieliśmy pokonać wiele trudności. Nie jesteśmy pełnoletni, więc nie mogliśmy założyć stowarzyszenia. Potrzebny był nam numer NIP czy REGON, więc musieliśmy znaleźć organizację, która zechce z nami współpracować przy tym projekcie.

W Zwolnionych z Teorii chodzi właśnie o to, by młodzi ludzie nauczyli się rozwiązywać realne problemy, pracować w grupie, nawiązywać współpracę z innymi. Rafał Flis podkreśla, że we współczesnej gospodarce to właśnie umiejętność współpracy z innymi jest najcenniejszą kompetencją. – Praca w zespole to taki nowy angielski. Jeśli ktoś nie umie pracować w zespole, to tak, jakby nie znał angielskiego – wyjaśnia Flis.

OD OSCARA DO NOBLA

Urodzony w połowie lat 80. na rynek pracy wchodził tuż przed kryzysem ekonomicznym. – Zostałem zaproszony na rozmowę o pracę w dużej spółce. Spodziewałem się pytań o świetne szkoły, które skończyłem, byłem przygotowany na to, że rekruterzy zagadają do mnie po angielsku, żeby sprawdzić, jak posługuję się językiem obcym, tymczasem ich jakby nie interesowało moje CV. Chcieli wiedzieć, czy kiedyś pracowałem w grupie nad prawdziwym przedsięwzięciem, co zrobiłem, kiedy w zespole pojawił się konflikt, czy kiedykolwiek negocjowałem z dorosłymi prawdziwy deal, czy podpisałem umowę – choćby o honorowym patronacie urzędu miasta. Miałem się czym pochwalić, bo w liceum zorganizowałem debatę europejską. Pracę dostałem, ale tamta rozmowa była dla mnie szokiem – wspomina Rafał Flis.

Podobne doświadczenia na pierwszych rozmowach kwalifikacyjnych miała pozostała dwójka założycieli Zwolnionych z Teorii – Paula i Marcin Bruszewscy. Postanowili wspólnie odpowiedzieć na problem. Najpierw zorganizowali program stypendialny dla warszawskiej młodzieży. Przyjmowali 30 projektów. W końcu zrezygnowali z pracy w wielkich spółkach i założyli fundację. Stworzyli platformę internetową, dzięki której dziś wspierają w realizacji nie 30, ale 3 tys. młodzieżowych projektów.

– Doszliśmy do wniosku, że nie może tak być, iż nasi najambitniejsi przyjaciele bezkrytycznie poświęcają dwie pierwsze dekady swojego życia na indywidualne uczenie się na pamięć. Trzeba zdobywać wiedzę o najważniejszych prawach rządzą-

cych światem, o grawitacji, fotosyntezie, budowie ludzkiego organizmu, tylko nie powinno się tego robić indywidualnie – tłumaczy Flis. I dodaje: – Umiejętność pracy w grupie to kompetencja, która przydaje się w bardzo różnych dziedzinach. Nieważne, czy chcemy zdobyć Oscara czy Nobla, pracować w dużym biznesie czy założyć własną firmę – potrzebujemy współpracować z innymi. Umiejętność współpracy będzie najtrudniejsza do zastąpienia przez algorytmy, komputery, sztuczną inteligencję.

Chociaż Zwolnieni z Teorii przybrali formę ogólnopolskiej olimpiady, to wciąż nie ma ich na liście olimpiad przedmiotowych MEN, bo tu oceniany jest projekt realizowany przez grupę. Brak indywidualnej oceny wciąż nie mieści się w wielu głowach. Flisowi marzy się jednak rewolucja. – Chcielibyśmy, żeby w kilkuletniej perspektywie projekt społeczny stał się główną metodą dydaktyczną wykorzystywaną w większości szkół – mówi. W jego opinii powinien być on też punktowany przy przyjęciu na studia, jak ma to miejsce w wielu prestiżowych uczelniach na świecie.

Globalne firmy nie czekają na zmianę programów edukacyjnych. Jasno dają do zrozumienia, czego oczekują od tych, którzy już niebawem będą wysyłać do nich swoje CV. Już na etapie przygotowania projektu oferują uczestnikom Zwolnionych z Teorii pomoc i partnerstwo. Na przykład tym, którzy zgłoszą projekt promujący przedsiębiorczość, ING Bank Śląski proponuje szkolenia i konsultacje. Google, Allegro czy Pracuj.pl wsparły kampanię Zwolnionych z Teorii skierowaną do nauczycieli szkół średnich. Fundacja zaprasza ich na specjalne szkolenia, bo okazało się, że w szkołach, w których nauczyciel interesuje się projektem realizowanym przez uczniów, dopytuje o postępy, trzykrotnie wzrasta odsetek zrealizowanych projektów.

Mariola Lech, nauczycielka przedsiębiorczości z I LO im. Mikołaja Kopernika w Lubinie, wspomina, że w jej szkole przegoda z projektami społecznymi zaczęła się przed pięcioma laty. – To był przypadek. Jeden z uczniów znalazł podrzucony do szkoły plakat olimpiady Zwolnieni z Teorii zachęcający do tego, by zrobić projekt społeczny po lekcjach. Bardzo mi się to spodobało, więc pomyślałam: Dlaczego nie? – opowiada. Za tamtym projektem poszły następne, a realizowane przez uczniów projekty społeczne przy wsparciu nauczycielki i platformy Zwolnionych z Teorii

stały się w I LO metodą edukacyjną wykorzystywaną na lekcjach. Efekt? W 2016 r. lubińskie I LO zdobyło pierwsze miejsce w Rankingu Szkół Kompetencji Przyszłości i stale utrzymuje się na podium.

Dzisiaj Mariola Lech ma pod opieką nie kilka czy kilkanaście, ale kilkadziesiąt uczniowskich projektów: ekologiczne, historyczne, technologiczne, sportowe, dotyczące literatury czy psychologii. Uczniowie lubińskiego liceum stworzyli nawet aplikację do nauki języka duńskiego. – Oczekujemy od młodych ludzi kompetencji przyszłości. A gdzie oni mają je zdobyć? To właśnie projekty są metodą, która na to pozwala. Może ją wykorzystać nauczyciel każdego przedmiotu, to jest szansa na bardzo ciekawe lekcje – wskazuje Mariola Lech.

Uczniowie, którzy zrealizują projekt, zapraszani są na finałową galę, na której spotkają się z ministrami, ambasadorami czy prezesami wielkich firm. Tam też walczą o laury dla własnego projektu – Złote, Srebrne i Brązowe Wilki.

Mariola Lech zaznacza, że uczniowie, którzy decydują się na zrobienie projektu, otrzymują zastrzyk nowej energii i wiary we własne siły. – Oni się tym cieszą, z dumą wpisują zrealizowane projekty w aplikacje na zagraniczne studia. Oczywiście przychodzi moment, w którym motywacja spada, i wtedy nauczyciel musi ich wesprzeć, dopingować – podkreśla. Zwraca też uwagę na dużą rolę rodziców. – Jedni wspierają projekty finansowo, drudzy dzielą się swoim doświadczeniem zawodowym, a inni dopingują – mówi Mariola Lech.

NIECH PRZEMÓWIA LICZBY

Tych rodziców, którzy stawiają na wypełnianie dziecku dnia kolejnymi zajęciami pozalekcyjnymi, bo w młodziowym projekcie, aktywności społecznej widzą stratę czasu, a nie inwestycję w przyszłość, powinny przekonać liczby. Uczestnicy olimpiady Zwolnieni z Teorii dostają ciekawą, rozwojową pracę 3,5 roku wcześniej niż ich rówieśnicy, dwa razy częściej są wybierani na praktyki i staże przez pracodawców zrzeszonych w Polskiej Radzie Biznesu. W rankingu „Forbesa” i firmy McKinsey wśród 25 najzdolniejszych Polaków przed 25. rokiem życia znalazło się aż siedmiu finalistów Zwolnionych z Teorii. Projekty w tegorocznej edycji można zgłaszać do 30 listopada.

Straszne klasy



Łukasz Zboralski

Kiedyś wyjątkiem było dziecko ze specjalnym orzeczeniem w klasie. Dzisiaj rzadko się zdarza klasa bez dzieci z problemami. Czy polska szkoła daje sobie z tym radę?

Nie wykluczać, ale włączać – to od lat jeden z nurtów edukacji. Chodzi o to, by dzieci doświadczające różnych problemów nie były izolowane od rówieśników w wyspecjalizowanych placówkach. Mają uczęszczać do publicznych szkół. Tam mają nawiązywać więzi i uczyć się funkcjonowania w społeczeństwie, a ich otoczenie ma się uczyć tego, że nie wszyscy są jednakowi i że wśród ludzi są także dotknięci różnymi przypadłościami. Tyle teoria. W praktyce czasem prowadzi to do problemów, przez które tracą wszyscy – dziecko z niepełnosprawnością, reszta klasy, rodzice, nauczyciele.

Jednymi z najgłośniejszych ostatnio przypadków były sytuacje w szkołach w Radomiu i Sieradzu. W obu chodziło o chłopców, którzy nie radzili sobie z agresją. W tym pierwszym mieście rodzice z klasy agresywnego 12-latką w proteście przestali posyłać swoje dzieci do szkoły. Mieli dość tego, że cierpią. Z kolei w Sieradzu kłopoty stwarzał ośmiolatek. Tam też rodzice w pewnym momencie postanowili, że nie posłają swoich dzieci do szkoły. Placówka zaproponowała indywidualne nauczanie... reszcie klasy, a nie sprawiającemu kłopot dziecku.

Kłopoty z agresją to jednak nie wszystko. W szkołach

jest wiele więcej problemów z uczniami „ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi”, które nieczęsto trafiają do mediów. A takich uczniów przybywa.

ESKALOWANIE

– Proszę sobie wyobrazić, że prawie nie ma klas, w których nie byłoby dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. Mamy takie, w których nawet jedna czwarta uczniów ma orzeczone problemy i specjalne zalecenia – mówi „Do Rzeczy” nauczyciel z Mazowsza. – Do pracy z każdym z nich musimy się oddzielnie przygotować, mieć wobec nich inne wymagania, inaczej postępować. Czy jeden nauczyciel w klasie jest w stanie dobrze uczyć naraz wszystkich, nawet gdy stara się najlepiej jak potrafi? – pyta.

Dzieci w szkole podstawowej są w stanie zaakceptować i zrozumieć, że od części kolegów i koleżanek nauczyciele wymagają mniej. Dysortografia, dysleksja, dyskalkulia stały się czymś oczywistym.

Jest jednak sporo uczniów, w których opiniach można przeczytać, że wszystkie ich cechy umysłowe jak najbardziej mieszczą się w normie. Nie radzą sobie tylko z jednym – z zachowaniem. Diagnoza to bardzo często ogólnie stwierdzone „zaburzenie ze spektrum autyzmu”.

Anna Hajdukiewicz, dyrektor Miejskiego Zespołu Poradni Psychologiczno-Pedagogicznych w Kielcach, przyznawała w Radiu Kielce w marcu tego roku, że dzieci z zaburzeniami zachowania przybywa. Mówiła, że poradnia wydaje coraz więcej orzeczeń dotyczących całościowych zaburzeń zachowania. Tłumaczyła to tym, że „świat się zmienia” i dzieci spędzają dziś czas inaczej, docierają do nich inne bodźce.

– Nie zawsze te dzieci mają nauczyciela wspomagającego ich na lekcjach. Zdarza się na przykład, że taki uczeń wstaje i krzyczy na cały głos: „Dupa! Dupa! Dupa!”. Nie reaguje na polecenia, próbuje wyjść z klasy – opowiada nam jeden

z pedagogów. – Radzimy sobie z tym, ale trudno nie przyznać, że nie zaburza to toku lekcji wszystkim w klasie – dodaje.

W ten sposób rodzi się napięcie między rodzicami. Jedni zaczynają czuć, że ich dziecko jest piętnowane – a przecież nie jest winne temu, że ma własne problemy. Pozostali odczuwają frustrację z tego powodu, że ich dzieci są w klasie, w której lekcje zamieniają się w chaos. Trudno im się z tym pogodzić.

SYSTEM NIE DZIAŁA

Eksperci wskazują, że dobra edukacja włączająca nie powinna w ogóle do takich sytuacji doprowadzać. – Należy ją prowadzić jak najwcześniej i możliwie intensywnie, by na etapie przedszkola i klas I–III te największe wyzwania związane z niepełnosprawnością rozwiązać – mówi dr hab. Paweł Kubicki, profesor w Szkole Głównej Handlowej. – I też tylko do etapu wczesnoszkolnego można je maskować bądź ignorować. Potem się nie da. Tymczasem nierozwiązane problemy dzieci zaczynają się kumulować. I wówczas w IV klasie szkoły podstawowej nauczyciel przedmiotowy czy wychowawca dostaje dzieci-niespodzianki. I czasem jest tak, że zaangażowany nauczyciel, który stara się pomóc takiemu dziecku, jest wręcz obwiniany za wieloletnie zaniechania swoich poprzedników, bo to on pierwszy „odkrył”, że jest problem – zauważa.

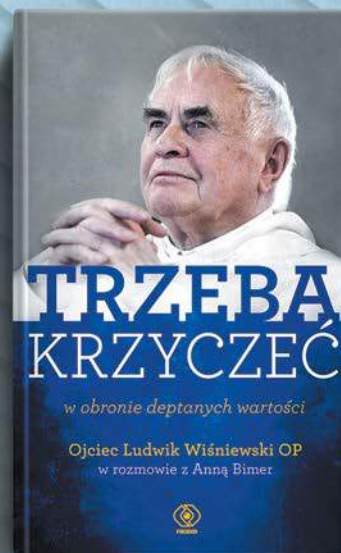
Kubicki zaznacza też, że czasem głównym wyzwaniem nie jest sama niepełnosprawność, ale funkcjonowanie rodziny – czyli problemy takie jak np. kryzys małżeński i rozwód, alkoholizm czy nieumiejętność rozwiązywania problemów emocjonalnych. A dzisiejsza szkoła nie ma dobrych narzędzi do pracy z całymi rodzinami. – To powinna być praca socjalna czy terapeutyczna psychologa prowadzącego rodzinę, gdzie szkoła jest tylko elementem sie-

ci wsparcia, i to nie najbardziej istotnym – wskazuje Kubicki. – Są i jeszcze inne problemy. Na przykład takie, że rodzice wciąż wstydzą się przyznać, iż mają dziecko z niepełnosprawnością, problemami wychowawczymi czy depresją.

Zdaniem eksperta w ogóle polskie szkoły źle radzą sobie z innością, z odbieganiem od normy, w tym także ze względu na niepełnosprawność. Dlaczego? Jego zdaniem jednym z powodów jest wypalona, sfrustrowana, zestresowana i słabo opłacana kadra nauczycielska. A żeby efektywnie pracować w takiej klasie, potrzebne są dodatkowe wysiłki i chęci, ale też wzajemne zaufanie wszystkich stron – dyrekcji, innych nauczycieli i rodziców. Wskazuje też, że wielu obecnych nauczycieli wykształciło się w czasach, gdy w szkołach takich dzieci nie było. – Brakuje zatem im wiedzy, umiejętności i doświadczenia. I zwykle wszystkie zdobywają już w biegu, podczas pracy z pierwszym takim uczniem – opisuje.

Kolejnym problemem jest rozdzielenie w Polsce spraw organizacyjno-finansowych, za które odpowiada samorząd, od spraw edukacyjnych, za które odpowiada MEN. – Upraszczając, chodzi o to, że ministerstwo nie interesuje się tym, za ile, a samorząd tym, jak edukacja włączająca będzie realizowana. Te dwa światy spotykają się, gdy dla dzieci ze specjalnymi potrzebami trzeba dodatkowego czasu, specjalistów i pieniędzy. Potrzebne wsparcie znajduje się zwykle wówczas, gdy kryzys jest w pełni rozwinięty, gdy sprawą interesują się media, policja, a rodzice piszą petycję, by zabrać dziecko z klasy, czyli za późno. Trudno wywalczyć takie zaangażowanie, zanim coś się stanie, gdy zaczyna się pracę z takimi uczniami, a tylko wtedy jest ono efektywne – podsumowuje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Czasem milczenie nie jest złotem.
Czasem trzeba krzyczeć.



Rozmowy o miłości,
rozkoszach i poczuciu winy

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS



Autoportret Velázqueza (z lewej) z 1640 r.
i autoportret Rembrandta z 1654 r. FOT. RIJKSMUSEUM



Pojedynek mistrzów



Piotr Semka z Amsterdamu

Nigdy się nie spotkali, choć zapewne mogli o sobie słyszeć. Rembrandt van Rijn (1606–1669) – geniusz z Niderlandów, krainy mgieł – i Diego Velázquez (1599–1660) – megatalent z Hiszpanii, gdzie pełno oślepiającego słońca. Po wiekach Rijksmuseum w Amsterdamie uczciło ich wielką wystawą

Rembrandt jest w tym roku ważniejszy – Holandia obchodzi hucznie rocznicę 350. urodzin swego największego malarza. Jednak aby w pełni ukazać talent syna Niderlandów, potrzebne było zderzenie jego prac z Velázquezem. Hiszpańskim malarzem, który jako jeden z niewielu w Europie dorównywał mu umiejętnością wydobywania z płótna psychiki swych

modeli. A obok tych dwóch gigantów zgromadzono płótna innych mistrzów z obu krajów, m.in. Murilla, Vermeera, Zurbarána, Halsa i Ribery.

Dużą wystawę w Rijksmuseum poprzedziła w czerwcu br. analogiczna ekspozycja w madryckim Prado z licznymi dziełami holenderskich mistrzów z niderlandzkich kolekcji. Teraz płótna powędrowały w odwrotnym kierunku

– do Rijksmuseum w Amsterdamie. Na obecnej wystawie zgromadzono łącznie 60 płócien z obu krajów – w tym najatrakcyjniejsze: 10 dzieł Velázqueza i 11 Rembrandta.

To opowieść, jak mistrzowie hiszpańscy i holenderscy, żyjący w tak różnych warunkach klimatycznych, na dwóch krańcach Europy, wyciągnęli malarstwo XVII w. na niespotykany poziom maestrii.

POJEDNANIE DWÓCH NARODÓW

Wystawę otworzyły 10 października w Amsterdamie dwie koronowane głowy – Wilhelm-Aleksander – władca Holandii – i hiszpański król Filip. Dzisiaj monarchowie z Amsterdamu i Madrytu, jak przystało na królów dwóch krajów unijnych, demonstrują przyjaźń, ale za życia Rembrandta i Velázqueza, w XVII w., ich kraje walczyły na śmierć

i życie. Rok temu minęła 450. rocznica rozpoczęcia długiej wojny Hiszpanów z Holendrami. I dziwnym trafem ich wojujący ze sobą przodkowie nosili te same imiona. Bunt dumnych Holendrów zdusić próbował król hiszpański Filip II. Liderem oporu Niderlandów był książę Wilhelm Orański.

Ta wojna trwała aż 80 lat i obfitowała w krwawe epizody. Nakładał się na nią silny konflikt religijny. Filip II uważał się za obrońcę katolicyzmu, a Holendrzy uznawani byli za bohaterów reformacji.

Do dziś wielu ówczesnych holenderskich bohaterów tamtych walk ma otaczane czcią pomniki. W rodzinnym mieście Rembrandta – Lejdzie – rocznica uwolnienia Harlemu od hiszpańskiego oblężenia i głodu czczona jest miejskim świętem Leiden Ontzet. O Hiszpanach przypominają nazwy fortyfikacji, np. Spannaardgaat w Bredzie. Sam Velázquez uwiecznił zresztą jeden z nielicznych hiszpańskich trumfów w tej wojnie – „Kapitulację Bredy” w 1625 r., która jednak w tym roku nie opuściła muzeum Prado i nie trafiła do Rijksmuseum.

Odwolań do tamtej wojny nie ma bowiem na amsterdamskiej wystawie. Zarówno Velázquez, jak i Rembrandt unikali wojennych obrazów. „Kapitulacja Bredy” to jedyny wojenny obraz Hiszpana.

Wystawa w Rijksmuseum chce porównywać i wskazywać na podobieństwa malarstwa w dwóch krajach, które przeżywały wtedy swój złoty wiek. Niderlandy bogaciły się handlem, a do Hiszpanii płynęło złoto z Ameryki Północnej.

Pod kątem wspólnych cech tematu lub techniki malarskiej połączono obrazy z Hiszpanii i Holandii w pary. Najatrakcyjniejsze są oczywiście duety płócien Rembrandta i Velázqueza.

DWAJ MISTRZOWIE

Kurator ekspozycji Georg Weber, otwierając wystawę, mówił: „Mamy dwóch bohaterów koło siebie. Zależało nam, aby pokazać, jak ich prace wchodzą w wizualny dialog. Nie znali się, ale ich prace wykazują zadziwiające podobieństwa”.

Jakże różnie toczyły się ich losy! Hiszpański malarz urodził się jako pierwotny syn w szlacheckiej rodzinie o korzeniach portugalskich. Rembrandt był synem młynarza. Przydomek „Van Rijn” (z Renu) nie oznaczał szlacheckiego pochodzenia, ale powstał dla ułatwienia

znalezienia wiatraka ojca Rembrandta, zbudowanego nad brzegiem rzeki.

Velázquez podróżował do Włoch, chłonąc ówczesną malarską klasykę. Rembrandt nigdy nie wyjechał nigdzie poza rodzinne Lejdę i Amsterdam. Hiszpan malował głównie dla królewskiego dworu i Kościoła, Holender tworzył dla zamożnego mieszczaństwa. Do Velázqueza los uśmiechał się do końca życia, Rembrandt przeżył śmierć ukochanej żony, za życia przyszło mu pogrzebać ukochanego syna Tytusa.

Velázquez zmarł rok po otrzymaniu zaszczytnego tytułu Rycerza św. Jakuba – Rembrandt żegnał świat w ubóstwie.

Kapryśny los nawet po śmierci obu mistrzów odmienił losy ich szczątków. Śladu dziś nie ma po zburzonym kościele

Rembrandt, ubrany w czarny beret, ze złotym łańcuchem na szyi, spogląda na nas już po epoce największych sukcesów finansowych. Za dwa lata, w 1656 r., został ogłoszony bankrutem. Spogląda na widza ze spokojem, ale i bez wielu złudzeń. Velázquez, widać to dobrze, chce wciąż walczyć o mocną pozycję na dworze. Rembrandt zaczyna rozumieć, że za karierę się płaci, przede wszystkim znizaniem się do płytkich najczęściej gustów klientów. Mistrz z Lejdy nie chce tego czynić i osuwa się w dół drabiny społecznej.

Pisarz holenderski Cees Nooteboom, którego esej otwiera katalog wystawy, pisze: „Dwa wiszące obok siebie autoportrety. Wiszą obok, ale się nie widzą. Aż chciałoby się zapytać – a co by było, gdyby mogli się nawzajem widzieć? Co



Król Hiszpanii Filip i król Holandii Wilhelm-Aleksander na otwarciu wystawy FOT. RIJKSMEUSEUM

św. Jana w Madrycie, gdzie pochowano Velázqueza. Za to nad domniemanym miejscem pochówku zwłok Rembrandta w amsterdamskim Westerkerk wisi dziś stylowe epitafium.

DWA ŚWIATY

Pochyliam się nad ścianą, na której zobaczyć można dwa autoportrety Velázqueza z 1640 r. i Rembrandta z 1654 r.

Hiszpan ze starannie wypielegnowanym wąsikiem chce być widziany jako dworzanin króla w Madrycie. Patrzy na widza z władczym i ambitnym spojrzeniem, niczym dumny hidalgo w każdej chwili gotowy chwycić za szpadę w obrobie swego honoru.

by było, gdyby Rembrandt miał szansę namalować portret Velázqueza?”.

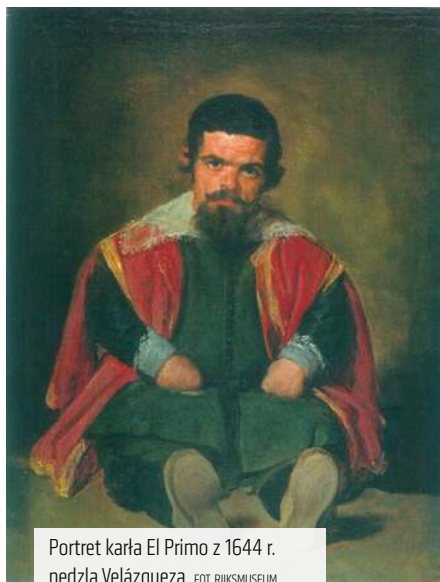
Kolejny autoportret Rembrandta na wystawie pochodzi z 1661 r. Namalowany osiem lat przed śmiercią jest podsumowaniem rozważań, co jest w życiu ważne. Malarz maluje siebie pod postacią apostoła Pawła z czytaniem księgi. Na twarzy mistrza poważne spojrzenie. Jednak wzniesione brwi nadają twarzy wyraz refleksyjnej ironii. Autorzy wystawy zderzyli ten obraz z portretem pędzla Velázqueza, który przedstawia nadwornego króla z rozłożoną, sporą księgą. Człowiek, którego zadaniem jest bawić dwór, mimo fizycznej ułomności zagląda w księgi i demonstruje swą niezbywalną

godność dziecka bożego. Ktoś, komu wyznaczono rolę człowieka zabawki, przyjmuje rolę stoika.

Velázquez żywił jakiś specjalny rodzaj szacunku dla tych specyficznych członków dworu. Na wystawie można obejrzeć jeszcze jeden portret króla imieniem El Primo. On także patrzy uważnie w oczy widzowi, upominając się o uszanowanie swego człowieczeństwa. Dla odmiany, wybrany do pary portret śmiejącego się Mulata w karnawałowym stroju pędzla holenderskiego malarza Fransa Halsa nie wykracza

z którą traktowali zarówno Boga, jak i swoje interesy.

Oto kolejny pojedynek malarzy. Po lewej dwa portrety „Dña Antonia de Ipeñarrieta y Galdós i jej syn Luis” oraz „Don Diego del Corral y Arellano” – dzieła Velázqueza z 1632 r. Po drugiej stronie – inna ubrana wykwintnie para obrazów: Marten Soolmans i Oopjen Coppit – oboje sportretowani przez Rembrandta w 1634 r. Ileż dumy bije z tych twarzy! Hiszpańskie płótna to demonstracje poczucia ważności prastarych rodów



Portret króla El Primo z 1644 r.
pędzla Velázqueza FOT. RIJKSMUSEUM



Frans Hals, „Portret Mulata”, 1628 r.
FOT. RIJKSMUSEUM

poza ówczesny konwenans. Dla Velázqueza mali dworscy ludzie nosili w sobie jakąś tajemnicę, którą trzeba było choć spróbować odkryć, dla Halsa – syn Europejki i Murzyna był tylko ciekawostką.

Jednak wróćmy do autoportretów Rembrandta. Jego badacze naliczyli ich w ciągu życia mistrza aż ponad 80. Próżność? Być może i tak. Jednak przede wszystkim dla mistrza z Lejdy własna twarz była tablicą do obserwowania emocji i namiętności, do badania układów światła i eksperymentowania z rozmaitymi kostiumami. Te dwa autoportrety, które możemy zobaczyć na wystawie, pokazują, jak głęboka była samowiedza artysty o kierunku jego artystycznego rozwoju.

AKSAMIT I JEDWAB

Na portretach dostojników z jednej i drugiej strony dominuje czerń. To efekty poważnej i dostojnej hiszpańskiej mody, którą wprowadziła etykieta dworska cesarza Karola V. Potem przyjęli ją z chęcią kalwini, bo dobrze pasowała do powagi,

i ich pozycji szlacheckiej. Te namalowane przez Rembrandta zamówiono dla utwierdzenia mieszczańskiej dumy i pobłogosławienia własnej przezorności oraz operatywności. Jednak technika uchwycenia światła na sylwetkach portretowanych jest niemal identyczna. A wyłowić z mrocznego tła kogoś ubranego w ciemny strój wcale nie jest łatwo.

Historyk sztuki Hans den Hartog Jager pisze w katalogu wystawy: „Velázquez i Rembrandt malują bogatych i władczych ludzi, używając bardzo podobnych, subtelnych kontrastów między cieniem a światłem. Za ich pomocą wyciągają postacie z ciemnego tła ku widzowi. Niemal identyczna jest u obu mistrzów gama używanych barw – wiele koloru ochry, brązu i czerni, okazjonalne użycie czerwieni i absolutny brak błękitu i zieleni. Równie podobne są ruchy pędzla. [...] To dzięki tym środkom u obu malarzy ludzkie uczucia wyrastają z obrazu. Podkreślają kompleksową, różnorodną, niedającą się okiełznać naturę ludzką”.

Jednak są na wystawie w Rijksmuseum duety obrazów zapowiadające rozejście się dróg katolicyzmu i świata reformacji. Owszem, wśród holenderskich obrazów jest wiele biblijnych scen – takich jak choćby Rembrandtowski portret Izaaka i Rebeki. Jednak coraz częściej na pierwszy plan u Holendrów wysuwają się świeccy bohaterowie. Oto dwa obrazy operujące bielą. Po lewej męczeństwo św. Serapiona pędzla Francisco de Zurbarána (1598–1664). Na ciemnym tle wysuwa się ku widzowi ubrane w jaśniejszy habit ciało mnicha zamęczonego przez berberyskich piratów. Po prawej stronie obraz białego łabędzia broniącego swego gniazda autorstwa Jana Asselijna (1610–1652) – metafora ku czci mordu na Johannie de Witcie i jego bracie Corneliusie – rodzeństwie holenderskich polityków republikańskich.

Jednak inaczej niż inni holenderscy mistrzowie Rembrandt pamięta o sacrum i jego symbolika wychodzi poza ciasne ramy konfesyjne. Oto portret z 1660 r. jego syna Tytusa w habicie franciszkańskim. Skąd taki ukłon dla katolicyzmu w Holandii prezentującej wtedy gorliwą kalwińską ortodoksję? Można tylko zgadywać, czy franciszkański habit nie był aby dla mistrza symbolem pokory i łagodności, które uleciały jakoś z reformacji? Dzisiaj panuje oświeceniowy schemat – despotyczna, okrutna Hiszpania i tolerancyjne, oświeczone Niderlandy. Może Rembrandt w świetle osobistych doświadczeń patrzył na to inaczej, szerzej?

Na pewno wystawa pokazuje, jak w połowie XVII w. rozkwit polityczny i gospodarczy dwóch państw stymulował sztukę. Sto lat później – w połowie XVIII w. – artyści w Amsterdamie zastygną w naśladowaniu schematów, a sztuka hiszpańska zapadnie w zastój, z którego wyrwie ją dopiero na przełomie XVIII i XIX w. Francisco Goya. Czyżby dopiero wojny i tragedie wyzwalały inwencję w malarzach?

„Hiszpania i Holandia – dwa wielkie państwa siedemnastego wieku” – pisze Cees Nooteboom, podsumowując wystawę. „Każde z nich podporządkowało sobie spory kawałek świata, by potem utracić swe imperia. To, czego nie utracili, to dzieła sztuki, które podziwiać możemy do dziś”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

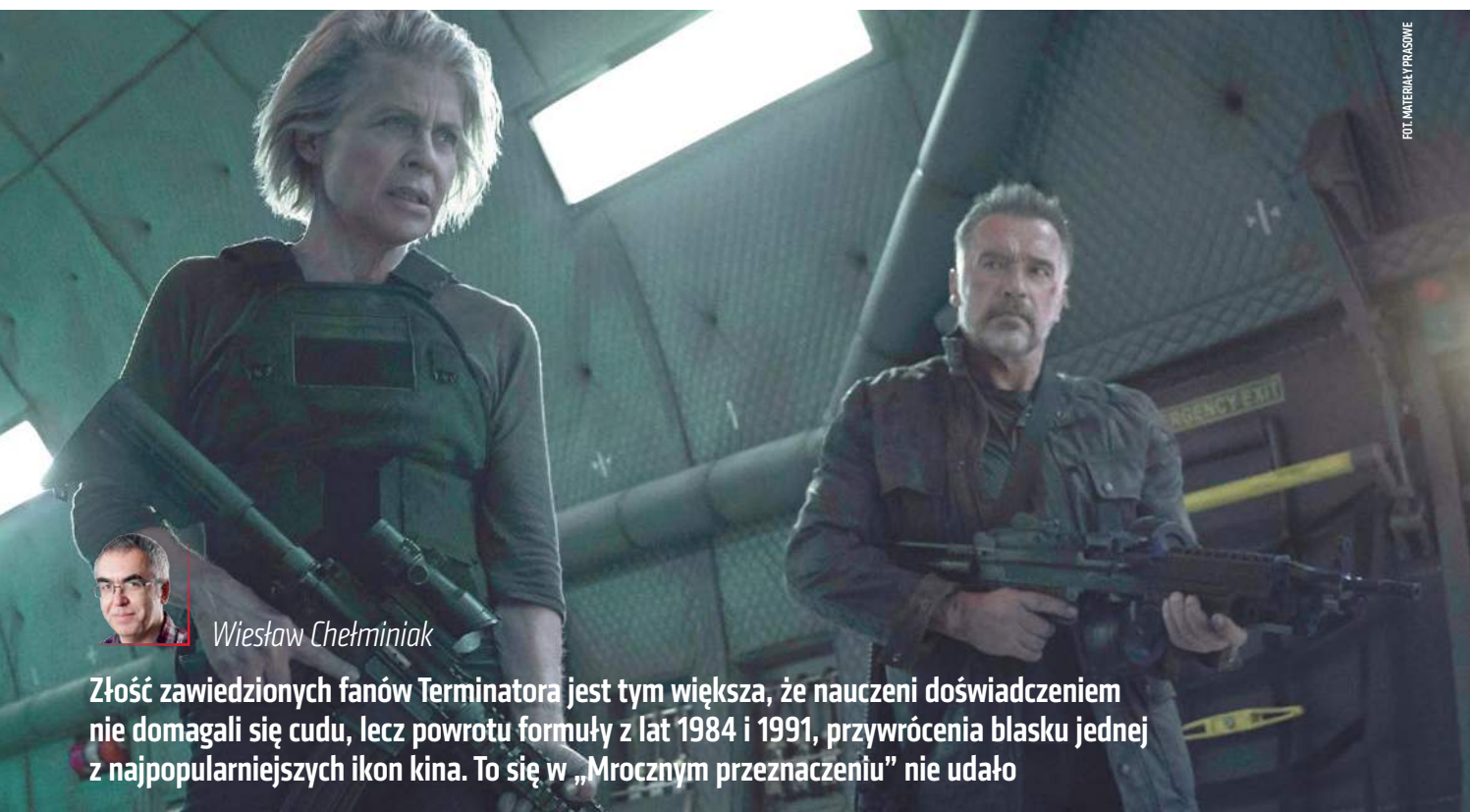
Wystawa „Rembrandt – Velázquez: mistrzowie holenderscy i hiszpańscy” potrwa w Rijksmuseum w Amsterdamie do 19 stycznia 2020 r. Szczegóły na: www.rijksmuseum.nl.



Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com





Wiesław Chelminiak

Złość zawiedzionych fanów Terminatora jest tym większa, że nauczani doświadczeniem nie domagali się cudu, lecz powrotu formuły z lat 1984 i 1991, przywrócenia blasku jednej z najpopularniejszych ikon kina. To się w „Mrocznym przeznaczeniu” nie udało

Przyszłość, która nie nadejdzie

Przez Internet przelewa się tsunami rozgoryczenia fanów morderczego cyborga. „Mroczne przeznaczenie” – szósta odsłona cyklu straszącego wizją porażki ludzkości w starciu ze sztuczną inteligencją – srodze zawiodła ich oczekiwania.

Wielbiciele Terminatora i tak wykazali się nadzwyczajną cierpliwością. Daremne próby dorównania oryginałowi, podejmowane przez Jonathana Mostow, McG i Alana Taylora, kwitowano szyderstwami podszytymi wiarą, że gdy tylko prawa do formatu odzyska James Cameron, wszystko wróci do normy. Któż mógł się spodziewać, że tym, który zada decydujący cios, wbije osikowy kołek nie tyle w serce, ile w jarzacy się czerwonym

światłem oczodół „elektronicznego mordercy”, będzie jego tatuś?

JUTRO MEKSYK

Reżyserem „Mrocznego przeznaczenia” formalnie jest Tim Miller, spec od efektów specjalnych, który debiutanckim „Deadpool” dowiódł, że potrafi tchnąć nowego ducha w Marvelowski schemat widowiska dla mas. Mając Camerona za producenta, własne ambicje trzeba jednak schować do kieszeni i zamienić się w potulnego wykonawcę poleceń. Podobnie można skwitować pracę trójki scenarzystów. Zrobili to, czego od nich oczekiwał szef.

Czy Cameron faktycznie dopuścił się aktu dzieciobójstwa? Zdaje się, że miał taki zamiar. Już w czwartej minucie filmu

następuje zwrot, który poniekąd unieważnia wszystko, co działo się wcześniej. Na radykalnie oczyszczonym terenie można było wznieść nową konstrukcję, lecz to zadanie przerosło twórców „Mrocznego przeznaczenia”. Fabuła co i rusz wpada w stare koleiny.

Znowu z przyszłości przybywa zmiennokształtna maszyna z licencją na zabijanie. Rev-9 potrafi się rozdzielić i ma – w odróżnieniu od poprzedników – dość wyrazistą mimikę. Jego śladem jak zwykle podąża ktoś znający słabe strony bestii i potrafiący z nią walczyć. W menu powtórnie znajdziemy szalony pościg na autostradzie oraz finałowe starcie w wielokopremysłowych dekoracjach. A na wypadek gdybyście, szanowni widzowie zapomnieli, że fatum nie istnieje i każdy jest kowalem własnego losu, zostanie wam to kilka razy dobitnie przypomniane.

Najważniejszą nowinką jest feministyczno-latynoski przechyl intrygi. Momentami można odnieść wrażenie, że Cameron chce pokazać się za młodzieńczy seksizm i wpisać Terminatora na listę bojowników o równouprawnienia ras i płci. Większa część akcji rozgrywa się w Meksyku, główna bohaterka jest Latynoską, zaś Rev-9 ma twarz Gabriela Luni. Dantejskie sceny z południowej granicy USA też nie pojawiły się w scenariuszu przypadkowo.



★★★★★

REŻ. TIM MILLER

**„TERMINATOR:
MROczne
PRZEZNACZENIE”
(„TERMINATOR:
DARK FATE”)**

USA/CHINY 2019

 wyst. Natalia Reyes,
Gabriel Luna,
Mackenzie Davis

W kategoriach technologiczno-widowskich „Mroczne przeznaczenie” daje radę. Dwieście milionów mln dobrze wydanych dolarów widać na ekranie. Napięcie zbyt często jednak spada do zerowego poziomu. Cameron potrafił nadać swym filmom gorączkowy, wręcz hipnotyczny rytm. Miller jeszcze tego nie umie.

ŚLEPE ULICZKI

„Terminator” z 1984 r. grał na lęku przed wojną nuklearną i technologią, która może wymknąć się spod kontroli. Późniejszy o siedem lat „Dzień sądu” zachwycał epickim rozmachem i eskalacją, odkrywczych jak na tamte czasy, cyfrowych efektów specjalnych. Cameron rozbił bank i stał się jednym z głównych rozgrywających Hollywood. Schwarzeneggera zaczęto uważać za aktora. Cyborg model T-101 (później przemianowany na T-800) dołączył zaś do panteonu bohaterów światowego kina. Oczekiwanie na ciąg dalszy skracały gry komputerowe, komiksy i serial telewizyjny.

Z tak wyniosłego szczytu droga mogła prowadzić już tylko w dół. „Bunt maszyn”, zrealizowany już bez Camerona, zarobił swoje, lecz prasę miał kiepską. Scenarzyści wzięli raz za grepsiarstwo oraz herezję polegającą na złamaniu zasady, że w starciu z człowiekiem sztuczna inteligencja musi ponieść klęskę.

Powrót do tonacji serio w „Ocaleniu” też nie przyniósł sukcesu. Film był właściwie spin-offem „Terminatora”, zaś akcja rozgrywała się w postapokaliptycznym świecie przyszłości. Kto sądził, że cykl uzdrowi powrót Schwarzeneggera, ten po premierze ocierającego się o parodię „Genisys” musiał przyznać się do błędu. Nie był to już bowiem ten sam Arnie. Przygoda z polityką źle wpłynęła na austriackiego wielkoluda, come back do świata show-biznesu okazał się dlań podwójnie bolesny. Odwieczny rywal – Sylvester Stallone – przeżywał bowiem drugą młodość, udało mu się nawet wylansować nowy cykl („Niezniszczalni”), do którego łaskawie zaprosił podupadłego Schwarzeneggera.

W kręgach ortodoksyjnych fanów dominiuje opinia, że cykl powinien się skończyć na „Dniu sądu”. Kontynuacje miały dobre momenty, lecz ich autorzy, naciskani przez producentów, dryfowali w stronę „bezpiecznej” kategorii PG-13, czyli kina

familijnego. Do tego doszły błędy obsadowe. Johna Connora, postać kluczową dla losów ludzkości, za każdym razem grał ktoś inny. Największym grzechem był jednak strach przed podjęciem ryzyka. Żaden z następców Camerona nie ośmielił się przekroczyć wytyczonych przez niego granic.

Guru zgodnie z oczekiwaniami zarządził wielki reset. W „Mrocznym przeznaczeniu” do gry wraca matka Connora, perfidnie uśmiercona w „Buncie maszyn”. Jak udało się nakłonić Lindę Hamilton do przyjęcia tej roli, pozostaje słodką tajemnicą.

Może w podjęciu decyzji pomogła byłej żonie Camerona lektura scenariusza. Sarah zmartwychwstaje jako kobieta twarda jak stal, poszukiwana w 50 stanach łowczyni cyborgów, używająca męskiego języka i zawsze gotowa do akcji. To z jej ust padnie tym razem kultowa kwestia: „I’ll be back”.

Średnie pokolenie reprezentuje Grace, wojowniczką z przyszłości. Nadludzkiej siły i wytrzymałości nabrała na sali operacyjnej. Niby nic nowego, „udokształcony człowiek” pojawił się już w „Ocaleniu”, lecz był samcem, w dodatku nadzianym skrupami jak pieczony kapłon kaszą. Grace nie przeżywa żadnych rozterek, a lecącą muchę potrafi przeciąć nożem na dwie równe części. Johna Connora zastąpiła zadziorna nastolatka Dani Ramos. Trzy gracie odpierają wściekłe ataki Rev-9 na lądzie, w powietrzu i pod wodą, tylko incydentalnie korzystając z męskiego wsparcia.

Feminizm rzucił hollywoodzkich bossów na kolana, lecz publiczność ma swoje przyzwyczajenia. Hasło: „Terminator” wciąż kojarzy się ze Schwarzeneggerem, trzymającym w ręku wielką giberę. Jak zagospodarować byłego gubernatora? Burza mózgów musiała być nieelicha, skoro dała tak kuriozalny efekt. Sędziwemu cyborgowi odebrano motocykl, skórzaną kurtkę i ciemne okulary. Proces uczłowieczania poczynił znaczne postępy, mechaniczny kiler nie czeka już na rozkazy, samodzielnie dokonuje wyborów i ma „ekstremalne poczucie humoru”.

PODZWONNE DLA CYBORG

Czwarta z kolei próba reaktywowania legendy zakończyła się fiaskiem. A może jest to misja niewykonalna? W „Terminatorach” w gruncie rzeczy zawsze najważniejsza była efektowna rozwalka. Dylematy związane z rozwojem sztucznej inteligencji

o wiele poważniej potraktowano w takich filmach jak „A.I.”, „Ona”, „Ex Machina”, „Blade Runner 2049” czy w serialu „West World”.

System operacyjny SkyNet, który zyskawszy samoświadomość, postanowił eksterminować największych szkodników na planecie, czyli ludzi, jest potomkiem zbuntowanego komputera Hala z „2001. Odysei kosmicznej”. Cameron wychował się na tym klasyku, ponoć obejrzał go 10 razy.

Baśń o bezlitosnym cyborgu była w swych początkach mroczna, bliska horrorowi. Potem doszły apokaliptyczne wizje, w których eksplozja nuklearna dosłownie zmiata Los Angeles z powierzchni ziemi. Śmierć metropolii obserwujemy z perspektywy placu zabaw dla dzieci. Krytycy, którzy uważają za swą misję odnajdywanie ukrytych sensów nawet w produkcjach stricte rozrywkowych, odkryli w „Terminatorze” wątki paraboliczne. Sarah Connor to nowa Maryja, a jej syn jest Mesjaszem, ewentualnie Mojżeszem, wyprowadzającym niedobitki ludzkości z niewoli maszyn. Niestety, reżyser „Avatara” kpi z takich interpretacji.

Starożytni uznali, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. Liderzy amerykańskiego przemysłu filmowego mają ten werdykt w głębokiej pogardzie. Kiedyś restart był przywilejem Bonda, teraz stał się procederem tak powszechnym jak bluzgi w sieci. Pojawiają się jednak sygnały, że publiczność zaczyna mieć już dość tej powtórki z rozrywki. Sukces „Mad Maxa. Na drodze gniewu” to wyjątek potwierdzający regułę. Disnejowskie kontynuacje „Gwiezdných wojen” ciągną na oparach. „Predator” poległ w kinach, Stallone przeproszał za nowego „Rambo”. Za zapowiadaną czwartą część „Matrixa” nie dałbym pięciu groszy.

Poprzednim próbom reanimacji Terminatora towarzyszyły sny o potędze. „Mroczne przeznaczenie” również anonso- wano jako początek nowej trylogii. Kasowa klęska, na którą się zanosi, z pewnością zablokuje te plany. Rzecz jasna, można bawić się paradoksami podróży w czasie i w nieskończoność mnożyć równoległe światy, tyle że to bardzo kosztowna zabawa.

Zdaniem nawróconego cyborga szansa na to, że ludzkość samą siebie doprowadzi do zagłady, wynosi 74 proc. Brzmi to bardziej wiarygodnie niż mantra o „przyszłości, którą kształtujemy sami”. Skoro nawet Cameron okazał się bezradny, to znaczy, że w tej cytrynie nie ma już soku. Sayonara, Terminatorze?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Czy, wreszcie, jest to sztuka oparta na fundamencie ideologii? Takie pytania trzeba postawić i jestem przekonany, że dzięki temu CSW wróci do roli instytucji tętniącej życiem, którą było w latach 90., czyli w okresie swojej świetności. Dzisiaj jest tylko jeszcze jednym salonem wystawowym biernie naśladowującym inne galerie sztuki współczesnej. Konieczne jest także otwarcie CSW na artystów, dotychczas pomijanych ze względów światopoglądowych. Artyści podejmujący tematy historyczne, odnoszące się np. do podziemia antykomunistycznego, byli cenzurowani w publicznych instytucjach. Na wystawie „Historiofilia” pokazałem wiele takich dzieł, m.in. instalację poświęconą mordowi sądowemu gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Warto o tym przypomnieć dziś, kiedy na miejsce nazw ulic upamiętniających wyklętych wracają nazwy z czasów komunistycznych.

Wychylił pan CSW w prawo?

Co bardzo ważne, moją ideą nie jest tworzenie ideologicznego getta „sztuki prawicowej”. Gdy kierowałem Galerią Miejską „Arsenał”, spotykali się tam artyści z różnych opcji światopoglądowych i estetycznych, także CSW chcę otwierać na różne środowiska. Liczę, że również artyści, którzy dziś są sceptyczni wobec mojej kandydatury, zweryfikują swoje stanowisko, gdy zobaczą, jak prowadzone będzie CSW. Nieraz doświadczałem takiej sytuacji w Arsenale – artyści i kuratorzy, którym przedstawiano mnie jako ideologicznego prawicowego siepacza, byli zaskoczeni, mając okazję ze mną współpracować, i mówili mi o tym otwarciu. Ryszard Kaja, zmarły już genialny scenograf, rysownik i plakacista, prywatnie gej, nazwał mnie najseksowniejszym dyrektorem instytucji kultury (śmiech).

Janek Simon, artysta wizualny, twierdzi jednak, że nienawidzi pan sztuki współczesnej.

Oczywiście to absurd. Gdybym nienawidził sztuki współczesnej, nie chciałbym być dyrektorem CSW. Od ponad 20 lat zajmuję się sztuką współczesną jako krytyk, kurator, badacz i ze smutkiem obserwuję proces jej ideologizacji. Poprawność polityczna, która przyszła do nas z Zachodu, zmonopolizowała także świat sztuki i instytucje artystyczne. Ten proces dokonał się właśnie na przestrzeni ostatnich 20 lat. Jeszcze przed dwiema dekadami można było stracić stanowisko dyrektora



Z Piotrem Bernatowiczem, dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej
rozmawia Tomasz Rowiński

Konserwatywne poglądy to problem

TOMASZ ROWIŃSKI: Media liberalne starają się uczynić z pana nominacji na dyrektora CSW skandal. Jaki jest pana pomysł na tę instytucję?

PIOTR BERNATOWICZ: Mój pomysł jest bardzo prosty i wynika z wyjątkowej misji CSW, która wyróżnia tę instytucję od samego początku jej istnienia. To miało być nie tylko miejsce prezentacji sztuki współczesnej i jej kolekcjonowa-

nia, lecz także miejsce refleksji i badań prowadzonych nad sztuką współczesną także poprzez działalność wystawieniową, edukacyjną, popularyzatorską. Mówimy o sztuce współczesnej, ale nie zadajemy pytań, czym ona jest. Czy to tylko sztuka awangardowa? Czy sztuka tworzona dziś? Czy sztuka dominująca na rynku, czy w pracowniach artystów?

galerii za prezentowanie zdjęcia genitaliów na krzyżu. Dzisiaj takie wystawy się odbywają i na nikim to nie robi wrażenia. Natomiast stanowisko można stracić za pokazywanie plakatu antyfeministycznego. Można też zostać nazwanym antysemitą za puszczenie w radiu piosenki Jacka Kaczmarskiego. Sam jestem tego przykładem. Powstał nowy świecki katechizm, który dotyczy także sztuki. Artysta, który nie stosuje się do niego, zostaje wyrzucony na margines. Ten katechizm opiera się na swoście rozumianym pojęciu miłości. Miłość to bezwarunkowa akceptacja wszystkiego, co robi inny, natomiast jeśli wskazujemy na problematyczność jakichś zachowań albo zjawisk, to zaczynamy mówić językiem nienawiści. I właśnie takie jest znaczenie słów Janka Simona – jeśli podchodzę krytycznie do różnych zjawisk w sztuce współczesnej, to, zgodnie z logiką świeckiego katechizmu poprawności politycznej, nienawidzę sztuki współczesnej.

Czyli jest pan atakowany za deklarację samodzielnosci?

Tak, dokładnie. W jednym z nieprzychylnych mi komentarzy pojawiło się ostrzeżenie, skierowane – jak sądzę – do tej lewicowej części środowiska artystycznego, że sprawa z moją nominacją jest poważna, bo Bernatowicz nie będzie figurantem, który zadowoli się swoją posadą i będzie unikał napięć. W tym ostrzeżeniu mimowolnie obnaża się problem współczesnych instytucji artystycznych. Zdarzają się na stanowiskach dyrektorskich osoby, które nie do końca dzielą poglądy głównego nurtu, może nawet mają prawicowe poglądy i sympatie, jednak z obawy przed medialnym atakiem kryją się z tym. Unikają też prezentacji sztuki czy zapraszania ekspertów krytycznie odnoszących się do dominacji ideologii poprawności politycznej.

Jednakże lewicowa część środowiska wie bardzo dobrze, że każde zejście z kursu należy nagłaśniać i piętnować. Usłużna „Gazeta Wyborcza” zawsze jest gotowa do ruszenia z atakiem. Podam jeden przykład. Dyrektor Galerii El w Elblągu, który dokonał niezwykle ważnych rzeczy dla tradycji awangardowych tego miasta, podniósł tę galerię z marazmu, w którym trwała przez wiele lat, pozyskał unikalną kolekcję Gerarda Bluma-Kwiatkowskiego, której groziło przejęcie przez miasto Hünfeld, gdzie

Blum-Kwiatkowski stworzył Museum of Modern Art, naraził się, ponieważ na jedną z wystaw zaprosił grupę artystyczną The Krasnals wyśmiewającą środowisko „Krytyki Politycznej”. Nie dopuścił także do prezentacji w galerii kielepskiej pracy artystek-lesbijek. Dzisiaj już nie ma go w galerii, dla której zrobił tak wiele. Gdyby unikał kontrowersji, byłby nadal dyrektorem. To było ostrzeżenie dla innych dyrektorów.

Jakie są pana kryteria pokazywania i niepokazywania dzieł?

Dyrektor instytucji oprócz własnych propozycji oraz propozycji zespołu, z którym pracuje, dostaje mnóstwo ofert prezentacji dzieł sztuki, a kryteria wyboru zawsze są złożone. Przede wszystkim dużo zależy od charakteru instytucji: czy jest to instytucja miejska, ogólnopolska, czy to salon wystawowy, czy instytucja mająca ambicję kształtowania wizerunku sztuki. Kryteria wynikają także z kontekstu. Prowadząc galerię, wychodziłem z założenia, że jeśli wszystkie polskie publiczne galerie pokazują ten sam zestaw artystów, to powinienem poszukać twórców, którzy są pomijani, a robią rzeczy ważne, oryginalne, odnoszą się w swoich pracach do spraw istotnych. Oczywiście kwestią zasadniczą jest poziom warsztatu, opanowania medium. O ile dość łatwo go określić w przypadku malarzy, rzeźbiarzy czy grafików, o tyle w przypadku nowszych mediów takich jak instalacje, performance jest to trudniejsze. Jednak przecież te media też mają już swoją historię, znając ją, łatwo odcedzić to, co jest wtórne, od rzeczy nowej. Problemem jest, że młodzi artyści często ignorują historię sztuki XX w. Mają podejszc takie, jakby świat przed nimi nie istniał. Pewien profesor z Akademii Sztuk Pięknych opowiadał mi, że kiedyś zapytał studentów, czy znają Tadeusza Kantora, i zapadła kłopotliwa cisza.

Jak wobec niechęci „środowiska” zamierza pan realizować swoje zadania w CSW?

Szczerze powiedziawszy, zapowiedź bojkotu CSW ze strony artystów, takich jak Dorota Nieznalska, przyjąłem z ulgą. W moich planach nie było prezentacji tej twórczości. Jeśli tacy artyści sami ogłaszają, że będą omijali szerokim łukiem CSW, to przynajmniej nie będę narażony na zarzuty, że pomijam w programie „istotnych” twórców. Chociaż jak

znam życie, to takie zarzuty się wkrótce pojawią. Mogę też powiedzieć, że z mojej strony nie ma żadnego uprzedzenia wobec artystów, nawet jeśli wypowiadają o mnie nieprzychylnie sądy. Wielokrotnie zasiadając w jury różnych nagród, popierałem artystów, z którymi światopoglądowo wiele mnie dzieliło, ale którzy tworzyli wartościowe dzieła.

Jak rozumiem, bojkot nie jest dla pana żadnym problemem, a atmosfera sprzeciwu wobec pana to ideologiczna fikcja?

Ta atmosfera nie jest niestety fikcją. To jest część rzeczywistości, w której żyjemy, od kiedy za sprawą zmiany politycznej został naruszony niepisany zwyczaj, że elity liberalno-lewicowe mają dominującą pozycję w instytucjach artystycznych. I oto lewicowy marsz przez instytucje, o którym pisał Gramsci, napotkał przeszkodę. Rozlega się zatem bicie na alarm i roztaczane są katastroficzne oraz historyczne wizje upadku sztuki. Proszę zobaczyć, że nagonka na mnie dotyczy moich poglądów, a nie kompetencji do sprawowania funkcji dyrektora instytucji tej skali. Jak powiedział niedawno była minister kultury, grupa osób kompetentnych merytorycznie, a zarazem mających odpowiednie doświadczenie i umiejętności menedżerskie, by kierować taką dużą instytucją, jest bardzo mała. Należę do tej grupy. Mam doktorat napisany u czolowego polskiego, lewicowego zresztą, historyka sztuki, Piotra Piotrowskiego, należę do elitarnego grona badaczy sztuki Pabla Picassa i jestem zapraszany na najważniejsze międzynarodowe konferencje na ten temat. Mam ponad 10-letnie doświadczenie w zarządzaniu w kulturze i mediach, publikowałem o sztuce współczesnej w bardzo wielu czasopiśmie. Jest tylko jeden problem – mam konserwatywne poglądy. Sprzeciw dotyczy właśnie moich poglądów, które przecież – jak sądzę – podziela znakomita większość Polaków, nawet tych, którzy nie są wyborcami formacji obecnego ministra kultury. A przecież instytucje publiczne nie mają służyć tylko grupie lewicowo nastawionych artystów i ich odbiorców. Proszę zauważyć, mam też bardzo duże poparcie osób, które ufają, że instytucja artystyczna, którą jest CSW Zamek Ujazdowski, wyjdzie z lewicowego przechyłu i będzie otwarta na różne środowiska artystów i odbiorców.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Śmierć, wszy i męska przygoda



★★★★★
REŻ. PETER JACKSON
„I MŁODZI POZOSTANĄ”
(„THEY SHALL NOT GROW OLD”)
NOWA ZELANDIA/ WIELKA BRYTANIA 2018

Co pozostaje twórcy, którego ambicje zostały już w pełni zaspokojone? Spełnianie kaprysów.

I wojna światowa zdecydowała o losach Europy w XX w. Bez niej w Rosji nie doszłoby do władzy bolszewicy, a w Niemczech – naziści. Kompletnie zrujnowała gospodarkę i reputację Starego Kontynentu, przyspieszyła estetyczną i obyczajową rewolucję. Wielu artystów i literatów starało się oddać sprawiedliwość „oszuukanemu pokoleniu”. Od Ericha Marii Remarque’a i jego powieści „Na zachodzie bez zmian” do filmu „Gallipoli” Petera Weira, przypominającego samobójczy atak australijskiego korpusu na tureckie umocnienia w Cieśninie Dardaneelskiej.

Peter Jackson wyznaczył sobie cel znacznie skromniejszy – posta-

nowił spojrzeć na wojnę, niepodobną do wszystkich poprzednich, oczami zwykłego brytyjskiego żołnierza. Takiego jak jego dziadek, któremu swój film zadedykował. Nowozelandzki reżyser dał się już poznać jako zapalony rekonstruktor przy okazji remake’u „King Konga”. Dokreślił wtedy własnym sumptem sceny, których brakowało w oryginalnym filmie z 1933 r. „I młodzi pozostaną” (cytat z wiersza Laurence’a Binyona) jest montażem komputerowo podrasowanych kronik, podobnie jak obraz zrealizowany pięć lat temu pod auspicjami Muzeum Powstania Warszawskiego.

W odróżnieniu od Polaków Jackson nie wymyślił fabuły oraz dialogów, które byłyby spoiwem dla materiałów z epoki. Zamiast tego wykorzystał głosy zza grobu.

Jego współpracownicy przetrzasnęli archiwa BBC i londyńskiego Imperial War Museum. Z 600 godzin wywiadów z 200 weteranami wybrali fragmenty najbardziej pasujące do koncepcji. Dyskusję, czy „I młodzi pozostaną” zasługuje na miano filmu dokumentalnego, pozostawmy na inną okazję. Najważniejsze, że dzięki owym zabiegom runęła bariera czasu dzielącego nas od wojaków sprzed lat stu. Pomijając hełmy jak garnki, owijacze na łydki oraz katastrofalny na ogół stan uzębienia, wydają się całkiem normalni.

Zaciągnęli się do armii, choć nie bardzo rozumieli, o co chodzi, poza tym, że trzeba „dokopać szkopom” i pokazać światu, że Brytyjczyk nikogo się nie boi. W pamięci oprócz frontowej makabry pozostały im monotonne posiłki, marna jakość wojskowych papierosów i problemy z zachowaniem higieny. Na co dzień bardziej niż Niemcy dawały im się we znaki błoto, wszechobecne wszy i szczury, żywiące się zwłokami żołnierzy. Bronią się przed myślą, że wojna była bez sensu (przecież zrobiła z nich mężczyzn!). Najgorszy szok przeżyli po zdjęciu mundurów, gdy okazało się, że rodacy chcą zapomnieć o koszmarze i żyć, jakby nic się nie stało. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „AMAZING GRACE”

Aretha Franklin w szczytowej formie, a wszystko to za sprawą archiwalnych nagrań z roku 1972. Ich autorem był Sydney Pollack. Nominowany kilka lat wcześniej do Oscara za „Czyż nie dobija się koni?”. Z przyczyn technicznych występ Arethy w New Temple Missionary Baptist Church ukazał się tylko jako album muzyczny,

materiał filmowy czekał na lepsze czasy w archiwach Warner Bros. Dzisiaj koncert, w którym wokalistkę wspomagał Southern California Community Choir, można obejrzeć w kinach. ©© **Piotr Gociek**

• „Amazing Grace: Aretha Franklin”, reż. Sydney Pollack, wyst. Aretha Franklin, James Cleveland, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Doktor Sen”, reż. Mike Flanagan, USA 2019
- „Proceder”, reż. Michał Węgrzyn, Polska 2019
- „Nie ma nas w domu”, reż. Ken Loach, Wielka Brytania 2019
- „1800 gramów”, reż. Marcin Głowacki, Polska 2019

Prawo do szczęścia

Miejsce akcji: Bałkany, wieczna poczekalnia Europy. Bohaterka: bezrobotna i trochę zdziwaczała 32-latk, wciąż mieszkająca z rodzicami. Wracając z kolejnego, nieudanego interwju w sprawie pracy, Petrunia zostaje skandalistką. Jako pierwsza kobieta w dziejach wyłania krzyż wrzucony do rzeki podczas tradycyjnej religijnej ceremonii. Nagranie ze zdarzenia robi furorę w sieci. Dla miejscowych młodzińców jest to plama na honorze. Dla Cerkwi i urzędników państwowych – gorący kartofel. Ani prośbą, ani groźbą nie można skłonić upartej panny do zwrotu relikwii, która ponoć przynosi właścicielowi szczęście. Do miasteczka zjeżdża reporterka, ostra jak

nóż sprężynowy i wyjątkowo cięta na patriarchat, który hamuje postęp. Zamierza zrobić z incydentu z krzyżem sensację na skalę krajową oraz trampolinę do własnej telewizyjnej kariery. Frustracja – to słowo klucz do tego filmu. Wszyscy są jacyś skwaszeni. Petrunia, która niepotrzebnie skończyła studia. Jej przyjaciółka, której kochanek ma na boku żonę i troje dzieci. Pop, który boi się arcybiskupa i własnych parafian. Policjant, który mówi: „Widzisz, z kim ja tu muszę pracować?”. Tkwią jednak w lokalnym bagienku, bo żyć przecież jakoś trzeba. Smutna opowieść, do tego podana w ostatecznie rozlazłej formie. Bałkański ssplin. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. TEONA STRUGA MITEVSKA
„BÓG ISTNIEJE, A JEJ IMIĘ TO PETRUNIA”
MACEDONIA/BELGIA/CHORWACJA/FRANCJA/SŁOWENIA 2019

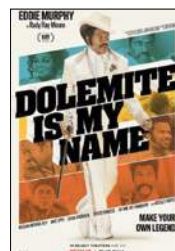
wyst. Zorica Nuseva, Labina Mitevska, Stefan Vujisic



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PAN DOLEMITE ZAPRASZA

„Nazywam się Dolemite” przypomina, jak znakomitym aktorem jest Eddie Murphy. Historia komika, piosenkarza i wreszcie aktora (kiepskiego), którym był Rudy Ray Moore, opowiedziana jest z werwą, świetną muzyką i kapitalną obsadą drugiego planu, ale to przede wszystkim show jednej gwiazdy. Główny bohater, weteran piosenki i wodewilu, próbuje raz jeszcze wspiąć się na szczyt. Czyny to nieco przypadkiem, ale przede wszystkim dlatego, bo wie, czego potrzebuje publiczność. No i pchany jest niegasnącym przekonaniem, że on sam potrafi tę publiczność zabawić. Jego filmowa biografia bywa już nazywana czarną odpowiedzią na „The Disaster Artist”, ale Moore, w odróżnieniu od bohatera granego przez Jamesa Franco, jednak miał prawdziwy talent. Tyle że nie zawsze nadążał za duchem czasów. Dzisiaj Moore uważany jest za prekursora rapu i czczony jako inspiracja przez nowe pokolenia artystów. Eddie Murphy szykuje zaś już komedię „Książę w Nowym Jorku 2”, którą wyreżyseruje twórca „Nazywam się Dolemite”.



★★★★★

REŻ. CRAIG BREWER
„NAZYWAM SIĘ DOLEMITE”
USA 2019,
DYSTR. NETFLIX

wyst. Eddie Murphy, Da'Vine Joy Randolph, Mike Epps, Craig Robinson

NAPRZECIW SAURONA

Trudno się kręci filmy o pisarzach. Bo jak tu pokazać zmagania, których areną są kartka papieru i wewnątrz głowy bohatera? Dome Karukoski, reżyser filmu „Tolkien”, postawił na fantastyczne przerwiny w duchu filmów fantasy i skoncentrował się na młodych latach twórcy „Władcy Pierścieni”. Co jest o tyle jednostronne, że wskazując (słusznie) na jego wielką fascynację lingwistyką, pominał jednocześnie kluczowy dla formowania się światopoglądu pisarza katolicyzm i jego późniejsze przyjaźnie wewnątrz grupy Inklingów (do której należeli m.in. C.S. Lewis czy Charles Williams). Dobrze oddano wątek miłosny (Edith Bratt, przyszła pani Tolkien, gra Lily Collins), słuszne jest wskazanie okopów I wojny światowej jako miejsca, w którym pisarz doświadczył traumy. Całość ma jednak temperaturę dość letnią i jest propozycją dla koneserów. ©©



★★★★★

REŻ. DOME KARUKOSKI
„TOLKIEN”
USA 2019,
DYSTR. IMPERIAL

wyst. Nicholas Hoult, Lily Collins, Colm Meaney

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „CALL OF DUTY: MODERN WARFARE”

Człowiek czuje się staro, gdy uświadomi sobie, że to już 16. odsłona serii „Call of Duty”, które ukazują się niezmiennie na konsoli i PC w sezonie jesienno-świątecznym. Czy gra, która polega na przedzierzgnięciu się na przemian w futurystycznego, historycznego i współczesnego żołnierza, może

czymś jeszcze zaskoczyć? Reboot serii „Modern Warfare” jest z pewnością udanym powrotem do korzeni. Ciekawa, urozmaicona i świetnie graficznie animowana kampania dla jednego gracza to duży plus. Nie brak w niej „szarości”, odniesień do walk na Bliskim Wschodzie oraz tarć pomiędzy



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

USA a Rosją. Multiplayer jak zwykle daje radę. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** PS4/XONE/PC
- **Producent, dystrybutor:** Infinity Ward/Activision Blizzard
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

MOJA PÓŁKA

Piosenka o mojej Warszawie

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Do trylogii rozrósł się zbudowany słowami przez Tomasza M. Lerskiego „Portret miasta w zwierciadle literatury”. Tak brzmi podtytuł wydanej właśnie „Warszawy Jarosława Iwaszkiewicza”, którą poprzedziły cztery lata temu „Warszawa Marii Dąbrowskiej” i trzy lata temu „Warszawa Antoniego Słonimskiego”. W sumie otrzymaliśmy bardzo interesujący i – co tu dużo mówić – nostalgiczny obraz tak wyjątkowego miasta, jakim jest nasza stolica.

Jarosław Iwaszkiewicz znał ją znakomicie. Po raz pierwszy zobaczył ją w roku 1902, miał wtedy osiem lat. Na stałe zamieszkał w Warszawie w 1918 r. i mieszkał tu aż do śmierci w roku 1980. Oczywiście z przerwami, przed wojną wyjechał na pracę dyplomatyczną w Danii i Belgii, a od 1928 r. dzielił czas między stolicę i podwarszawskie Stawisko.

O Warszawie pisał wiele, m.in. po wojnie na łamach „Życia Warszawy”, gazety szczególnie mu bliskiej, której był stałym współpracownikiem. Dokonywał porównań, z czasem coraz częściej przywoływał dawną Warszawę, tę, której już nie było, choć pozostały po niej ślady, które odnotowywał ze szczególnym wzruszeniem. Potrafił też dać wyraz dezaprobaty wobec tego, co widział na jej odbudowanych z ruin ulicach.

W „Dziennikach” w lipcu 1957 r. zapisał np.: „Wczoraj w potworny upał cały dzień w Warszawie: Afryka Środkowa. Obyczaje, młodzież, życie [...] to zupełnie coś nieprawdopodobnego. Koszule chłopców pod CDT-em coś niebywałego, desenie, kolory, w kawiarni na antresoli w LOT towarzystwo podpite z przesłiczną, młodą kobietą, cały czas rozmawia o interesach: »dasz mi cztery tysiące za pięć« – ale ona nie chciała, widocznie nie miała



FOT. ANDRZEJ RIECZYŃSKI / PAP

zaufania [...]. W tym wszystkim olbrzymia, gruba, stara Cyganka w amarantowo-żółtych szatach, z malusieńkim, może tygodniowym dzieckiem w poduszce na rękę, chodziła i wypijała ludziom szklanki z lemoniadą ze stolików [...]. Do tramwaju (pełnego) wsiadała pani w jedwabnej jaskrawozielonej sukni [...]. Ledwie się zmieściła pomiędzy babami i prawie gołymi chłopcami w króciutkich spodenkach [...]. Wszystko razem jakaś Uganda, perski targ, dzicz, jaskrawość, brutalność! Co za kraj – i jak szybko dziczeje!”.

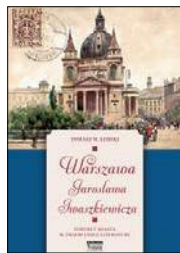
Miało później to nasze miasto różne okresy, lepsze i gorsze, tych drugich więcej. Kiedy po końcu komunizmu przeistoczyła się z dnia na dzień w azjatycki bazar, na ulice wyległy hordy ludzi mało ludzi przypominających. Utrwały się wtedy dresiarzskie mody, latem na Marszałkowskiej szokowali faceci w bermudach i klapkach, jak na plażę, i dziewczyny z nagimi, często nazbyt obfitymi brzuchami, za to z kolczykiem w pępku. Najpierw ten dziki tłum szokował, niebawem przestał szokować, potem – na szczęście – ustępować zaczął na peryferie stolicy.

Błyskawicznie zmieniała się architektura. Tutaj też warto przywołać Pana Jarosława, który 20 lat po wojnie dokonał takiego podsumowania: „Wszyscy spierający się na temat odbudowy Warszawy zapominają o jednym. Jest to bądź co bądź proces organiczny, rozciągający na lata. Chwała Bogu, że słynne BOS nie zrealizowało swych planów w ciągu siedmiu lat, czym nam w roku 1945 groziło.

Odbudowa stała się sumą wysiłków mniej lub bardziej udanych, mieszaniną nowoczesności, tak czy inaczej pojętej, z tradycją – a tym samym powstał organizm żywy, mający najróżniejsze aspekty. Są tu błędy wręcz wzywające o pomstę do nieba (ambasada amerykańska zbudowana na miejscu dwóch will, które stanowiły o charakterze Alej Ujazdowskich) obok rozwiązań przepięknych (Stadion Dziesięciolecia, Ściana Wschodnia). Ale wszystko razem stanowi żywe miasto – nie mózgową kombinację na zimno skomponowaną”.

W Iwaszkiewiczowskich zapiskach odzywała się niekiedy nuta koniunkturalna, bez opamiętania chwalił choćby rozwiązania architektoniczne Trasy W-Z, no, ale miało to miejsce w roku 1949, zgodnie zatem z poetyką epoki.

I w tym samym tekście – włączonym do „Podróży po Polsce” – wyznawał: „Gdy się tak idzie tym samym i znajomym szlakiem, pomieszczenie wspomnień z nowymi wrażeniami napełnia zdziwieniem i daje to najprzyjemniejsze uczucie, jakie się ma, wychodząc po raz pierwszy na ulice nieznanego miasta w podróż. Takie każde przejście ulicami Warszawy jest podróżą – tającą w sobie więcej wrażeń niż przemierzanie obcych, choć pięknych krajów”. I tak jest właśnie. ©



★★★★★
TOMASZ M. LERSKI
„WARSZAWA JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA”
FABUŁA FRAZA
2019



POCZYTANKI

Przeszłość się rysuje

PIOTR GOCIEK

Uczmy się od Francuzów. „Kroniki Francine R.”, powieść graficzna Borisa Golzio, to adaptacja wspomnień jednej z francuskich więźniarek niemieckiego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Gestapo aresztowało ją w kwietniu 1944 r. Francine pomagała ruchowi oporu, w którym działał jej brat. Dalsza droga to brutalne przesłuchania, lager, praca przymusowa. Skrajnie wycieńczona i wychudzona, miała szczęście. Doczekała wyzwolenia. Boris Golzio 14 lat pracował nad nadaniem jej relacji odpowiedniego kształtu.

Komiks, który właśnie ukazał się po polsku, łączy kilka walorów. Jest niezwykle ciekawym dokumentem historii, jest doskonałym dowodem na to, jak za pomocą kultury popularnej prowadzić można politykę historyczną, wreszcie broni się także jako dzieło sztuki. Łagodna kreska z początku wydaje się niezupełnie pasować do wstrząsającej historii, zdaje się ją odrealniać, ale szybko się okazuje, że graficzny język został dobrany idealnie. Jakbyśmy zanurzali się w ponury sen o złej przeszłości.

Jednocześnie nakładem tej samej oficyny ukazuje się niemiecka powieść graficzna „Złoty Berlin”. Tutaj podstawą jest fikcja literacka,

powieść Volkera Kutschera „Śliska sprawa”. Ta sama proza zainspirowała twórców niemieckiego serialu „Babylon Berlin”, warto jednak zauważyć, że Arne Jysch prace nad swoją adaptacją rozpoczął grubo wcześniej, że udało mu się ją dokończyć przed premierą serialu i że jest bardziej wierny literackiemu oryginałowi.

Gereon Rath, policjant z Kolonii, trafia w roku 1929 do Berlina, gdzie zaczyna pracę w wydziale zajmującym się sprawami obyczajowymi. Jednak w tych wyjątkowo interesujących czasach wszystko okazuje się ze wszystkim połączone – przestępcze podziemie, polityka radykałów zarówno komunistycznych, jak i nazistowskich, knowania sowieckich szpiegów i intrygi białej emigracji rosyjskiej. Jysch w swoim obszernym albumie (ponad 200 stron) łączy amerykańską tradycję noir z klasycznym komiksem europejskim, niektóre kadry zaś wydają się wyjęte wprost z czarno-białych filmów Pabsta czy Murnaua.

Uczmy się od Niemców. Chociaż „Złoty Berlin” nie jest dziełem stricte historycznym, to polską edycję dofinansowało grantelem Instytutu Goethego. Czas, by i Polska wspierała za granicą swoją popkulturę równie skutecznie. ©



★★★★★

BORIS GOLZIO
„KRONIKI
FRANCINE R.”
MARGINESY 2019

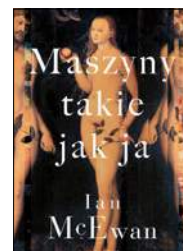


★★★★★

ARNE JYSCH
„ZŁOTY BERLIN”
MARGINESY 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W świecie alternatywnym dzięki Alanowi Turingowi ludzkość rozpoczyna produkcję sztucznych ludzi. Dlaczego androidy im bardziej obdarzone wolną wolą, tym mniej pragną żyć? Niewesołe rozważania na temat nas samych.



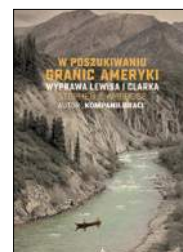
IAN MCEWAN
„MASZYNY TAKIE
JAK JA”
ALBATROS

To nie rys historyczny, lecz analiza stanu obecnego i próba naszkicowania scenariuszy na przyszłość. Rozgrywane się na naszych oczach batalie tyczą się spraw o wiele szerszych, niż zdaje się komentatorom z programów TV.



IRENEUSZ P. PIOTRKOWICZ
„GEOPOLITYKA.
POLSKA W GRZE
MOCARSTW”
ZONA ZERO

Autor słynnej „Kompanii braci” cofa się do początku XIX w. i opisuje dzieje ekspedycji Lewisa i Clarka. Aby dotrzeć do Pacyfiku, wędrowcy dwa i pół roku przemierzali Amerykę, gromadząc cenne informacje o nieznanych ziemiach.



STEPHEN E. AMBROSE
„W POSZUKIWANIU
GRANIC AMERYKI”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Twórca powieści fantastyczno-historycznych (ostatnio świetnej historii alternatywnej „Invictus”) próbuje sił w nowym gatunku. „Autor bestsellerów” to obyczajowa powieść o niedojrzałych facetach i mądrych kobietach. ©



MARCIN CISZEŃSKI
„AUTOR
BESTSELLERÓW”
WARBOOK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Olga Tokarczuk, „Bieguni”** (Wydawnictwo Literackie) – literacki Nobel sprawił, że na listę powróciła powieść Tokarczuk sprzed 12 lat.
- Olga Tokarczuk, „Księgi Jakubowe”** (Wydawnictwo Literackie) – kolejna reaktywacja ponobłowska, obszerna i kontrowersyjna powieść.
- Katarzyna Puzyńska, „Pokrzyk”** (Prószyński Media) – 11. tom sympatycznej i popularnej serii o policjantach z Lipowa.
- Jakub Żulczyk, „Czarne Słońce”** (Świat Książki) – autor „Śpiąc od światła” mamuje talent na fantazję antynaziolską. Ani twórcze, ani ciekawe.
- Remigiusz Mróz, „Iluzjonista”** (Filia) – drugi tom serii, której bohaterem jest Gerard Edling (pierwszym była powieść „Behawiorysta”).

(Najchętniej kupowane książki na Swiatksiazki.pl)



FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

Włodek Dembowski (wokół), Kuba Jurkowski (mandolina, gitara), Piotr Koźbielski (bęben, wokół), Robert Lipka (akordeon, wokół), Łukasz Owczynn timer (kontrabas). Nazwiska znane z innych projektów, a także ze współpracy m.in. z Katarzyną Nosowską, Łąki Łan, Maćko Korbą, Swoją Drogą Trio.

Zespół przecierał w Polsce szlaki, starając się na nowo zainteresować słuchaczy folklorem miejskim. Wystąpił w trzeciej edycji polsatowskiego show „Must Be The Music” i dotarł tam wysoko, bo do półfinałów. – Prawda jest taka, że folklor warszawski zawsze sobie świetnie radził sam – mówił niedawno w radiowej Dwójce Kuba Jurkowski. – Mówimy więc o pewnym odrodzeniu, bo zawsze było dużo starych wyjadaczy, ale nie było nowych młodych zespołów, które grały ten repertuar. My, już ponad dekadę temu, przejęliśmy pałeczkę od starych mistrzów. © © Radosław Wojtas

W folklorze warszawskim dostrzegają wpływy z całego świata. „Staramy się przypomnieć, że muzyka warszawska to muzyka wielu wpływów światowych i że stolica zawsze na te wpływy była otwarta. Daleko nie szukając, np. apasowski tango ma korzenie w Argentynie, a polka galopka pochodzi z Czech” – pisze o sobie zespół CzessBand. Mieszają warszawski folk, z czym

im się podoba – motywami węgierskimi, bałkańskimi, bliżskowschodnimi, bluegrassem. „Właściwie gramy wszystko, co ma porządną melodię. Celem nie jest muzyczny skansen, bo żyjemy tu i teraz, mamy Internet, komórki, empetrójki i nieograniczony dostęp do muzyki z różnych zakątków” – zauważają.

Celem nie jest skansen, ale muzyka, która – jak na

przygrywki uliczne przystało – rwie nogi do tańca. W repertuarze warszawskie szlagiery, także okupacyjne, np. „Pałacyk Michła”, „Nalot”. Kochają instrumenty akustyczne, używają m.in. liry korbowej, gitary rezofonicznej, gitary Maccaferri.

Zespół tworzy siedmiu artystów: Agnieszka Sroczyńska (skrzypce), Maciek Cierliński (lira korbowa),



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Melancholii ból

Cztery lata temu w wypadku zginął Artur, 15-letni syn Nicka Cave’a. Na albumie „Skeleton Tree” z 2016 r. muzyk zmierzył się już z tragedią, tyle że większość materiału na płytę napisał przed wypadkiem. „GHOSTEEN” powstawał przez trzy lata i jest dogłębnym portretem rozpaczającego ojca.

Album składa się z dwóch aktów. – Piosenki z pierwszego albumu to dzieci. Piosenki na drugim to ich rodzice – tłumaczy Cave. Jedne i drugie są bolesne, ale nie dosłowne. Impresjonistyczne teksty Cave’a mają postać przypowieści. Otwierający „Spinning Song” mówi pozornie o narodzinach Elvisa Presleya, ale uwagę przykuwa po-

wtwarzający się zwrot: „I kocham cię / Spokój przyjdzie z czasem”.

Do szepczącego wokalu dopasowuje się muzyka zbudowana na mrocznych pejzażach. Dominuje fortepian otoczony przez elektroniczne, ponure obłoki. Tylko okazjonalnie pojawiają się rytmiczne wtrącenia, tyle że zamiast perkusji prym wodzi pulsujący bas.

Nick Cave jest roztrząskany, ale znajduje sens w tworzonej muzyce. „GHOSTEEN” to arcydzieło melancholii. Wielu wykonawców zbudowało swą karierę na opowieściach o śmierci, ale tylko garstka umiała przekonująco przekuć smutek i pustkę po stracie bliskiej osoby w przejmujące dzieło artystyczne. © ©



★★★★★
NICK CAVE
& THE BAD SEEDS
„GHOSTEEN”
GHOSTEEN



★★★★★
ANIA RUSOWICZ
„PRZEBUDZENIE”
AGORA

Nasza neohippiska była w Nowym

Orleanie i pokochała czar dęciaków. Powstał rozbujany album o wciąż mocnych korzeniach bigbitowych. W tekstach mamy życiowe rozterki dojrzalej kobiety przemieszane z rockandrollową ekologią.



★★★★★
NEIL YOUNG WITH
CRAZY HORSE
„COLORADO”
REPRISE

Jest ostro, ale dostaje tylko jeden, 14-minutowy rockowy jam. W Crazy Horse Poncho Sampedra zmienił na gitarze Nils Lofgren. Teksty Younga niestety bardziej przypominają posty na blogach o polityce i naturze niż przemysłowe przekazy. © ©

GI NT RO WS KI X

JUBILEUSZOWY
KONCERT

**TEATR
POLSKI**

im. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

BILETY
DOSTĘPNE
W KASIE
TEATRU



PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONAT MEDIALNY:





Kościół w Akicie

FOT. CHRIS LEWIS/Flickr.com

Ostrzeżenie Matki Bożej



Tomasz P. Terlikowski

Japońskie objawienie maryjne z lat 70. realizuje się na naszych oczach. Kościół znalazł się w stanie kryzysu, a Maryja wskazuje, jak z niego wyjść

Maryja w Akicie wzywa do modlitwy różańcowej za papieża, biskupów i kapłanów. Skąd taki apel? Odpowiedzi dostarcza sama Maryja, ukazując, dokąd może doprowadzić Kościół uleganie duchowi kompromisu. „Działanie diabła będzie przenikało także do Kościoła w taki sposób, że będzie się zdarzało, iż kardynałowie będą przeciwko kardynałom, biskupi przeciwko biskupom. Kapłani, którzy mnie czczą, będą pogardzani i będą natrafiali na przeszkody ze strony swoich współbraci... Kościoły i ołtarze będą płdrowane; Kościół będzie pełen tych, którzy pójdą na kompromisy, i diabeł będzie skłaniał wielu kapłanów i wiele

dusz konsekrowanych do porzucenia służby Panu. Szatan będzie szczególnie zaciekle przeciwko duszom poświęconym Bogu. Powodem mojego smutku jest myśl o utracie tak wielu dusz. Jeżeli grzechy będą się mnożyły oraz stawały się coraz cięższe, to nie będzie dla nich przebaczenia” – ostrzegła Matka Boża.

KARDYNAŁOWIE PRZECIW KARDYNAŁOM

Obrazy, które przywołuje w swoim przesłaniu Matka Boża, realizowały się dokładnie w czasie, w którym wypowiadała ona swoje słowa. Duch kompromisu ze światem opanował wówczas Kościół, całe konferencje episkopatu odrzucały

obowiązujące nauczanie, a postępowi kardynałowie przekonywali, że dość już przywiązania do starych struktur kościelnych. Nie ma też najmniejszych wątpliwości, że dziesiątki tysięcy kapłanów i siostr zakonnych porzuciło wówczas życie konsekrowane.

Jednak myliłby się ten, kto w proroctwie z Akity widziałby jedynie odniesienie do lat 70. XX w. Maryja przewiduje w nim także dalsze losy Kościoła, a obrazy zawarte w tamtych słowach można z powodzeniem odnieść również do naszych czasów. Kapitalnie to rozerwanie Kościoła na zwalczające się frakcje opisują Andrea Tornielli i Gianni Valente w „Dniu sądu”. Z jednej strony, ich zdaniem, mamy frakcje zwolenników „postępu”, którzy ignorują znaki końca czasów, a z drugiej „moralistów”. Obie strony mają, według włoskich watykanistów, fałszować prawdziwe nauczanie Franciszka i przyczyniać się do głębokiego podziału w Kościele.

Nie trzeba się jednak zgadzać z taką diagnozą, żeby dostrzec, że kardynałowie występują przeciwko kardynałom. Tylko w ostatnich kilkunastu miesiącach kard. Walter Kasper ostro skrytykował kard. Gerharda Müllera za „Manifest wiary”, w którym ten ostatni przypomniał jedynie fundamentalne, zawarte w Katechizmie Kościoła katolickiego, prawdy i dogmaty. „Niedobrze, że niektóre prawdy zostały tak wyakcentowane, że przemilczana została druga połowa”. A użyty przez kardynała zwrot „»oszustwo Antychrysta« niemal dosłownie przypomina argumentację Marcina Lutra” – stwierdził niemiecki kardynał, dodając, że „również Luter w swoim czasie słusznie krytykował wiele rzeczy w Kościele. Jednak zarzut Antychrysta już wtedy był niestosowny. Czyżby za „Manifestem...” stał odrodzony Luter? Ktoś, kto słusznie opowiada się za reformami w Kościele, ale chce je przeprowadzić mimo papieża i przeciwko niemu? Nie chcę w to wierzyć. To mogłoby bowiem doprowadzić wyłącznie do zamętu i podziału. Wywróciłoby to Kościół z równowagi” – mówił kard. Kasper.

I ostrzegał przed zamętem w Kościele. Gdyby ktoś był zaskoczony, to powtórzę jeszcze raz. Owym aktem luterańskim z natury, który prowadzi do zamętu i podziału, jest... cytowanie Katechizmu Kościoła katolickiego. Jest faktem, że cytaty te dotyczą akurat tych kwestii, które kard. Kasper chętnie by z Kościoła wyrzucił, zmienił, zastąpił innymi rozwiązaniami, ale... one jednak się w Katechizmie znajdują. Jeśli

więc ktoś proponuje rozwiązania luterskie, to jest to raczej kard. Kasper, a nie kard. Müller.

„WIERZĄCY SĄ WYPYCHANI Z KOŚCIOŁA”

Ostre słowa padają także z drugiej strony. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Müller, odnosząc się w wywiadzie dla „Il Foglio” do stwierdzeń kardynałów Christopha Schönborna i Waltera Kaspera, którzy twierdzą, że rozwodnicy w ponownych związkach mogą pod pewnymi warunkami przystępować do Eucharystii, podkreślił, że ich opinie są sprzeczne z Nowym Testamentem. „Nie rozumiem, jak mogą oni pogodzić doktrynalne i teologiczne opinie sprzeczne z jasnymi słowami Jezusa i św. Pawła. Obaj czynią jasnym, że nie możesz zawrzeć małżeństwa po raz drugi dopóty, dopóki twój małżonek żyje” – podkreśla kardynał. Kardynał Müller mocno wskazuje także, że do Kościoła wdarł się „duch czasów”.

„Wierzący, którzy traktują katolicką doktrynę poważnie, są określane mianem konserwatystów i wypychani z Kościoła oraz narażeni na zniesławianie przez liberalne i antykatolickie media” – podkreślał były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. A dalej przekonywał, że część niemieckich biskupów, na czele z kard. Reinhardem Marxem, uważa walkę z nowoczesnością, którą prowadzili św. Jan Paweł II i Benedykt XVI – są działaniem przeciwko obiektywnemu kierunkowi historii, czymś w rodzaju walki Don Kichota z wiatrakami” – mówił.

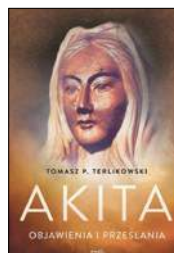
Jedyne, co ich zdaniem może zrobić Kościół wobec świata, to kapitulacja, rezygnacja z każdej doktryny, która jest trudno akceptowalna dla mainstreamu liberalnego. Z tego właśnie powodu następuje protestantyzacja doktryny i Kościoła, która przejawia się jako „błogosławienie par homoseksualnych, interkomunia z protestantami, relatywizacja nierozzerwalności małżeństwa, wprowadzenie święceń viri probati, a co za tym idzie – zniesienie obowiązkowego celibatu, akceptacja relacji

seksualnych poza małżeństwem”.

Jeszcze ostrzej wypowiada się o „progresywnych” hierarchach kard. Raymond Burke. „Konfuzja, podziały i błędy wewnątrz Kościoła idące od pasterzy, i to czasem najwyższych rangą, mogą być znakiem »końca czasów«” – ostrzega kardynał. Jego zdaniem zło, które obecne jest w kulturze zachodniej, przenika do wnętrza Kościoła, i to nawet przechodząc od pasterzy do wiernych. „W diaboliczny sposób zamieszanie i błędy, które prowadziły ludzką kulturę ku śmierci i destrukcji, weszły także do Kościoła” – mówi kardynał. I dodaje, że zdaje się, jakby część pasterzy straciła świadomość tego, czym jest ewangelia życia i miłości. Jako dowód takiego zjawiska kard. Burke przywołuje przykład kard. Reinharda Marxa, który po wprowadzeniu do systemu prawnego Niemiec „małżeństw” homoseksualnych zajmował się bardziej kwestią przeprosin dla homoseksualistów za nietolerancję Kościoła niż destrukcją małżeństwa i rodziny.

To ostre słowa, ale warto sobie uświadomić, że niepozbowione podstaw. Kardynał Marx otwarcie wskazuje, że „proces synodalny” w Kościele niemieckim, który został rozpoczęty w 2019 r., a który ma doprowadzić do zmian w etyce seksualnej, oparty jest na przekonaniu, że trzeba zawrzeć kompromis z duchem czasów. „Tu konieczna jest debata, ponieważ istnieją spore różnice między tym, co czytamy w katechizmie, a tym, co w większości reprezentują nauki humanistyczne i teologia moralna” – podkreśla przewodniczący niemieckiego episkopatu. Co wynika z tych słów? Ujmując rzecz wprost – tyle, że zdaniem kardynała i wielu jego zwolenników źródłem wiary w Kościele ma być nie Pismo Święte, nie Tradycja, nie Magisterium Kościoła, ale... nauki humanistyczne i pomysły współczesnych teologów moralnych.

Trudno o mocniejszy dowód na to, że do Kościoła wdarł się duch kompromisu, przed którym przestrzegała Matka Boża w Akicie. Odpowiedź innych biskupów, także niemieckich, na takie pomysły jest druzgocząca. „Ci, którzy wewnątrz Kościoła i poza nim energicznie ponaglą do złagodzenia celibatu, nowej oceny homoseksualizmu, kapłaństwa kobiet i ogólnej akceptacji pozamałżeńskiej



TOMASZ P. TERLIKOWSKI
„AKITA”
ESPRIIT 2019

seksualności, nie odpowiedzieli do tej pory, dlaczego u niemieckich protestantów, którzy to wszystko już mają, sytuacja nie jest lepsza” – podkreślał jeden z najwytrwalszych obrońców ortodoksji w Niemczech kard. Rainer Maria Woelki. A bp Stefan Oster, ordynariusz Pasaui, podkreślił w wywiadzie dla „Passauer Neue Presse”, że Kościół w Niemczech nie ma prawa zmieniać doktryny moralnej,

bowiem dotyczy ona całego Kościoła, a także zadał absolutnie fundamentalne pytanie: „Dlaczego to, co wcześniej było grzechem, teraz nie jest już grzechem, a nawet może zostać pobłogosławione?”.

RÓŻAŃCOWA DROGA OCALENIA

Słowa Matki Bożej dotyczące kryzysu Kościoła wpisują się w ciąg objawień maryjnych. Już w Fatimie ostrzegała Ona przed światem, w którym Bóg zostanie wyrzucony poza nawias, uznany za zbędny balast. W takim świecie ostatecznie nie ma miejsca dla człowieka, bowiem on także staje się zbędny. W Akicie Maryja ostrzega, co czeka Kościół, gdy i on zdecyduje się odrzucić Boga. Taki Kościół pogrąży się w głębokim kryzysie, a ostatecznie upadnie. „[...] wielkie słowa tych, którzy zapowiadają Kościół bez Boga i wiary, są pustym gadaniem. Nie potrzebujemy Kościoła, który w politycznych »modlitwach« celebrował kult działania. Taki Kościół jest całkowicie zbędny. Dlatego też upadnie on sam z siebie. Pozostanie Kościół Jezusa Chrystusa. Kościół ten wierzy w Boga, który stał się człowiekiem i obiecuje nam życie wieczne” – wskazuje Benedykt XVI. O taki właśnie Kościół apeluje Matka Boża w Akicie, ostrzegając jednocześnie przed Kościołem bez Boga i świętości.

Na koniec orędzia skierowanego do s. Agnieszki Maryja prosi także o odwagę w rozmowach z biskupem Ito, a także o całkowite posłuszeństwo wobec niego. „Chcesz o coś jeszcze zapytać? Dzisiaj ostatni raz mówię do Ciebie bezpośrednio. Od tej chwili będziesz posłuszna temu, który został do ciebie posłany oraz twojemu przełożonemu. Dużo módl się modlitwą Różańca. Tylko ja mogę was jeszcze ocalić od nieszczęść, które się zbliżają. Ci, którzy będą mieli do mnie zaufanie, zostaną ocaleni” – uzupełnia Matka Boża.

RAFAŁ OTOKA-FRĄCKIEWICZ: Po co bolszewicy pchali się na Zachód? Dlaczego szukali guza nad Wisłą w 1920 r., zamiast napawać się władzą i cieszyć terrorem?

GRZEGORZ BRAUN: Celem deklarowanym było poniesienie płomienia rewolucji na Zachód. Kierunek niemiecki był najważniejszy – z uwagi na przemysł, technikę i technologię, bez których dalsza ekspansja rewolucji była niemożliwa. Terytorium Rosji było dla komuny niewyczerpanym rezerwuarem surowców, taniej siły roboczej i mas rekrutkich – ale żeby z tego wszystkiego zrobić efektywny użytek, trzeba uzyskać dostęp do wyższego cywilizacyjnego know-how, które najbliżej znajduje się właśnie w Niemczech.

To się w 1920 r. nie udaje.

Trzeba więc przegrupować i odbudować siły, aby sprężyć się do nowego skoku. Ten moment mogą zechcieć wykorzystać niedobita jeszcze opozycja wewnętrzna i liczni biali Rosjanie na Zachodzie. Oni sami być może nie zdołają połączyć rozproszonych sił, ale mogą im w tym pomóc rządy zachodnie, które na rewolucji w Rosji straciły. Aby dać władzy sowieckiej odśapnąć i okrzepnąć, uruchomiona zostaje operacja „Trust”.

Wreszcie pada to magiczne hasło – poproszę o rozwinięcie.

„Trust” to „matka wszystkich prowokacji”, największa, modelowa operacja tajnych służb sowieckich – łącząca elementy prowokacji, infiltracji, wpływu i dezinformacji zarazem. Podstawowym sukcesem tajnej operacji „Trust” jest utrwalenie na Zachodzie z gruntu mylnych wyobrażeń o celach państwa socjalistycznego i metodach działania jego służb. Ponieważ model „Trust” był później wielokrotnie udoskonalany, właściwie można powiedzieć, że operacja ta nigdy się nie skończyła.

Od czego się jednak musiało zacząć.

Zaczęło się od pilnej potrzeby powstrzymania katastrofy ekonomicznej i neutralizacji zagrożenia ze strony Zachodu i białych Rosjan, a jednocześnie zapewnienia Armii Czerwonej dostępu do zachodniej techniki, technologii i know-how. Chodziło o utrzymanie Zachodu na dystans, aby zachować bezpieczeństwo i czystość doktryny, a jednocześnie o skrócenie dystansu na tyle, żeby korzystać ze wszystkich jego uroków i możliwości. „Trust” rozwiązywał oba te problemy naraz – „Trust” w połączeniu



Z Grzegorzem Braunem, posłem Konfederacji rozmawia Rafał Otoka-Frąckiewicz

O stawianiu zasłony dymnej

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

z NEP – jedno bez drugiego było niemożliwe.

NEP, czyli Nowa Ekonomiczna Polityka ogłoszona przez Lenina w 1921 r., to w istocie propagandowe opakowanie przeprowadzonego z konieczności odwrotu na całej linii od zasad komunistycznych w gospodarce.

„Trust” to tajna operacja odpalona w tym samym czasie przez Czekę, kierowaną przez Feliksa Dzierżyńskiego. NEP miał pozwolić bolszewii odzyskać siły, a „Trust” miał służyć jako operacja osłonowa. Z jednej strony impet rewolucyjny został wyhamowany, ponieważ Polacy postawili mu tamę, ale na wyczerpaniu znalazły się

rezerwy wewnętrzne. Już nie chodziło o to, w co żołnierza uzbroić, ale czym go wykarmić.

Wojna wojną, ale na tyłach ludzie umierają z głodu.

Zaprowadzony przez Lenina komunizm wojenny doprowadził do hekatomb, strasznego wyniszczenia całego kraju. Komunizm wojenny to nic innego jak gospodarka rabunkowa pod sankcją terroru. Obowiązują więc nakazy pracy i konfiskaty dóbr na potrzeby rewolucji – już nie tylko nadwyżek, lecz także po prostu wszelkich rezerw żywności na wsi. Bez oglądania się na stan kraju, bo przecież los Rosji ich

nie obchodzi. Dla bolszewików to tylko pierwszy przyczółek, z którego ma ruszyć zwycięska ofensywa. Przechodzą więc na centralne zarządzanie i od razu usiłują zdalnie zarządzać całą produkcją rolną oraz przemysłową.

Na dodatek jeszcze nie widać dywidendy, nie ma zysków w postaci sukcesów rewolucji światowej.

Trzeba więc tę maszynę ucisku, wyzysku i terroru na jakiś czas zatrzymać i przestroić. Trzeba dać ludziom się odżywić, żeby wszyscy nie zdechli z głodu. Bo jeśli za dużo ich wyzdycha, to kogo ubierzemy potem w mundur i popędzimy na front? Trzeba więc na moment wrócić do normalnej wymiany ekonomicznej. To jest wprawdzie sprzeczne z doktryną marksistowską, ale tego wymaga mądrość etapu. Trzeba więc na jakiś czas nieco poluzować rygor, żeby sytuacja się ustabilizowała. Żeby nam się wszyscy naraz do gardła nie rzucili. Trzeba grać w otwartość, żeby świat przyszedł do nas z tym, czego najbardziej potrzebujemy. Owszem, trzeba, żeby nas się bali, ale nie na tyle, żeby ten lęk wywołał jakąś zdecydowaną kontrakcję. To jest właśnie NEP i „Trust” – bolszewickie wash & go – nie ma jednego bez drugiego.

Lekko odkręcić śrubę, ale tak, żeby się wszystko nie rozleciało.

Wielka „nowość” NEP polega na tym, że za działalność rynkową już nie rozstrzelują. Równocześnie łapią przy tym dwie sroki za ogon. Jeden cel jest taki, żeby państwo odżyło gospodarczo, a naród odkarmił się nieco i wzmocnił. No, a drugi cel strategiczny to pozyskanie wyższych technologii na potrzeby przemysłu zbrojeniowego. NEP to jest nie tylko operacja w sferze ekonomii, gospodarki, lecz także wielka operacja propagandowa i wizerunkowa. Proszę bardzo – z nami też można robić interesy, można się dogadać, można pohandlować. Dzięki temu będziemy mieli transfer technologii i pieniędzy. I druga kwestia – już nie zamierzamy podbijać świata, my tylko tak was straszyliśmy, teraz skupimy się na budowaniu komunizmu we własnym kraju. Uwierzcie nam, nie chcemy przemalować całej kuli ziemskiej na czerwono.

Świat oddycha z ulgą.

Wielu chce się łudzić. Wielu chce się dorobić. Bolszewicy z tej potrzeby chwili potrafią wyciągnąć dla siebie niesłychane korzyści. Jednocześnie bowiem z zach-

waniem najściślej tajemnicy, wykorzystując m.in. właśnie kanały komunikacyjne otwarte w związku z NEP, podejmują wielką operację wywierania wpływu i infiltracji „Trust”. Jest ona wielką ofensywą dezinformacyjną, mającą na celu z jednej strony zabezpieczenie państwa bolszewickiego przed atakiem ze strony kontrrewolucji, a z drugiej strony – infiltrację elit Zachodu. Infiltrację świata polityki, armii, a przede wszystkim służb. Bolszewikom nie wystarczy kontrola polityczna własnego terytorium, chcą modernować życie publiczne także na terytorium przeciwnika. W ramach akcji „Trust” w latach 20. na Zachód zaczynają docierać informacje o istnieniu w bolszewii bardzo rozbudowanej organizacji antybolszewickiej ściśle konspiracyjnej organizacji monarchistycznej. Celem tej organizacji jest obalenie komunizmu i przywrócenie normalności w Rosji. Organizacja ta jest rzekomo bardzo bliska sukcesu, ponieważ ma ludzi uplasowanych na szczytach władzy bolszewickiej, na pewno w sztabie generalnym, a kto wie, może nawet w politbiurze.

Dociera to na Zachód, a sami Sowietci mieliby o tym nie wiedzieć?

Informacje były dawkomane w sposób niezwykle wiarygodny. Dają się na nie nabrać nie tylko najszczerzy patrioci rosyjscy, lecz także zawodowcy reprezentujący służby państw Zachodu. Polskich nie wyłącza.

W celu pogłębienia zaufania i weryfikacji na miejscu przedstawiciele służb na Zachodzie zapraszani są do wejścia w kontakt z „Trustem” w samej Rosji. Organizowane są przeprawy przez zieloną granicę, spotkania w lokalach konspiracyjnych w Moskwie i innych miastach. Uczestnicy tych wypraw po powrocie do Paryża czy Londynu składają relacje uwiarygodniające i wzmacniające legendę „Trustu”. Nie wiedzą, że spotkali się właśnie z funkcjonariuszami czerezwyczajki, którzy udalnie wcielają się w role zakonspirowanych opozycjonistów. Ten proceder będzie kwitł całe lata, zanim, nieliczni

zresztą, oficerowie służb, np. naszej „Dwójki”, zdążą się połapać, że coś tu nie gra.

A wcześniej co robili?

Wcześniej dawali się wodzić za nos czekistom. Polskie służby dały się wmontować w „Trust” z pełnym zaangażowaniem, organizując przerzuty przez zieloną granicę emisariuszy tej fikcyjnej organizacji.

Jeszcze nie padło konkretne wyjaśnienie, po co to wszystko.

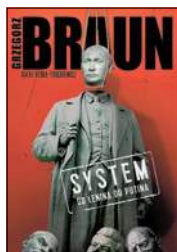
Po to, żeby w sposób wiarygodny transmitować na Zachód przesłanie, które brzmi: w żadnym wypadku nie należy atakować Związku Sowieckiego.

Jak to nie atakować?

Nie należy bolszewików atakować, ponieważ ich władza i tak zaraz się skończy – bo jest już tak podminowana działalnością „Trustu”. Jakikolwiek nieskoordynowany atak frontalny mógłby tylko zaszkodzić sprawie kontrrewolucji.

Wersję tę przyjmują i bezkrytycznie powielają antykomuniści, biali oficerowie i publicyści o nieposzlakowanej opinii. Bolszewicy zyskują na czasie, bez ponoszenia kosztów wizerunkowych. Zyskują także zawieszenie broni, o które – oficjalnie – nawet nie prosili. A jednocześnie bolszewicy wcale nie zamierzają spokojnie czekać na to, aż „kontra” znów gdzieś podniesie głowę. Zapalają więc lampę, żeby spokojnie czekać, aż cmy same do niej przylecą.

Jak bardzo sprawa „Trustu” jest skomplikowana, świadczy fakt, że w polskiej historiografii dysponujemy tylko dwoma świadectwami, które są – uwaga! – wzajemnie sprzeczne. Napisane przez oficerów polskich służb, którzy w latach 20. i 30. byli bezpośrednio wpłatanymi w działanie „Trustu” – pierwszym jest Jerzy Niezbrzycki vel Ryszard Wraga, drugim Władysław Michniewicz. Ten drugi w swojej opublikowanej wiele lat później, już na emigracji w USA, książce „Wielki bluff sowiecki” wskazuje tego pierwszego jako przewerbowanego przez Sowietów, co miało waleń przyczynić się do obezwładnienia naszego wywiadu i kontrwywiadu na tym kierunku. Niezależnie od tego, czy Michniewicz ma rację, czy też myli się co do Wragi-Niezbrzyckiego, sam fakt, że po stu latach w sprawie „Trustu” poruszamy się w sferze tak grubego kalibru wątpliwości i niedomówień, to dowód, jak bardzo udała się Dzierżyńskiemu i jego kontynuatorom ta operacja.



**GRZEGORZ BRAUN,
RAFAŁ OTOKA-
FRĄCKIEWICZ**
**„SYSTEM.
OD LENINA
DO PUTINA”**
FRONDA 2019



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pajdokracja u bram

Aleks Kerr w książce „Psy i demony. Ciemna strona Japonii” opisuje ciekawe zjawisko estetycznej hegemonii 13-letnich dziewczynek, które narzucają swe gusta całemu społeczeństwu.

Wynika to z tego, że 13-letnie dziewczynki mają całkiem sporo czasu, myślą stadnie i świetnie posługują się mediami społecznościowymi. Jeśli kilku wpływowym (influencerom, jak to się ładnie nazywa) dziewczuchom coś się podoba, to zaraz to „hajpują”, a po staremu – wychwalają i się ekscytują. Zachwyt chętnie podejmują inne smarkate i fala egzaltacji rozlewa się po Internecie. Trzynastolatki nie tylko nagłaśniają, lecz także kupują, a ich armia potrafi uczynić największą bzdurę komercyjnym hitem. W efekcie uwielbienie przelewa się poza bańkę nastolatków. Dorosłe media zaczynają się zastanawiać nad fenomenem gadżetu, piosenkarki czy Bóg wie czego, przez co spirala się nakręca, a swoje dorzucają też sieciowe algorytmy, które ze swej natury popularyzują to, co popularne. I nagle cała Japonia ma – za przeproszeniem – świra na punkcie tego, co uwielbiają 13-letnie dziewczynki. Prowadzi to do infantyilizacji estetyki i popkultury. Jeśli ktoś patrzy na Japonię przez pryzmat Akiry Kurosawy, to się zdziwi, odwiedzając archipelag, który jest skąpany nie we krwi samurajów, lecz w różu pluszaków.

Pajdokracja – jak z greki nazywa się rządy dzieci – zaokrętowała się w Jokohamie, ale obecnie

wypłynęła na podbój świata. Dla przeciętnego śmiertelnika ma ona twarz Greta Thunberg, która stała się symbolem walki o czystą planetę. Od japońskich pierwowzorów różni ją jednak to, że nie wyskoczyła z główek 13-latek, lecz została wymyślona przez dorosłych, którzy bardzo sprytnie wymyślili sobie, że dzieci staną się siłą rozprzestrzeniającą bliski im światopogląd. Dzieci są kreowane na autorytety, których powinniśmy słuchać, bo przecież są niewinne, zacne, szczerze, proslolinijne, niezsute, nienawidzą wojen i kochają przyrodę.

Nie zawsze to się udaje, bo polska naśladowczyni Greta zdaje się poległa na samym początku swego boju. Tak szybko, że nikt nie pamięta jej nazwiska. Ale proces jednak postępuje. Ostatnio możemy oglądać reklamę jednego z banków, w której dzieci z gniewnymi minami wywierają presję na swych rodziców, by ci brali kredyty i kupowali „proekologiczne” urządzenia. Rodzicom jest głupio, z pokorą przyjmują nauki od swych pociech i kupują, co trzeba.

Myślę, że dzieci będą na coraz większą skalę używane do tego, żeby nas zawstydzają. I pouczają. Skoro przemawiają w ONZ i występują w reklamach, to lada chwila będą dostawać Nobla i Oscary za słuszne filmy. Pajdokracja ma jednak jedną słabość, o której warto pamiętać. Nawet najmądrzejsze dzieci nie są jednak zbyt mądre.

Tylko błagam: nie mówcie o tym mojemu synowi i mojej córce. ☺☺



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Instytucje

Zamiast palić komitety, twórzmy je!” – była to całkiem mądra myśl Kuronia (niezależnie od tych znacznie głębszych), która daje się zastosować w zupełnie innych czasach i sytuacjach. Cztery lata dobrej zmiany przyniosły mnóstwo sukcesów w dziedzinie gospodarki, obrony, polityki zagranicznej, a przede wszystkim codziennego życia Polaków. Nie da się tego powiedzieć o sferze szeroko pojętej nadbudowy. Jeśli nawet w wymiarze sprawiedliwości cokolwiek drgnęło, to wyższe uczelnie i instytucje kultury stanowią bastion nie tyle politycznych przeciwników, ile wrogów tradycyjnie pojmowanej polskości.

Jeśli nawet początkowo samopoczucie „wyjątkowych kast” zostało zachwiane i pojawiły się obawy, z upływem lat opór stężał, dołączyła pogarda połączona z przekonaniem: „I co nam zrobicie?”. „Robimy filmy, jakie chcemy, wystawiamy sztuki, jakich nam trzeba, panujemy na uczelniach, szerząc wszelkiej maści lewactwa i genderyzmy, a wy jeszcze musicie za to płacić i pozwalać się obrażać przy każdej okazji”. „No ale jak – odcinać się od oskarowych filmów, wypędzić z kraju noblistkę?”. Żeby było jasne, nie mam pretensji do polityków odpowiedzialnych za szkolnictwo czy kulturę. Zadanie było ponad siły, sam na ich miejscu działałbym zapewne podobnie. Teraz trzeba jednak wyciągnąć wnioski.

Cztery lata zmarnowane, nie zmarnujemy następnych. Jest bowiem metoda wspo-

mniana na wstępie. Nie wojna ze środowiskami, ale tworzenie własnych! Czy tak trudno jest powołać nowe instytucje. Istnieje wzór – uczelnia ojca dyrektora w Toruniu. Dziesięć takich w całym kraju, z odpowiednimi środkami finansowymi, wyselekcjonowanymi kadrami, ściągniętymi z kraju i z zagranicy związanymi wspólnotą zasad i celów. Podobnie mogłoby być

Ile może działać instytucja stworzona od zera, pokazuje IPN

z teatrami. Zamiast borykać się z tymi, które są, zakładać kompletnie nowe, niepodporządkowane władzom lokalnym... A nade wszystko zachować spokój i cierpliwość.

Gdybyśmy zaczęli cztery lata temu, już wkrótce pojawiliby się pierwsi magistrowie nowych uczelni. Ile może działać instytucja stworzona od zera, pokazuje IPN, z ogromnym wysypem młodych talentów. Co więcej, nowe ośrodki ożywczo podziałają na stare. Wbrew pozorom mnóstwo jest w Polsce ludzi gotowych działać po nowemu, dla dobra ojczyzny. Trzeba tylko dać im szansę uwolnić inicjatywę, wyzwoić ze środowiskowych szantaży i terroru pseudoautorytetów. Być może myślę się w swojej diagnozie. Ale co szkodzi spróbować? ☺☺

EKIPA
URWISÓW
powraca!



KUPUJ
PRASĘ i KSIĄŻKI
ODBIERZ MASKOTKĘ ZA 1 ZŁ

Akcja trwa do 30.11.2019 r. lub do wyczerpania zapasów.
Szczegóły akcji na: www.czytamwszedzie.pl/ekipaaurwisow.

Akcja w sklepach:

inmedio

inmedio trendy

inmedio Café

RELAY.

eprasa.pl 6e552f16ee

Żelazna kurtyna z betonu



Seria obrazów „Vision Machines” autorstwa Tagreed Daghighi

FOT. LUCA GIRARDINI/MATERIAŁY PRASOWE



Monika Małkowska

30. rocznicę obalenia muru berlińskiego uhonorowano skromną wystawą. Wśród 28 artystów nie ma ani jednego Polaka

Dziesiątego listopada 30 lat temu. Kto pamięta, co to za rocznica? O północy otwarto granicę między NRD a RFN. Oznaczało to kres ideologicznego i ekonomicznego podziału kraju. Czyli koniec komunizmu. Niestety, nie każdy był tego świadom – niektórzy epokowe wydarzenie po prostu prześpi. Dopiero w ciągu dnia docierało do nich, co się stało.

Za wizualny symbol ostatecznej klęski znienawidzonego systemu uznano zburzenie berlińskiego muru. I tak oto po 28 latach istnienia ściany dzielącej miasto

na części wschodnią i zachodnią przejścia w niej zostały udrożnione. Przestały obowiązywać niemiecko-niemieckie paszporty. Tym samym zniwelowano podział Niemiec na dwa wewnętrznie „wrogie” kraje.

JAK ZAROBIĆ NA ŚCIANIE

Cóż to był za spektakl! Otwarcie przejść granicznych w Berlinie relacjonowano w telewizji. Ludzi ogarnęła euforia, padano sobie spontanicznie w objęcia, wiwatowano, w knajpkach częstowano darmowym piwem. Zaraz też do stolicy Niemiec zaczęli przybywać goście ze wszystkich stron świata, pragnący uczestniczyć w bezprecedensowym wydarzeniu. Przejścia graniczne w murze okazały się za ciasne, żeby przepuścić wszystkich chętnych. Niektórzy próbowali przebić się na zachodnią stronę przez samowolnie wykonane wyłomy, które straż graniczna usiłowała początkowo naprawiać, łątać. Nic z tego. Ludzka fala była niepowstrzymana.

Dziury rosły, tłumy przelewały się przez coraz to poszerzane przejścia oficjalne i te wyrwane spontanicznie.

Demontaż muru śledzili podnieceni lokalsi i przybysze z zagranicy. Wszyscy chętni pomagać dosłownie gołymi rękoma w rozbieraniu żelaznej czy raczej betonowej kurtyny. Niektórzy brali odłamki ściany na pamiątkę (po pewnym czasie te kawałki stały się przedmiotem pamiątkarskiego handlu, podobnie jak charakterystyczne radzieckie czapki czy wpinki do ubrań z podobizną Lenina w wieku dziecięcym, sprzedawane na straganach w pobliżu Checkpoint Charlie).

Pewnie rozdrapano by do szczytu wizualne świadectwo upadłego systemu, gdyby nie... wpisano resztek muru do rejestru zabytków. Uff.

Trzy ocalałe odcinki pozostały w Berlinie. Najdłuższy jest przy Bernauer Strasse, pociepany wyłomami. Żeby ocalić przed zapomnieniem nieświeżą przeszłość, a także ku przestrodze, z muru usunięto ślady działalności graffitiarzy.

Taki wyczyszczony straszny bardziej niż oswojony malunkami.

Niewiele krótszy fragment zachował się przy Niederkirchnerstrasse, nieopodal muzeum Martin-Gropius-Bau (o czym będzie poniżej). Ten kawałek wykorzystano praktycznie: jest centralnym i niejako naturalnym elementem stałej wystawy „Topografia terroru”.

Trzecia dawka betonowej żelaznej kurtyny, mierząca 15 m, usytuowana jest przy Liesenstrasse, i tak jak powyżej wzmiankowane, podpada pod ochronę zabytków.

Wszystkie odcinki znajdują się w Mitte (Centralny Berlin) i uchodzą za „must see” dla każdego cudzoziemca stawiającego pierwsze kroki w stolicy nad Szprewą. Turyści wzruszeni nieszczęściem skonfliktowanych (za sprawą niesłusznego systemu) obywateli onegdaj podzielonych Niemiec robią sobie selfie przy murze i, by zrównoważyć traumę, zaraz udają się na zakupy do największego w Europie centrum handlowego – Mall of Berlin przy Leipziger Platz, odnodze placu Poczdamskiego.

Tutaj też krzynka nostalgii: cztery betonowe panele z muru wzięte, służące jako dekoracyjne panneaux przed wejściem do handlowego giganta. W tym przypadku zero polityki, takie tam zabawne gęby. W pępku komercyjnego wzmoczenia mało kto pamięta, że kiedyś było tu pusto, wiały przeciwstawne wiatry, a w przeciagu handlowano pokątnie czekoladą Wedla, kremem Nivea i stanikami. Taka prywatna inicjatywa w ramach RWPG.

MUR NA EKSPORT

Skoro o komercji mowa: Kto by pomyślał, że betonowe szczątki to też będzie gorący towar?

Po 1990 r. po pamiątkową ścianę zgłosiły się rozmaite zagraniczne instytucje. Części muru wyeksportowano do Londynu, Watykanu, Caen, a nawet za ocean, do stanu Wirginia, gdzie kawałki słynnej „wall” służby specjalne CIA zainstalowały w swym nowo powstającym ośrodku.

Ale, ale! Najdłuższy odcinek, złożony z 25 betonowych bloków pokrytych „historycznymi” graffiti, trafił do Polski, do wsi Sosnówka. Wprawdzie to prywatna fanaberia pewnego polskiego lekarza, mieszkającego ongiś w Berlinie, ale jednak symboliczne.

Jak to ma się do oryginału? Za swych „jedynie słusznych” czasów – tzn. od

sierpnia 1961 do listopada 1989 r. ściana mierzyła 156 km. Przy próbach jej pokonania straciło życie ok. 140 ofiar; wedle innych źródeł – ponad sto osób więcej.

Jeden z zachowanych odcinków stoi „ku pamięci” w swym dawnym miejscu, nieopodal muzeum Gropiusa. Tylko 200 metrów, a nawet tyle robi wrażenie! Od czasu połączenia Niemiec do tego okazałego, wzniesionego pod koniec XIX w. budynku (inauguracja w 1881 r., jako Królewskie Muzeum Rzemiosła Artystycznego), do odrestaurowanego przez ponad dekadę (1998–1999) gmachu prowadzi paradne wejście od ulicy Niederkirchnerstrasse. Jednak przez całe lata, gdy Gropius-Bau znajdował się po zachodniej stronie Berlina, do muzeum wchodziło tylnym wejściem.

Za to frontem do wielotysięcznej widowni stanął zespół Pink Floyd wraz

rozwalając sztuczną zapórę. Świadkami tego historycznego wydarzenia było 350 tys. odbiorców, którzy zakupili bilety, i dodatkowych 100 tys., którym pozwolono uczestniczyć w święcie gratis. Dochód z performance’u „The Wall – Live in Berlin” miał być przeznaczony na cele charytatywne, ale Waters i inni organizatorzy też siebie nie pokrzywdzili.

POKONYWANIE MURU

Trzydziestą rocznicę obalenia muru uhonorowano znacznie ciszej – wystawą w Martin-Gropius-Bau, zatytułowaną „Walking Through Walls”. Tytuł jest parafrazą autobiograficznej książki Mariny Abramović „Pokonać mur. Wspomnienia” („Walk Through Walls”) i oczywiście nie mogło jej zabraknąć w pokazie.

Najpierw jednak historia mniej prywatna. Przeszłość Berlina przywołuje cykl sześciu zdjęć niezwiązanej już fotograf-



Jedno ze zdjęć Sybille Bergemann, która dokumentowała okolice muru tuż po jego zburzeniu. FOT. ESTATE SYBILLE BERGEMANN/MATERIAŁY PRASOWE

z licznymi zaproszonymi gwiazdami, dając koncert, który przeszedł do historii z wielu powodów. Roger Waters okazał się menedżerem na miarę epoki: zaczął negocjacje z władzami Berlina już w dniach, gdy destruowano granicę. Na okoliczność show w pustym miejscu po ścianie, między placem Poczdamskim a Bramą Branderburską, wzniesiono... mur zastępczy, długi na 170 metrów, wysoki na 25 metrów w kulminacyjnym momencie. Najwyższe partie dekoracji budowano podczas pierwszej części koncertu, by w drugiej

ki Sybille Bergemann, notabene z NRD, która udokumentowała okolice muru tuż po jego zburzeniu. Dzięki tym kadrom można sobie uświadomić, jak ogromnie zmieniło się centrum miasta (dzielnica Mitte, gdzie mur się szczątkowo ostał, to sam pępek Berlina).

Poza wspomnianą autorką pozostałych 27 artystów z różnych krajów świata nie dotyka bezpośrednio zburzonej ściany, lecz odnosi się do murów metaforycznych, wznoszonych obecnie pomiędzy indywidualnymi ludźmi,

■ odcinających od siebie kultury, religie, narody.

Na szczęście żaden z autorów nie łądzi łopatą do głowy politycznej poprawności, co nie znaczy, że kurator (jest nim Till Fellrath, wcześniej aktor i profesor ekonomii, związany/współpracujący z kuratorem Samem Bardaoulime) wyeliminował wszelkie pouczania i pośajanki. Wymowa ekspozycji jest jasna: wciąż nie jesteśmy (my, w odkomunizowanej Europie) tak tolerancyjni, jakby można się było spodziewać po dzieciach Matki Courage. Doświadczenie terroru niewiele nas nauczyło. Co gorsza, pozwalamy dojść do głosu populistom, choć mur – czy raczej pamięć o nim – powinien być przestrogą dla wszystkich nieprzyjaciół demokracji. W wersji lansowanej przez współczesne Niemcy i UE.

Znamienne: wśród 28 artystów uczestniczących we wspomnianym przedsięwzięciu nie ma ani jednego Polaka. Znaczący, nie udało się polskiemu twórcy „włączyć w światowy krwioobieg sztuki”, jak to po transformacji buńczucznie zapowiadano. Nie istniejemy też (na wystawie w Berlinie) w sensie politycznym, historycznym czy symbolicznym. Nie potrafiliśmy jakoś wypromować naszego muru w Stoczni Gdańskiej i historycznego skoku Lecha Wałęsy przez tę mierzącą 3,5 metra przeszkodę – dekadę przed tym, zanim udrożniono przejścia w berlińskiej granicy.

A to był przecież ten pierwszy znaczący wyłom w socjalistycznym monolicie.

A czy pamiętają państwo, kto udokumentował najbardziej witalnych „mieszkańców” muru w stolicy Niemiec? Też Polak. Dziesięć lat temu dokument „Królik po berlińsku” Bartosza Konopki był kandydatem do Oscara. Skończyło się na nominacji, jednak rozmnażające się w rekordowym tempie zwierzątka stały się bohaterami berlińskiej urban legendy.

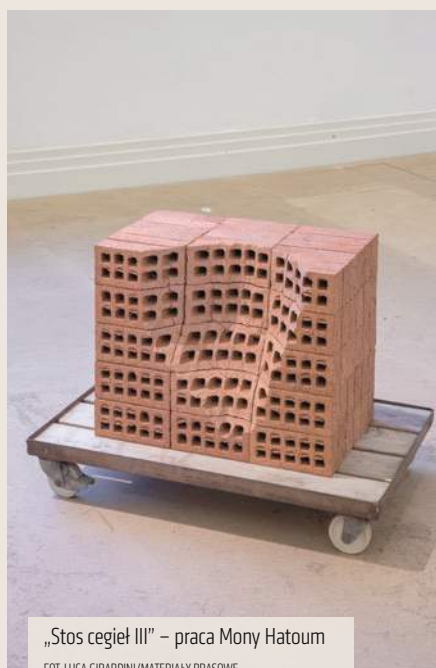
NIEWIDOCZNE ŚCIANY

Króliki nie zostały niestety zaproszone do udziału w rocznicowej prezentacji, co uważam za eliminację ze wszech miar niesprawiedliwą. Wniosłyby trochę życia w raczej pustawie sale galerii. Bowiem w przeciwieństwie do pamiętnego koncertu Pink Floyd wydarzenie w Gropius-Bau trudno uznać za frekwencyjne, a już na pewno nie za komercyjny sukces.

Jest kilka prac interesujących, acz nie wybitnych. Za najciekawszą i najmocniejszą w wymowie uważam instalację

nowojorczyka Freda Sandbacka, zmarłego przed 16 laty. Artysta zostawił w szkicowniku projekt pracy, którą obecnie w Berlinie zrealizowano po raz pierwszy. Czarne cienkie taśmy przecinają puste pomieszczenie w taki sposób, jakby obwodziły poustawiane pod kątem prostym ściany – których de facto nie ma. Pomimo niematerialności instalacji iluzja jest doskonała. Wchodząc pomiędzy siatkę czarnych taśm, widz ma wrażenie przekraczania jakichś granic.

Piękny wizualnie, zarazem nienachalny jest film „Shadow Play” mieszkającego w Nowym Jorku Wenezuelczyka Javiera Télleza. To rzeczywiście gra cieni, lecz konkretnych, współcześnie żyjących osób.



„Stos cegieł III” – praca Mony Hatoum

FOT. LUCA GIRARDINI/MATERIAŁY PRASOWE

Artysta zaprosił do udziału w projekcie uciekinierów z różnych krajów, z różnych powodów szukających azylu w Szwajcarii. Pokazani tylko jako czarne sylwetki, opowiadają swoje historie – przez co obraz ztraca charakter dokumentu, jednocześnie zyskując uniwersalizm.

Dzięki wystawie w MGB dowiedziałam się, że koncepcja pomnika Pomordowanych Żydów Europy (zlokalizowanego nieopodal Bramy Branderbundsckiej) autorstwa Petera Eisenmana spójna była – także w czasie – z wizją radykalnego brytyjskiego twórcy Gustava Metzgera, zmarłego przed dwoma laty. Instalacja tego ostatniego „In Memoriam” to labirynt paneli wyrastających z podłoża pod kątem 90 stopni. Wchodząc pomiędzy te

ciasno ustawione bloki, gubi się perspektywę i traci innych z pola widzenia.

Chociaż w pokazie dominującą rolę odgrywają nowe media, to znalazło się również miejsce dla tradycyjnego malarstwa. Tagreed Daghouh, Libanka z brytyjskim paszportem, posługuje się pędzlem, farbą i płótnem, jednak tematyką odbiegła daleko od klasyki. „Vision Machines” to na swój sposób martwe natury, jednak jakże różne niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni! Artystka koncentruje spojrzenie na... kamerach, dronach, satelitach i innych hi-tech urządzeniach nadzoru. „Teraz widzisz mnie lepiej?” – pyta prowokacyjnie w tytule tej serii obrazów. Sama zaś przedstawia te obiekty nieostro, nonszalanckimi pociągnięciami pędzla, jakby na przekór ich przeznaczeniu. Dla wielu niezauważalne przyrządy, służące podglądaniu, rejestrowaniu i pilnowaniu ludzi też mają swoje „oblicze”. Przypatrzmy im się.

SYMBOLICZNE MORDOBICIE

Tej kamery wideo nikt nie sportretował – za to ona w 1977 r. zarejestrowała performance Mariny Abramović i Ulaya, jej wieloletniego partnera. Krótka interakcja zatytułowana „Light/Dark” polegała na... policzkowaniu. Wzajemnym. Raz on ją, raz ona jego. Trzask, trzask, w oszałamiającym tempie. Po pewnej chwili ona zdaje się słabnąć, mimo woli zaczyna robić uniki przed mocnymi ciosami. Jednak nie ma finału, zapętłona projekcja wraca do wściekłego mordobicia, z tym samym impetem.

Przez długie lata praca odbierana była jako metafora relacji kobiety z mężczyzną. Chociaż nie było to intencją autorów, w kontekście upadku ściany i komunizmu performance nabrał politycznego znaczenia: wszak Ulay jest Niemcem, zaś Marina pochodzi z byłej Jugosławii.

A że to właśnie wideo otwiera ekspozycję w Gropius-Bau, odczytujemy je (wyłącznie?) symbolicznie. Akcja-reakcja, ani sekundy przerwy, do utraty tchu. Czy tak funkcjonował układ między dwiema wówczas współistniejącymi ideologiami?

Mam niedobre wrażenie, że ten performance w obecnej Polsce również ma metaforyczną wymowę.

Proszę sobie dośpiewać znaczenie.

Wystawa „Walking Through Walls” w Martin-Gropius-Bau w Berlinie czynna jest do 19 stycznia 2020 r.

Polacy przed egzekucją w Piaśnicy

FOT. UTCON COLLECTION/ALAMY /BEGW



Nieznane ludobójstwo



Jan Hlebowicz

W pierwszych miesiącach II wojny światowej na Pomorzu Gdańskim Niemcy w brutalny sposób zamordowali ok. 30 tys. Polaków, w tym kobiety i dzieci

Już w pierwszych dniach II wojny światowej na Pomorzu Gdańskim zaczęły powstawać lokalne oddziały niemieckiej straży obywatelskiej złożone z miejscowych Niemców działających pod nadzorem SS – Selbstschutz Westpreussen. Nazwa może być myląca. Organizacja, do której wstąpiło na Pomorzu ponad 38 tys. Niemców, tylko formalnie miała charakter obronny. W rzeczywistości służyła do załatwiania osobistych porachunków z polskimi sąsiadami. Jej szefem został były adiutant Himmlera – Ludolf von Alvensleben, dla którego zabijanie Polaków stanowiło istotny element wojny rasowej. Szef Selbstschutzu przekonywał podwładnych, że „honorem będzie dla każdego Polaka, by jego ścierwem nawieźć niemiecką ziemię”.

SZCZUCIE PSAMI, GWOŹDZIE W PLECY

Polaków wyciągano w nocy siłą z ich domów, zatrzymywano ich na ulicach, dworcach, w miejscach pracy. Następnie przyszłe ofiary gromadzono w piwnicach byłych gmachów szkolnych, w budynkach starych fabryk, na posterunkach policji, w koszarach wojskowych, budynkach gospodarczych. W tych prowizorycznych aresztach i obozach niemieccy oprawcy znęcali się nad zatrzymanymi. Aniela Krawczuk, sprzątaczką w siedzibie Selbstschutzu, po wojnie zeznała: „Na podłodze w pokoju leżała wielka kałuża krwi i kałki ciała. Leżanka [...] była całkowicie zakrwawiona, na drzwiach tego pokoju leżały sprzęty do biczowania”.

Oprawcy używali pejczy, stalowych sprężyn, łańcuchów okrzęconych drutem kolczastym. Szczuli psami, wbijali gwoździe w plecy, a wołającym o pomoc i krzyczącym z bólu wkładali w usta gips. Ze szczególnym okrucieństwem traktowano księży, zwłaszcza tych o niemiecko brzmiących nazwiskach, wycinając im na czole swastyki. Kobiety były gwałcone. – Należy pamiętać, że mówimy o zbrodni sąsiedzkiej, w której zabijanie nie miało w większości przypadków charakteru anonimowego. Sprawcy znali swoje ofiary

– podkreśla dr Tomasz Ceran z Instytutu Pamięci Narodowej, autor publikacji „Paterek 1939. Zbrodnie i pamięć”. Ci, którzy przeżywali tortury, stawali przed tzw. sądem ludowym. Aby rozstrzelać Polaka, wystarczyło, że dwaj volksdeutsche zaświadczyli o jego antyniemieckiej postawie. Po odbytych „sądzie” ofiary wywożono do miejsc kaźni. Najwięcej egzekucji odbyło się w lasach w okolicach większych miejscowości (lasy piaszniczne, lasy szpegawskie, lasy hopowskie, lasy skarszewske itd.). Niemcy dokonywali eksterminacji także w żwirowniach, piaszkowniach, okopach, rozległych dolinach, parkach miejskich, na polanach. Wiele osób mordowano w przydrożnych rowach.

Stopień okrucieństwa i zabijania ludzi na Pomorzu są nieporównywalne z tymi z innych regionów. Większość ofiar została rozstrzelana i zginęła od kul wystrzelonych z karabinów czy pistoletów. Część osób – jedynie postrzelonych – dusiła się w grobach przysypana piaskiem i innymi ciałami. Kaci często znajdowali się pod wpływem alkoholu, a po dokonanych morderstwach urządzali libacje. „Pytali, czy ja mam wódkę, bo oni muszą sobie dobrze popić, gdyż zasłużyli sobie na to, ponieważ w dniu dzisiejszym zabili stu Polaków” – wspominał po wojnie Józef Nierzwicki. – Istnieją podstawy, by sądzić, że aż od 25 do 30 proc. ofiar z 1939 r. zostało zamordowanych na skutek zmiażdżenia czaszek. Nie zginęli od kul, ale zostali zakatowani tępymi narzędziami, łopatami, kolbami karabinów – mówi dr Ceran. – W Karolewie pochowano na cmentarzu 1781 osób zamordowanych przez Selbstschutz. Wśród nich podczas powojennej ekshumacji odkryto 265 korpusów bez czaszek. Najprawdopodobniej sprawcy odcięli głowy ofiar łopatami – uzupełnia dr Izabela Mazanowska z IPN, autorka książki „Karolewo 1939. Zbrodnie w obozie Selbstschutz Westpreussen”. W jednym z miejsc kaźni odnaleziono zwłoki kobiety w „pozycji skurczonej”. Najprawdopodobniej przytuliła ona swoją córkę, której czaszka została roztrzaskana

tępyim narzędziem. W innym miejscu znaleziono zwłoki, przy których natrafiono również na drobne szczątki ludzkie sugerujące, że zamordowaną osobą była kobieta w ciąży. Okrutna forma zabijania Polaków przez niemieckich sąsiadów nasuwa słuszne skojarzenie z ludobójstwem dokonanym cztery lata później na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. I choć skala chronologicznie późniejszej zbrodni była niemal dwukrotnie większa, to sam mechanizm zabijania podobny. – Członkowie Selbstschutzu mordowali swoich polskich sąsiadów w bestialski sposób, z chęci zysku i grabieży, ale także aby udowodnić własną „niemieckość”. Podobnie członkowie OUN i UPA poprzez eksterminację polskiej ludności cywilnej dowodzili swojej „ukraińskość”. Dlatego termin „genocidum atrox” (ludobójstwo ze szczególnym okrucieństwem) wydaje się adekwatny do opisu wydarzeń nie tylko na Wołyniu w 1943 r., lecz także na Pomorzu w 1939 r. – uważa dr Ceran.

Należy jednak dodać, że obok oprawców zdarzali się także Niemcy, którzy nie ulegli ludobójczej propagandzie i zachowali się inaczej niż większość rodaków. – Na przykład Willi Schesinger, stojąc w piaszkowni w Łopatkach z karabinem w dłoni, odmówił zabicia swojej sąsiadki – ciężarnej Marii Lewandowskiej, a pastor Friedrich Glahn uratował życie ks. Józefowi Grochociemu i kościernym siostrą urszulanom – wylicza dr Mazanowska. Z kolei niemiecki katolicki duchowny ks. Walter Schütt, gdy zobaczył, że wywożą polskich księży na śmierć, sam postanowił pójść w ich ślady. „Księża to nie dotyczy” – usłyszał od członka Selbstschutzu. Na to niemiecki duchowny odparł: „Pójdę z moimi kolegami. Będę z nimi dzielił ich los”.

ZACIERANIE ŚLADÓW

Historycy szacują, że jesienią 1939 r. na Pomorzu Gdańskim Selbstschutz i Einsatzgruppen zamordowały ok. 30 tys. osób, przede wszystkim przedstawicieli polskiej inteligencji, a także rolników, robotników, rzemieślników, Żydów i osoby chore psychicznie. Dla porównania: w tym samym czasie w Wielkopolsce zamordowano ok. 10 tys. osób, na Śląsku Niemcy zabili 1,5 tys. osób, a na terenie północnego Mazowsza – tysiąc. W Generalnym Gubernatorstwie rozstrzelano 5 tys. osób. Jak więc wynika z szacunków, skala zbrodni na Pomorzu Gdańskim w 1939 r. była największa w tym czasie w okupowanej Polsce. Jednocześnie była to pierwsza w czasie II wojny świa-

towej tak wielka akcja eksterminacyjna wymierzona w ludność cywilną. – Co istotne, Niemcy robili wszystko, by zatrzeć po niej ślady. W 1944 r. oddziały Sonderkommando 1005 zniszczyły zwłoki wydobyte z blisko 30 masowych miejsc kaźni – mówi dr Ceran. W Piaśnicy do wykopania i spalenia zwłok wykorzystano więźniów obozu koncentracyjnego KL Stutthof zwanych „komando do nieba”. Akcja trwała blisko siedem tygodni, a po jej zakończeniu więźniów zamordowano, a ich ciała spalono. – Z kolei w lasach szpęgawskich po dokonaniu egzekucji Niemcy umieszcili tablicę z napisem: „Tutaj leżą pomordowani przez Polaków volksdeutsche”. W 1944 r. specjalne komando esesmanów „mówiących po ukraińsku” wydobyło zwłoki, które następnie spalono. Jak wynika ze wspomnień jednego ze świadków, pozostały popiół był przesiewany przez sita w celu odnalezienia wartościowych rzeczy – obrączek, złotych zębów, biżuterii – dodaje historyk Mateusz Kubicki z IPN badający to zagadnienie.

WINA BEZ KARY

Jak podkreśla prof. Bogdan Musiał, niemieckiej propagandzie historycznej udało się wykreować mit o wzorcowym przezwycięzeniu nazistowskiej przeszłości przez demokratyczne Niemcy Zachodnie. W rzeczywistości rzekomo modelowy proces denazyfikacji ograniczył się do symbolicznych gestów, a niemieckie organa sprawiedliwości wykazywały się na przestrzeni lat dużą niechęcią do realnego ścigania i karania zbrodniarzy. – Niemcy nie chcieli dopuścić do świadomości faktu masowego ludobójstwa, którego dokonali na narodach okupowanej Europy. Postępowania umarzano z powodu braku wystarczających dowodów czy trudności w identyfikacji sprawców – tłumaczy dr Mazanowska.

Podobnie było w przypadku wydarzeń z jesieni 1939 r. Zachodni Niemiecki wymiar sprawiedliwości w sprawie zbrodni popełnionych w Prusach Zachodnich wykrył 1701 sprawców (wyłączywszy postępowania w sprawie obozu koncentracyjnego Stutthof). Wszczęto 258 postępowań. Aż 233 z nich umorzono. Prawomocne wyroki zapadły w 12 procesach. Skazano zaledwie 10 osób, w tym ośmiu członków SS i Selbstschutzu. W większości oskarżeni byli uznawani tylko za pomocników zbrodniarzy działających w stanie „wyższej konieczności”. Dla przykładu Jakob Lölgen, dowódca oddziału Einsatzkommando 16 w Bydgoszczy, po wojnie został szefem policji kryminalnej w Trewirze. W 1966 r. sąd w Monachium uniewinnił go od zarzutów mordowania polskiej ludności cywilnej, uznając, że tylko wykonywał rozkazy. Gustav Bamberger, wiceburmistrz Wejherowa, uczestnik selekcji w tamtejszym więzieniu, pełnił po

Naukowcy z IPN od kilku lat apelują o wprowadzenie terminu „zbrodnie pomorskie 1939” do historiografii.

– Wydarzenia nienazwane nie istnieją w historii i pamięci historycznej. Dlatego niemieckie zbrodnie z jesieni 1939 r. dokonane w setkach pomorskich miejscowości powinny zostać objęte wspólnym pojęciem – uważa dr Ceran. Naukowcy zaznaczają, że dotychczas funkcjonujące określenia „krwawa pomorska jesień”, „pogrom pomorski-wielkopolski” czy „niemiecki Katyń 1939” są nieadekwatne. Podobnie jak stosowana dotąd eufemistyczna terminologia niemiecka – Intelligenzaktion – akcja „Inteligencja”, Säuberungsaktion – akcja „Oczyszczanie” czy Ausrottungsaktion – akcja „Wytępienie”, w której masowe zabijanie nazywane jest „akcją”. – To była zbrodnie, która miała swoją podstawę w ideologii nazistowskiej. Oprócz antysemityzmu jej istotnym elementem był także antypolonizm, który odczuwiał ofiary w oczach sprawców – wyjaśnia dr Ceran. W wyniku długoletniego zaangażowania badaczy, nauczycieli, popularyzatorów historii zbrodnie katyńska czy zbrodnie wołyńska silnie zakorzeniły się w świadomości społecznej Polaków. Podobnie powinno się stać ze zbrodnią pomorską 1939 r. – Skala zbrodni, ich charakter oraz rola Selbstschutzu Westpreussen to argumenty, które świadczą o potrzebie wprowadzenia do historiografii, edukacji i pamięci narodowej nowego terminu – apelują historycy. 30 sierpnia 2019 r. Sejm RP przyjął uchwałę upamiętniającą ofiary zbrodni pomorskiej 1939 r. Żaden z posłów nie zagłosował przeciw. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zbrodnie katyńska czy wołyńska silnie zakorzeniły się w świadomości Polaków. Podobnie powinno stać się ze zbrodnią pomorską 1939 r.

wojnie funkcję wiceburmistrza Hanoweru. Z kolei dowódca Selbstschutzu Westpreussen (ten, który nazywał Polaków ścierwem) uciekł do Argentyny, gdzie zmarł w 1970 r. jako prawy obywatel i przyjaciel dyktatora Juana Peróna. Argentyńscy sąsiedzi zapamiętali go jako sympatycznego człowieka. Nie rozumieli tylko, dlaczego używał słów „Heil Hitler”, wykonując gest nazistowskiego salutu.

Więcej o zbrodni pomorskiej 1939 r. można dowiedzieć się na portalu internetowym IPN: zbrodniapomorska1939.pl.

REKLAMA



Instytut Pamięci Narodowej

zaprasza na
prezentację książki

13 listopada (środa)

godz. 17:30



Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN

ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

UDZIAŁ WEZMĄ:

dr. hab. WALDEMAR GRABOWSKI
– BBH IPNprof. GRZEGORZ MAZUR
– Uniwersytet Jagiellońskiprof. BOGDAN CHRZANOWSKI
– Uniwersytet Gdańskidr. RAFAŁ LEŚKIEWICZ
– BBH IPN

Organizatorzy:

Patronat medialny:





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Napoleon i Polacy

Ktoś kiedyś powiedział, że Polacy kochają Napoleona bardziej niż Francuzi. Coś jest na rzeczy, bo przecież to my śpiewamy w naszym hymnie narodowym o przykładzie, który miał nam dać Bonaparte. Próżno takich odniesień szukać w hymnie francuskim. Bez wątpienia sentyment do cesarza Francuzów wśród wielu Polaków jest olbrzymi.

Pytanie tylko, na czym jest oparty. Na trzeźwej ocenie wydarzeń czy może na uczuciach? Odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna. Przecież to Napoleon stworzył namiastkę państwa polskiego – Księstwo Warszawskie – i poszedł na wojnę z Rosją. Ach, gdyby wtedy mu się udało... – rozmarzają się nasi bonapartyści.

Jemu się jednak nie udało. Napoleon poniósł klęskę. A jego prawdziwy stosunek do Polski powinien być przedmiotem chłodnej analizy. Takiej, którą przeprowadził w swojej książce Adam Zamoyski. Bez wątpienia Polacy Bonapartemu sporo zawdzięczali, ale przyniósł on również naszemu narodowi wiele cierpień. I złudnych nadziei.

Według Zamoyskiego Polaków wcale nie kochał. Traktował ich instrumentalnie, często używając do przedsięwzięć dwuznacznych moralnie. Żeby tylko wymienić San Domingo

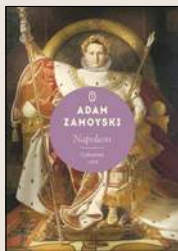
i Hiszpanię. A gdy w 1812 r. miał okazję proklamować restaurację Rzeczypospolitej, nie zrobił tego. Cały czas liczył bowiem na to, że uda mu się dogadać z carem.

„11 lipca przybyli do Wilna delegaci Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego – pisze Zamoyski. – Cesarz kazał im czekać trzy dni na audiencję, a kiedy wystąpili z wnioskiem, by ogłosił wskrzeszenie Polski, wysłuchał ich, nie tając zniecierpliwienia. Powiedział, że jeśli naród polski powstanie i będzie dzielnie walczył, opatrność może nagrodzić go niepodległością. Delegaci byli załamani”.

I dalej: „W Witebsku został powitany przez miejscowych polskich patriotów, ale unikał ich pytań, piętząc obraźliwe zarzuty pod adresem Poniatowskiego i rzekomego tchórzostwa polskich żołnierzy. »Wasz książę jest po prostu p...« – warknął do jednego z polskich oficerów. Napoleon – co wyznał Caulaincourtowi – był bardziej zainteresowany wykorzystaniem Polski jako pionka w rozgrywce niż jej wskrzeszeniem”.

A mimo to Polacy do końca szli za cesarzem...

Adam Zamoyski napisał potrzebną książkę. Mam nadzieję, że wywoła żywą debatę, z której wnioski będziemy mogli odnieść do naszej obecnej sytuacji międzynarodowej. ©



★★★★★
ADAM ZAMOYSKI
„NAPOLEON.
CZŁOWIEK I MIT”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Buława dla Śmigłego

Półtora roku po śmierci Piłsudskiego, 10 listopada 1936 r., Edward Śmigły-Rydz został mianowany marszałkiem Polski. Sprawa wywołała wiele zamieszania, kwestionowano zasadność awansu Śmigłego o dwa stopnie jednego dnia, a przy okazji przypomniano, że Komendant powtarzał, iż po nim Polska nie powinna mieć marszałków w czasach pokoju.

Awans był nakazem chwili, ale Śmigły bez wątplenia czuł się usatysfakcjonowany

Piłsudski faktycznie miał bardzo osobisty stosunek do swojej szarży, nie bez powodu mianował się pierwszym marszałkiem Polski, czyli tak naprawdę jedynym. Zresztą jego nominacja też wzburzyła nastroje, gdyż pojawiły się zarzuty, że Komendant sam siebie mianował marszałkiem. Było w tym nieco racji, ponieważ – jak oficjalnie to ogłoszono – stopień przyjął i zatwierdził.

Inna sytuacja była natomiast w przypadku Śmigłego. Wprawdzie był on generalnym inspektorem Sił Zbrojnych, czyli dowodził Wojskiem Polskim, ale miał tylko stopień generała dywizji. Zwykle dwugwiazdkowi generałowie dowodzili dywizjami, jednogwiazdkowi – brygadami, a pułkownicy – pułkami. W Polsce było jednak inaczej, spowolnienie awansów, a potem odsyłanie starszych

oficerów na emeryturę sprawiły, że dywizjami dowodzili nawet pułkownicy. Powodowało to poważne problemy protokolarne podczas rozmów z przedstawicielami obcych armii, gdyż nawet w sojuszniczej armii rumuńskiej było kilku czterogwiazdkowych generałów i dwóch marszałków. Natomiast gdy rok po śmierci Piłsudskiego Śmigły prowadził negocjacje ze swoim francuskim odpowiednikiem, gen. Maurice'em Gamelinem, sytuacja wyglądała wręcz absurdalnie. Gamelin był bowiem generałem armii – na pagonach miał pięć gwiazdek, a Śmigły tylko dwie. W większości krajów świata dwugwiazdkowi generałowie dowodzą dywizją, a nie całością sił zbrojnych.

Awans był zatem nakazem chwili, ale Śmigły bez wątpienia czuł się usatysfakcjonowany. Napoleon Bonaparte mawiał przecież, że każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w plecaku, i w przypadku Śmigłego tak właśnie się stało. I chociaż awans był koniecznością proceduralną, to buława pozostawała jednak buławą i żaden oficer nie odmówiłby podobnego zaszczytu.

Inna sprawa, że niebawem doszło już do zupełnego absurdu, gdyż podniosły się głosy, że stopień marszałka to zbyt mało i że Śmigły powinien przyjąć tytuł hetmana. Lizusów i obłąkanych specjalistów od propagandy nigdy i nigdzie nie brakowało, zatem nikt nie traktował tego poważnie. Stopnia hetmana nie było w Wojsku Polskim, w zupełności wystarczał marszałek. ©

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

AUTOBIOGRAFIA
„RYSZARD
SZURKOWSKI
- WYŚCIG”

~~337~~ zł



136,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
201 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Za Odrą Wrz



Paweł Chmielewski

Alternatywa dla Niemiec zaproponowała łączenie teraźniejszości RFN z tysiącletnią narodową historią. Co to oznacza dla Polski?

70

W październikowych wyborach do landtagu Turyngii Alternatywa dla Niemiec pokonała CDU, ustępując tylko postkomunistom. Ta prawicowa partia to fenomen rozpalający od kilku lat niemiecką debatę publiczną. Nie tylko dlatego, że jest jedyną poważną siłą sprzeciwiającą się polityce migracyjnej rządu „wielkiej koalicji”. Alternatywa na powrót wprowadziła do debaty wiele fundamentalnych tematów przez lata w mainstreamie marginalizowanych.

Zaproponowała zerwanie z powojennym mitem Niemiec jako państwa bez historii, obiecując zszycie teraźniejszości RFN z tysiącletnią narodową przeszłością. Projekt zyskał dużą popularność, a konsekwencje jego realizacji mogą być poważne także dla Polski.

DWA ZERWANIA

W 2017 r. ukazała się za Odrą książka czołowego myśliciela niemieckiego konserwatyzmu, Karlheinz Weissmanna



Björn Höcke, lider partii AfD, podczas kampanii przed wyborami w Turyngii, październik 2019 r. FOT. JENS SCHLÜETER/GETTY IMAGES

nich krajach – skierowały ostrze swojej polityki przeciwko lewackim patologiom dziedzictwa ruchu '68. Alternatywa dla Niemiec nie jest tu żadnym wyjątkiem. Partia oferuje jednak współczesnym Niemcom coś dalece głębszego. Chce naprawić drugi, wcześniejszy „Kulturbruch” – ten z roku 1933. Dwanaście lat hitlerowskiej dyktatury, mającej duży społeczny mandat zaufania, stanowiło bowiem zerwanie jeszcze większe. Cywilizację chrześcijańską wraz ze wszystkimi jej wartościami zastąpiono barbarią – choć przystrojoną w szaty swojej poprzedniczki. Miłość ojczyzny, więzi społeczne, wysiłek wspólnoty, wiara w Boga, tradycje rodzinne i narodowe – wszystko to zostało wprzęgnięte w morderczą maszynę wojenną i propagandową totalitarnego państwa. Hitlerowcy splugawili fundamentalne wartości kształtujące Niemców przez stulecia. Załamał się przekaz kulturowy. Kolejne pokolenia, które wojny już nie doświadczyły, widziały w efekcie całą tradycję wyłącznie w krzywym zwierciadle; rok 1968 był tego wyraźnym znakiem. Niemiecką debatę na temat własnej tożsamości opanowały wstyd i rozpaczliwa w gruncie rzeczy chęć zapomnienia o zbrodniach. Razem z krwawym okresem dyktatury nazistowskiej wymazano jednym ruchem całą przeszłość rozumianą jako jednokierunkowa trasa wiodąca do kataklizmu roku 1933. W latach 60. przeszłość definitywnie oddzielono grubą kreską. Wszystko miało zostać zbudowane na nowo – w świecie bez historii.

SOWIECKA ZAMRAŻARKA

W efekcie rząd dusz przejął w Niemczech tzw. neomarksizm i tworzona przez radykalnych rewolucjonistów ideologia lewicowa. Niemcy stały się narodem pozbawionym pamięci. Ten lewacki program tworzenia nowego świata nie miał jednak nigdy powszechnej aprobaty społecznej; zawsze obecny był pewien ruch niezgody na radykalną narrację wykorzeniania przeszłości. Skrajnym wyrazem tych tendencji była okresowo całkiem spora popularność narodowosocjalistycznej NPD. Antynarodowej terapii nie przeszły też w pełni landy wschodnie; komuniści, po pierwsze – nie mieli autorytetu wystarczającego, aby wykorzenić myślenie patriotyczne, a po drugie – skierowali powojenną propagandę na zupełnie inne tory niż władze RFN. O ile tam serwowano ludziom prawdę o zbrodni i odpowiedzialności za nazistowskie zbrodnie, o tyle w NRD zrzucano winę za hitlerizm na Anglosasów i interesy wiel-

kich koncernów przemysłowych, których NSDAP miała być polityczną emanacją. Zwykłemu Niemcowi to – paradoksalnie – pod rządami komunistów łatwiej było uwolnić się od degenerującego tożsamość poczucia winy. Pod sowieckim butem przetrwało więcej uczuć patriotycznych niż w wolnej RFN. Jednak już po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. neomarksistowską narrację zachodnie elity zaczęły brutalnie narzucać także obywatelom landów wschodnich. To wzniecało opór i złość.

„ON POWRÓCIŁ”

Alternatywa dla Niemiec powstała w 2013 r. jako ugrupowanie buntu przeciwko establishmentowi. Krytykowała politykę monetarną Republiki Federalnej i Unii Europejskiej w ogóle. Jako siła eurosceptyczna o liberalnym ekonomicznym sznycie do jesieni 2015 r. cieszyła się dość niewielką popularnością. Wszystko zmienił wybuch wielkiego kryzysu migracyjnego. Gdy kanclerz Angela Merkel ogłosiła otwarcie granic dla fal uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki, przyklasnęły jej wszystkie obecne w parlamencie ugrupowania. Alternatywa dostrzegła dla siebie szansę i doskonale ją wykorzystała. Partii udało się całkowicie zdławić konkurentów do „antyimigracyjnego tortu” wyborczego. Ruchu politycznego, mimo pewnych prób, nie stworzyła popularna PEGIDA. To AfD udało się skanalizować gniew obywateli. Partia łamała rozmaite tabu politycznej poprawności, obnażając obłądną politykę migracyjną rządu i zakłamanie mediów. Wreszcie skierowała się także przeciwko dyktatowi lewackiej antynarodowej ideologii. I ten właśnie gest, pragnienie zszycia niemieckiej historii, wywołał największe poruszenie. Dla sformatowanej przez neomarksizm większości AfD stała się przeklętym faszystowskim upiorem, piekłoszczykiem powstałym z martwych niczym sam Hitler w głośnej powieści Timura Vermesa „Er ist wieder da” (pol. „On powrócił”). Drugiej, mniejszej części obywateli jawiła się jako odważny lekarz, który gotów jest odrzucić dziesięciolecie niemieckiej „pedagogiki wstydu” i zaleczyć głębokie rany narodowej tożsamości.

OD SUKCESU DO SUKCESU

W skali ogólnokrajowej udało się Alternatywie zyskać poparcie kilkunastu procent obywateli, według aktualnych sondaży: od 13 do 14 proc. Dużo większą popularność ma AfD na samym wschodzie. W tegorocznych wyborach do

– „Kulturbruch '68: Die Linke Revolte und ihre Folgen” (pol. „Zerwanie kulturowe '68: Lewacka rewolta i jej skutki”). Weissmann przekonuje, że protestujący w 1968 r. niemieccy lewicowcy wykopali bezdenną przepaść między teraźniejszością a tradycją. Radykalnie odrzucając moralność, patriotyzm i religię, dokonali epokowego zerwania, kreując zupełnie nową, głęboko destrukcyjną neomarksistowską agendę polityczną. Po tej dacie partie konserwatywne i prawicowe – podobnie jak w in-

landtagów Saksonii, Brandenburgii i Turyngii partia otrzymała odpowiednio 27,5 proc., 23,5 proc. oraz 23,4 proc. głosów, stając się w każdym z nich drugą siłą. W Turyngii Alternatywa pierwszy raz w wyborach wyprzedziła CDU! Wygląda na to, że na wschodzie Alternatywa nie ma żadnego szklanego sufitu, partia umacnia się z miesiąca na miesiąc. W dawnej NRD staje się coraz bardziej prawdziwą „Volkspartei”, czyli partią dla wszystkich, czerpiącą siły z każdej grupy społecznej i wiekowej. Głosują na nią zarówno starzy, jak i młodzi, robotnicy oraz wykształceni. Alternatywa jest dla wyborców wiarygodna: bezwzględnie krytykuje rządzące od dekad partie, pomaga obywatelom wyjść z pułapki poczucia niższości względem „starej” RFN. Także sprawa imigracji wywołuje na wschodzie większe obawy. Podczas gdy na zachód już od lat 60. napływali licznie muzułmańscy Turcy, NRD była kulturowo jednolita.

VOLKIZM, CZYLI DER FLÜGEL

W młodej partii trwa od samego początku ostra walka o władzę. W 2015 r. partię opuścił współzałożyciel i zwolennik konserwatywno-liberalnego kursu, Bernd Lucke. Z funkcji kierowniczych ustąpił wówczas również cechujący się podobnym profilem Konrad Adam. Władza przeszła w ręce relatywnie umiarkowanych Frauke Petry i Jörga Meuthena; w 2017 r. Petry ustąpiła, a jej miejsce zajął Saksończyk Alexander Gauland. Od tego czasu wzrasta w AfD znaczenie oskarżanej o ekstremistyczne tendencje grupy pod nazwą Der Flügel (pol. Skrzydło). Założył ją w 2015 r. Björn Höcke, czołowa postać Alternatywy w Turyngii, szef tamtejszej frakcji w landtagu, de facto twarz partii na całym wschodzie. Höcke proponuje wyborcom zupełnie nieskrywany nacjonalizm, nie waha się sięgać po retorykę balansującą na granicy rasizmu. Der Flügel kontroluje blisko 40 proc. członków Alternatywy w całym kraju. Działacze tej grupy spotykają się każdego roku pod pomnikiem Kyffhäuser w Turyngii, przedstawiającym cesarza Fryderyka Barbarosę i Wilhelma I Hohenzollerna. Höcke jest blisko związany z NPD. Przyjaźni się od lat z szefem turyńskich struktur tej partii, Thorstenem Heisem. W styczniu 2019 r. niemiecki kontrwywiad stwierdził, że Höcke publikował najprawdopodobniej pod

pseudonimem Landolf Ladig na łamach narodowosocjalistycznego pisma „Volk in Bewegung” należącego do Heisego; miałyby też współtworzyć ulotki NPD (sam Höcke temu zaprzecza). Jednym z bliskich współpracowników Höckego jest Andreas Kalbitz, czołowy kandydat partii w wyborach w Brandenburgii, członek partyjnego zarządu. Jeszcze w 2007 r., jako 35-latek, polityk uczestniczył w kilkudniowym obozie zorganizowanym przez skrajnie nacjonalistyczną i volkistowską grupę Heimatreue Deutsche Jugend (pol. Niemiecka Młodzież Wierna Ojczyźnie). Organizacja została w 2009 r. zdelegalizowana przez niemieckie MSW ze względu na szerzenie idei neonazistowskich. Kalbitz tłumaczył, że na obozie był jako gość i nie widzi w tym żadnego problemu, bo nie

Fałszywa narracja historyczna to wcale nie największy kłopot, który Polska może mieć w związku z rosnącą popularnością AfD

podziela poglądów grupy. Kłopot w tym, że przed laty, w roku 1993, uczestniczył w analogicznym obozie zorganizowanym przez tę samą grupę (działającą wówczas pod nieco inną nazwą). Z kolei w 2007 r. brał udział w zorganizowanym w Atenach marszu ekstremistów, na którym obecna była silna grupa neonazistów z Niemiec; część z nich zabawiła się m.in. wywieszaniem na hotelowym balkonie flagi III Rzeszy. Chociaż Kalbitz przedstawia się dziś jako umiarkowany, to jest faktem, że był związany z ekstremistycznym ruchem przynajmniej w latach 1993–2007.

OSKARŻANIE POLSKI

Der Flügel ma w AfD swoich zażartych przeciwników; czołową rolę odgrywa szef berlińskich struktur partii, Georg Pazderski. Krytycy grupy Höckego chcieliby wprowadzić utrzymać patriotyczny, antyimigrancki i eurosceptyczny kurs AfD, ale odrzucając inklinacje volkistowskie. Na razie są w defensywie i nic nie zapowiada zmiany tego kursu. Znakomity wynik wyborczy w Turyngii, matecznikowi Höckego, pokazuje, że volkizm Niemców bynajmniej nie odstrasza.

Sam wiceszef partii, Gauland, choć nie jest członkiem Der Flügel, nieradko stosuje bardzo radykalną i rewizjonistyczną retorykę. W 2018 r. ściągnął na siebie ostrą krytykę mainstreamu, mówiąc, że okres III Rzeszy jest bez znaczenia dla tysiącletniej historii Niemiec. Nieco wcześniej ten sam polityk domagał się prawa do bycia dumnym z wojskowych dokonań Wehrmachtu. Ideologię partii formują też jawnie antypolscy historycy. Wspomniany już Karlheinz Weissmann przy okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej opublikował skandaliczny artykuł w związanej z AfD gazecie „Junge Freiheit”. Oskarżył tam przedwojenną Polskę o silne antyniemieckie nastroje i przekonywał, że nasi ojcowie parli do wojny. W tym samym czasie z kolei inny historyk i zarazem działacz Alternatywy, Stefan Scheil, opublikował na Twitterze znaczek pocztowy z 1942 r. (sic!) przedstawiający Polskę zajmującą tereny obecnych Niemiec. Scheil jest też autorem wydanej w 2014 r. książki „Polen 1939: Kriegskalkül, Vorbereitung, Vollzug” (pol. „Polska 1939: Kalkulacje wojenne, przygotowania, wykonanie”), w której lansował tezę o polskiej odpowiedzialności za wybuch wojny. Alternatywa jest też jedyną partią, która sprzeciwia się zupełnie otwarcie postawieniu w Berlinie pomnika polskich ofiar nazistowskich zbrodni.

POLSKIE „NIEMIECKIE” ZIEMIE

Fałszywa narracja historyczna to wcale nie największy kłopot, który Polska może mieć w związku z rosnącą popularnością AfD. Większym problemem są tęsknoty niemieckich nacjonalistów do polskich ziem zachodnich i północnych. W tym roku Alternatywa chciała zorganizować partyjny zjazd w... Szczecinie, dając tym bardzo wyraźny i agresywny sygnał Polsce. Antypolska retoryka i popularność AfD mogą tylko narastać, zwłaszcza jeśli Polska na poważnie potraktuje kwestię niewątpliwie należnych nam reparacji. Sklejanie niemieckiej pamięci w ramach terapii volkistowskim nacjonalizmem to zagrożenie bynajmniej nie mniejsze niż dalsze umacnianie za Odrą lewackiej dyktatury neomarksizmu-genderyzmu. Niemiecką politykę trzeba obserwować niezwykle uważnie. Za zachodnią granicą wrze. Trzymajmy rękę na pulsie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HM INWEST S.A. HM FACTORY Sp. z o.o.



Budujemy Twoją przyszłość!
Od 1996 roku



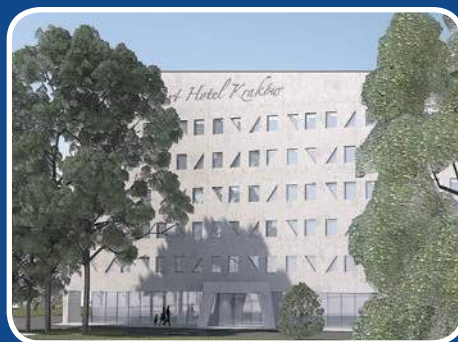
Firma deweloperska Producent materiałów prefabrykowanych



Warszawa



Poznań



Kraków



biuro@grupainwest.pl



+48 22 616 31 94

epasa.pl 6e552f16ee



www.grupainwest.pl

Ameryka na polowaniu



Jacek Przybylski

Komandosom USA udało się zlikwidować terrorystę nr 1, ponieważ został on zdradzony przez człowieka z najbliższego otoczenia. Ogromne pieniądze wypłacane w ramach nagrody pomogły też w likwidacji wielu innych islamskich wojowników



I dlib. Średniej wielkości miasto w północno-zachodniej Syrii, niedaleko granicy z Turcją. To w tych okolicach ukrywał się bestialski szef tzw. Państwa Islamskiego. Samozwańczy kalif Abu Bakra al-Baghdadi zginął jak pies i tchórz – ogłosił pod koniec października amerykański przywódca Donald Trump. Niedługo potem Amerykanie ujawnili wiele szczegółów operacji, w której najważniejszą rolę odegrali operatorzy elitarniej jednostki Delta Force.

W nocy 26 października osiem amerykańskich śmigłowców, lecąc na małej wysokości, dostało się nad kryjówkę najgroźniejszego terrorysty świata. Przebieg akcji obserwowali zdalnie w Białym Domu Donald Trump wraz z wiceprezydentem oraz szefami sił. Z późniejszej, wyjątkowo szczegółowej relacji prezydenta USA wynika, że ochrona przywódcy

tzw. Państwa Islamskiego otworzyła ogień, ale dzięki wsparciu z powietrza 10–15 islamistów w ciągu kilku sekund zostało obróconych w proch. Wówczas Amerykanie wysadzili fragmenty ścian muru wokół budynku i samej budowli. W ten sposób weszli do wnętrza budynku, omijając jednocześnie zaminowane wejście główne.

Okrażony przez amerykańskich żołnierzy Al-Baghdadi w panice wbiegł do sieci podziemnych tuneli. – Poddaj się – krzyczeli do niego po arabsku amerykańscy komandosi. – Al-Baghdadi skamlał i płakał – opowiadał reporterom szczegóły akcji gen. Frank McKenzie.

– Bandyta, który tak bardzo chciał zastraszać innych, ostatnie chwile swojego życia spędził w całkowitym strachu, panice i obawie, przerażony na widok idących po niego amerykańskich oddziałów – mówił

w przemówieniu do narodu prezydent Donald Trump.

Gdy zorientował się, że nie da rady uciec, terrorysta nr 1 zdetonował pas szahida. W samobójczej eksplozji zginął nie tylko terrorysta, lecz także dwoje jego nastoletnich dzieci. Komandosi zabrali z kryjówki islamisty dużą liczbę nośników elektronicznych i różnych dokumentów oraz dwóch jeńców.

Po wycofaniu się komandosów myśliwce F-15 oraz drony MQ-9 Reaper zrównały z ziemią dawną kryjówkę terrorysty, dzięki czemu islamscy fanatycy nie będą mogli uczynić z ruin miejsca kultu. Z tego samego powodu po pobraniu próbek DNA ciało terrorysty zostało pogrzebane w oceanie.

Podczas akcji Amerykanie nie odnieśli większych strat. Rannych zostało dwóch komandosów oraz doświadczony cztero-



– Al-Baghdadi skamlał i płakał
– opowiadał reporterom szczegóły akcji
gen. Frank McKenzie FOT. ALEX WONG/GETTY IMAGES

letni wojskowy pies. Sympatycznie wyglądający futrzak – który wcześniej brał udział w 50 wojskowych operacjach – został porażony przez prąd w tunelu, do którego uciekł Al-Baghdadi. Na szczęście świetnie wyszkolony owczarek belgijski malinois wylizał się już z ran i wrócił do służby. Do służby wrócili też ranni żołnierze.

DOLARY ZAMIAST DZIEWIC

Odnalezienie przywódców organizacji terrorystycznych nie jest łatwe. Po pierwsze dlatego, że przez pierwsze lata często ukrywają się za pseudonimem i zachodnie służby nie wiedzą do końca, kogo szukają. Tak było np. z Al-Baghdadim, który pokazał się publicznie dopiero, gdy w roku 2014 ogłosił powstanie Państwa Islamskiego. I od tego czasu stał się jednym z ważniejszych celów do likwidacji dla Stanów Zjednoczonych.

Islamscy terroryści do walki z Zachodem przystępują m.in. z nadziei na wielką pośmiertną nagrodę za zabijanie chrześcijan, żydów czy apostatów: czyli czekających jakoby na dżihadystów wyjątkowo atrakcyjnych dziewic. Na szczęście nawet wśród islamskich fanatyków można znaleźć takich, którzy od dziewczyn w raju wolą miliony dolarów na ziemskim padole. Za odpowiednio wysokie wynagrodzenie chętnie sprzedają swojego duchowego lidera.

W przypadku operacji likwidacji przywódcy Państwa Islamskiego nagrodę w wysokości 25 mln dol. (równowartość niemal 100 mln zł) lub przynajmniej jej część dostać ma dawny terrorysta z najbliższego otoczenia szefa ISIS. Wiadomo bowiem, że wstępnych informacji wywiadowczych Amerykanom dostarczyli – niedawno okrutnie zdradzeni przez USA

– Kurdowie. Dzięki nim w ręce USA dostała się latem jedna z żon Al-Baghdadi (to ona miała zdradzić dokładne położenie kryjówek Al-Baghdadi) oraz jego kurier. To Kurdowie znaleźli też informatora, który był tak blisko szefa ISIS, że dostarczył Amerykanom jego brudną bieliznę, na podstawie której analitycy Stanów Zjednoczonych mogli potwierdzić, że próbki DNA zgadzają się z kodem ukrywającego się terrorysty. Według dziennika „Washington Post” podczas ataku amerykańskich służb sunnicki informator Amerykanów przebywał w Idlibie pod okiem innej grupy komandosów, a dwa dni po operacji wraz z rodziną został wywieziony z niebezpiecznej prowincji.

Wiele misji tego typu kończy się jednak tylko chwilową radością, a po kilku miesiącach „zabity” terrorysta przemawia lub pokazuje się publicznie. Po październikowej operacji Amerykanów przeciw Al-Baghdadiemu władze w Moskwie oficjalnie ogłosiły więc, że nie wierzą w śmierć światowego terrorysty nr 1, a rzecznik rosyjskiego resortu obrony podkreślił, że wątpi nawet, czy w ogóle doszło do amerykańskiej operacji. Kilka dni po niej Stany Zjednoczone ujawniły więc zdjęcia i filmy z operacji, a także wyniki badań DNA potwierdzające, że próbki ciała terrorysty należały do samozwańczego kalifa, zgadzają się bowiem z tymi, które pobrano od Al-Baghdadi, gdy siedział za kratkami irackiego więzienia Camp Bucca.

ODSTRZELONA GŁOWA HYDRY

Unicestwienie Al-Baghdadiego było potężnym ciosem dla zwolenników tzw. Państwa Islamskiego. Wybuch rozerwał bowiem na strzępy człowieka, który był nie tylko jednym z liderów, ale samym założycielem islamskiego kalifatu. Człowieka, który chciał podbić cały świat i siłą wszędzie wprowadzić islam. I który w szczytowym momencie rozwoju tzw. Państwa Islamskiego stał na czele organizacji sprawującej kontrolę nad terenami rozciągającymi się od północy Syrii wzdłuż rzek Tygrys i Eufrat aż do przedmieść Bagdadu.

Likwidacja lidera organizacji terrorystycznej była potężnym ciosem dla tzw. Państwa Islamskiego. W wyniku akcji z 26 października Amerykanie zyskali tak dużo informacji wywiadowczych, że już dzień później, z pomocą sił kurdyjskich, zlikwidowali w Syrii najważniejszego zastępcę Abu Bakra al-Baghdadi. – Najprawdopodobniej zająłby najwyższe stanowisko. Teraz i on nie żyje – ogłosił

prezydent Donald Trump. USA nie podały nazwiska, ale zapewne chodziło o Abu al-Hasana al-Muhadzira, dawnego rzecznika tzw. Państwa Islamskiego i jednego z głównych propagandystów Daesz, który sprawnie zachęcał kolejnych muzułmanów do przeprowadzania zamachów terrorystycznych. Zdobyte informacje mogą ułatwić neutralizację kolejnych członków ISIS. Na początku listopada tureckie wojska złapały np. starszą siostrę Al-Baghdadię. Rasmiya Awad jest obecnie przesłuchiwaną przez – znanych ze swej skuteczności podczas przesłuchań – Turków i zapewne wyjawia kolejne ważne szczegóły.

Oslabione tzw. Państwo Islamskie nadal jednak funkcjonuje. Jego agencja prasowa – Al-Furqan Foundation – potwierdziła śmierć Al-Baghdadię oraz Al-Muhadzira, jednocześnie nadając informację o wyborze przez szurę nowego przywódcy. To zła wiadomość, zwłaszcza dla mieszkańców Europy i Stanów Zjednoczonych. Nowy lider ISIS będzie starał się udowodnić, iż zasługuje na bycie szefem. Jak może to zrobić? Oczywiście przez przeprowadzenie okrutnej rzezi „niewiernych”. Zdaniem amerykańskich, brytyjskich i bliskowschodnich ekspertów w ostatnich dniach znacząco wzrosło więc ryzyko nowej fali zamachów terrorystycznych.

ISIS KONTRA AL-KAIDA

Kim jest nowy przywódca ISIS? Nie wiadomo i jego tożsamości długo możemy nie poznać. Przedstawiciel tzw. Państwa Islamskiego ogłosił jedynie, że jest „uczonym uczonych, emirem emirów wojny” i że ma duże doświadczenie w walce z „krzyżowcami”. Jego pseudonim brzmi Abu Ibrahim al-Haszami al-Kurajsi. Część mediów spekuluje, że takie imię wybrał sobie Abdullah Kardasz. Były oficer irackiej armii Saddama Husajna siedział z Al-Baghdadem w prowadzonym przez Amerykanów więzieniu Camp Bucca. To doświadczony terrorysta, który zanim przystąpił do tzw. Państwa Islamskiego, działał w Al-Kaidzie. Jego pseudonim Al-Kurajsi ma sugerować, że wywodzi się z beduińskiego plemienia Kurajszystów, które przed wiekami zamieszkiwało okolice Mekki i z którego wywodził się sam prorok Mahomet. Takie pochodzenie w oczach islamistów daje mu duchową legitymację do prowadzenia światowej świętej wojny. Z pewnością jest się czego bać. Wielu doświadczonych w boju w Iraku i Syrii islamistów wróciło już bowiem do Europy lub jest w drodze na Stary Kontynent. Jeden rozkaz może

sprawić, że uśpieni agencji ISIS w społecznościach muzułmańskich przeprowadzą śmiertelne ataki w europejskich miastach, a także na terenie Stanów Zjednoczonych.

– Jesteście pośmiewiskiem narodów. Wasz los jest w rękach głupiego starca, który zasypia z jedną decyzją, a budzi się z inną. Nie bądźcie tacy szczęśliwi ani aroganccy. Nie rozumiesz, Ameryko, że Państwo Islamskie stoi na progu Europy i środkowej Afryki? Trwa i się rozszerza – zwrócił się do Amerykanów nowy lider ISIS, którego siły szacuje się na ok. 15 tys. żołnierzy na Bliskim Wschodzie oraz ok. 5 tys. doświadczonych bojowników z europejskimi paszportami.

CIA oraz inne służby państw zachodnich starają się też pamiętać o nieustannej rywalizacji między tzw. Państwem Islamskim a np. Al-Kaidą, której ISIS do 2010 r. było tylko gałęzią.

Stworzona w 1988 r. Al-Kaida – islamskich terrorystów mocno wspierała wówczas amerykańska CIA – początkowo walczyła z Sowietami. Szybko celem jej bojowników stała się jednak walka z rosnącymi wpływami Izraela i Stanów Zjednoczonych. Najbardziej spektakularną akcją Al-Kaidy były zamachy na Waszyngton i Nowy Jork we wrześniu 2001 r., które kosztowały życie niemal 3 tys. osób.

Od tego czasu Osama bin Laden, saudyjski milioner i legendarny przywódca Al-Kaidy, często bywał o krok od śmierci. Ostatecznie Amerykanom udało się go zlikwidować w maju 2011 r. podczas trwającej 40 minut operacji przeprowadzonej przez żołnierzy elitarniej jednostki US Navy SEALs w wartej milion dolarów trzypiętrowej rezydencji w miejscowości Abbottabad, 50 km na północ od stolicy Pakistanu. W akcji brało udział kilka śmigłowców, samoloty zwiadowcze oraz latające czołgi AC-130.

Oddział nie poniósł żadnych strat w ludziach, choć strącono jeden śmigłowiec. Komandosi zabrali zwłoki i zabrali je do bazy w Afganistanie, gdzie badania DNA potwierdziły tożsamość terrorysty.

Wraz z 54-letnim szefem Al-Kaidy zlikwidowali też kilka innych osób, w tym jego syna. Komandosi z Delta Force już jesienią 2001 r. w górach Tora Bora znajdowali się zaledwie kilkaset metrów od kryjówki Osamy bin Ladena. Przekupni afgańscy żołnierze sprawili jednak, że ranny przywódca Al-Kaidy wydostał się z obławy, przeszedł operację w pakistańskim szpitalu, a następnie do końca życia chroniony był przed Amerykanami przez wywiad wojskowy

Pakistanu. Agencji CIA na ślad ówczesnego terrorysty nr 1 wpadli dopiero w sierpniu 2010 r., gdy ustalili, że główny kurier Al-Kaidy mieszka w Abbottabad w rezydencji, na którą nie stać by było kuriera i jego brata. Analitykom wywiadu podejrzanę wydały się też wysokie, czterometrowe mury otaczające posiadłość oraz specjalnie zabezpieczona brama. Po dłuższej obserwacji zauważono także, że mieszkańcy rezydencji nie wyrzucają żadnych śmieci i zamiast tego wszystko palą w piecu.

PORNO U OSAMY BIN LADENA

Zlikwidowanie Osamy bin Ladena świętowano w całej Ameryce. Część komentatorów porównywała sukces amerykańskiego wywiadu do zwycięstwa USA w II wojnie światowej. Po atakach z 11 września bin Laden był bowiem uznawany za najbardziej nienawidzonego wroga od czasów Adolfa Hitlera. Wówczas również ciało terrorysty pogrzebano w morzu. Aby jeszcze bardziej skompromitować dawnego wroga, CIA odtajniła w 2017 r. tysiące dokumentów, w tym pliki z jego prywatnego komputera, z których wynikało, że najbardziej poszukiwany islamski radykał uwielbiał zachodnie filmy (oglądał m.in. „Jasia Fasole” i „Epokę lodowcową”), gry (m.in. „Sniper Elite”) oraz filmiki pornograficzne.

Wkrótce po zabiciu Osamy Amerykanom udało się skutecznie zapolować na ludzi z kierownictwa Al-Kaidy: sprawnie zgłazdili m.in. zastępcę Osamy i głównego stratega organizacji Abu Jahję al-Libiego oraz głównego propagandystę Anwara al-Awlakiego. We wrześniu 2019 r. Amerykanie dopadli zaś z powietrza Hamzę bin Ladena – syna Osamy bin Ladena, nazywanego przez sympatyków Al-Kaidy „młodym lwem z jaskini”, który oficjalnie na globalną listę terrorystów trafił dopiero dwa lata temu (w lutym tego roku za informacje prowadzące do jego schwytania lub zabicia rząd w Waszyngtonie obiecywał 1 mln dol. nagrody). Mniej więcej 30-letni Hamza bin Laden konsekwentnie i po cichu odbudowywał potęgę organizacji terrorystycznej, która zdobywała coraz więcej sympatyków w Afganistanie, Jemenie oraz w krajach afrykańskich.

Po tym ataku ze starych liderów został już tylko Egipcjanin Ajman az-Zawahiri, który jest jednak ponoć w kiepskim stanie zdrowia, więc nie może sprawnie kierować organizacją terrorystyczną. Po osłabieniu Państwa Islamskiego Al-Kaida może jednak wrócić do gry.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



GRETA ZNÓW POPŁYNIE

Dziewczyna z warkoczycami, która nie chodzi do szkoły, bo walczy o klimat Ziemi, niedawno popłynęła ze Szwecji do USA jachtem. Wybrała tak, by nie latać samolotem, który – jak wiadomo – niszczy klimat. Przez Stany zamierzała dotrzeć na szczyt klimatyczny w Chile. Jednak szczyt przeniesiono do Hiszpanii. „Okazało się, że przepłynęłam pół świata w złym kierunku” – napisała Greta na Twitterze. I zapytała, czy ktoś nie mógłby sfinansować jej drugiego rejsu – z USA na Półwysep Iberyjski. Hiszpański rząd zadeklarował pomoc.

FOT. PAUL CHASSON / ZUMA PRESS / FORUM

SZKOLNA ZMIANA KLIMATU

Włoski minister edukacji Lorenzo Fioramonti sam we wrześniu zachęcał uczniów, by udali się na wagary, aby uczestniczyć w tzw. strajku klimatycznym. Teraz poszedł dalej. Ogłosił, że wszystkie państwowe szkoły obowiązkowo będą poświęcać średnio jedną godzinę w tygodniu na nauczanie o zmianach klimatycznych. Minister Fioramonti ma jeszcze inne pomysły na edukację. Jednym z jego ważniejszych planów jest... usunięcie krzyży z klas.

POLICJA NAKAZAŁA PUŚCIĆ ZŁODZIEJA

Właściciel sklepu w holenderskim mieście Stadskanaal zawiadomił policję, bo jego pracownicy przyłapali na gorącym uczynku złodzieja. Funkcjonariusz poradził mu, żeby go wypuścić. Tłumaczył, że nie ma akurat żadnego wolnego radiowozu, więc nikt sprawę się nie zajmie. Tyle że posterunek policji znajduje się w bliskim sąsiedztwie sklepu. Po tym, jak sprawa została nagłośniona przez media, rzecznik holenderskiej policji zapowiedział, że ten incydent zostanie wyjaśniony.

GANG ASFALTOWY LEJE SMOŁĘ

We Włoszech grasuje „gang asfaltowy”. W różnych regionach kraju pojawiają się „budowlańcy”, którzy informują mieszkańców, że po przeprowadzeniu dużej inwestycji zostało im trochę asfaltu. I że mogą go odsprzedać w niskiej cenie. Zwykle znajduje się ktoś, kogo gubi chciwość. „Budowlańcy” wylewają asfalt, inkasują gotówkę i znikają. Po kilku dniach okazuje się, że asfalt nie robi się twardy. Bo to smoła zmieszana z kamieniami. Bardzo droga smoła.

POŻERANIE NA EKRANIE

Dziwaczny trend internetowy – pokazywanie na żywo ludziom, jak zjada się sporo kalorii – dotarł do Europy. Niejaka Charna Rowley z Londynu rzuciła pracę w administracji, by jako youtuberka zjadać przed kamerką jedzenie z fast foodów. Podczas jednej sesji potrafi wchłonąć ok. 5,5 tys. kcal. Na ekranach ogląda to średnio 40 tys. widzów. Rowley zamierza się „rozwijać” i planuje dobić do rekordu – chce jednorazowo zjeść nawet 10 tys. kcal. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ponowne Tuska Nadejście odwołane

No i się ryło. Nie przygłupuje Tusk na białym koniu. Rowerem nawet nie przyjedzie. Nie żeby było to jakieś wielkie zaskoczenie. Tym razem żadna okładka wprawdzie nie przekonywała, że „Tusku, musisz!”, jednak też nic by to nie dało, bo rzecz w tym, że Tusk nie musi i nie chce i byłby głupi, gdyby chciał.

Najzabawniejsze w tym wszystkim nie było nawet to, że – jak się wydaje – istniała jakaś grupa, przypominająca sekty millenarystów,

która naprawdę wierzyła w Ponowne Tuska Nadejście i w to, że wówczas rykną trąby, Bestia Kaczystowska zostanie pokonana ostatecznie, a Tusk rządził będzie po wsze czasy i na wieki wieków. Najzabawniejsze było natomiast, że nastąpiła rzadka zgoda ponad podziałami pomiędzy tymi, co w Tusku pokładali swoje nadzieje, i tymi, dla których jego powrót jednak byłby jakimś kłopotem – czyli zwolennikami władzy. Oto bowiem i jedni, i drudzy zaczęli pokrzykiwać, że Tusk stchórzył. Z tym

że jedni pokrzykiwali z rozpaczą i zawodem, a drudzy ze złośliwą satysfakcją.

To oczywiście nieprawda – Tusk nie stchórzył, tylko przekalkulował, może wysondował tu i ówdzie swoje dalsze możliwości, zlustrował, o ile przez ostatnie pięć lat powiększyła mu się kolekcja cygar i butelek fiskacza, po czym z całkowitą trzeźwością umysłu pomyślał to, co pomyślałby każdy rozsądny człowiek na jego miejscu: „Wracać? A po co mi to?”. ©©



FOT. ADRIAN STOK

„Uwalnianie” dzieci od płci



Piotr Włoczyk

Coraz młodsze dzieci stają się ofiarami zachodnich specjalistów od gender, którzy chcą im pomagać w „tranzycji płciowej”. Amerykańską prawicą wstrząsnęła ostatnio historia siedmioletniego Jamesa z Teksasu, którego matka zaczęła przerabiać na dziewczynkę

Anne Georgulas twierdzi, że wszystko zaczęło się od wizyty w jednej z popularnych sieci fast foodu. Jej trzyletni wówczas syn miał się upierać, że chce zabawkę dla dziewczynek. To wtedy matka miała po raz pierwszy stwierdzić, że jej syn może być w rzeczywistości dziewczynką. Według jej wersji James zaczął w niedługim czasie ubierać się w damskie ubrania i bardzo chętnie wcielał się w role żeńskich bohaterów bajek. Miał też doma-

gać się, by zwracano się do niego Starfire (imię bohaterki jednej z kreskówek) zamiast James.

Po konsultacjach ze specjalistami Anne Georgulas – sama jest pediatrą – postanowiła puszczać syna do szkoły w spódniczkach i zaczęła wymagać, by dorośli zwracali się do jej dziecka Luna (matka stwierdziła, że Starfire brzmi mało poważnie, więc sama podsunęła Jamesowi to imię). Matka mówi, że na razie (!) nie zamierza wprowadzać do

organizmu syna tzw. blokerów dojrzewania, co jest o tyle oczywiste, że na tym etapie rozwoju nikt tego nie robi. Specjaliści od gender zalecają stosowanie ich u dzieci z „problemami z tożsamością płciową” dopiero w momencie, gdy dziecko zaczyna dojrzewać (żeby nie wykształciło cech typowych dla swojej płci, co ma pomagać w „tranzycji”). Gdyby miało do tego dojść, czeka to Jamesa za niespełna cztery lata.

Sprawa przerabiania małego Teksaszczyka na dziewczynkę zrobiła się tak bardzo medialna, ponieważ jego ojciec, Jeffrey Younger, nie wierzy, że jego syn nie jest chłopcem, i z wielką determinacją starał się zainteresować całą historią media. Rodzice bliźniaków – James ma brata – zaczęli walczyć przed sądem w Dallas o wyłączenie prawa do decydowania o przyszłości chłopców.

Matka argumentowała, że to nie-dopuszczalne, by ojciec wciąż zwracał się do syna per James zamiast Luna, ponieważ rani w ten sposób ich dziecko. Kobieta domagała się również przed sądem, by w czasie ich spotkań ojciec chronił dziecko przed kontaktem z ludźmi, którzy nie akceptują imienia Luna.

ALARM DLA KOŚCIOŁÓW

„W Teksasie, w którym ja dorastałem, oddalibyśmy dziecko w takiej sytuacji drugiemu rodzicowi. Nie tolerowalibyśmy takiego szaleństwa. To pokazuje, jak

bardzo zmieniło się nasze społeczeństwo. Mam nadzieję, że będzie to dzwon alarmu dla Kościołów, by obudziły się i wyszły na ulice, żeby zmierzyć się z tymi tematami” – mówił w czasie procesu Jeffrey Younger.

Adwokaci matki przedstawiali go jako człowieka z problemami psychicznymi, który chce mieć wszystko pod swoją kontrolą i wykorzystuje całą sprawę w celach politycznych – Younger nie ukrywa bowiem w wywiadach, że jego zdaniem coraz częstsze przypadki „zmiany płci” u dzieci to jeden z efektów wprowadzania skrajnie lewicowej agendy politycznej. Ojciec podkreśla, co potwierdzają też jego znajomi, że James w jego obecności zachowuje się jak zwykły chłopiec i nie ma problemu z tym, że zwraca się do niego James. Jeffrey Younger uważa, że za wszystko odpowiada jego była żona, która ma – jego zdaniem – manipulować chłopcem.

Według adwokatów Anne Georgulas to ojciec, a nie matka, zagraża dziecku. Ona z kolei jest w ich opinii osobą empatyczną i czułą, chociaż prowadząca sprawę sędzia wyraźnie podkreśliła słowa matki, która sama przyznała w czasie procesu, że jej „akceptujące” podejście mogło być momentami „zbyt przesadzone”.

W czasie procesu wypowiadało się wielu specjalistów od ideologii gender, powołanych przez obrońców Anne Georgulas, którzy przekonywali, że już kilkuletnie dzieci bywają „zamknięte w nie swoich ciałach” i trzeba powoli pomóc im „uwolnić się” z tych „płciowych kajdan”.

Jednym z ekspertów doradzających matce w sprawie przyszłości dziecka była Rebekka Ouer, psycholog pracująca w Tęczowej Poradni z Dallas. Nazwa tego ośrodka mówi wszystko na temat jej nastawienia. To właśnie ta psycholog doradziła matce, by rozpocząć proces „afirmacji” od ubierania chłopca w dziewczęce ubrania. Według Ouer „płeć jest w mózgu”, co jest zresztą jednym z fundamentów ideologii gender. Z kolei wypowiadający się przed sądem pediatrzy – wspierający wybór matki – przekonywali, że płciowość to bardzo płynne zjawisko.

Nietrudno się dziwić, że cała sprawa, jeszcze przed werdyktem, wywołała olbrzymie oburzenie na amerykańskiej prawicy. Uaoczniała bowiem, jak silna instytucjonalnie stała się ideologia gender. Republikański senator Ted Cruz napisał na Twitterze: „To potworne i tragiczne.

Jeżeli rodzic poddaje małemu dziecku blokery hormonalne, które kompletnie zmieniają życie, by medycznie zmienić jego płeć, to jest to nic innego, jak tylko znęcanie się nad dzieckiem”. Do sprawy odniósł się również senator Rand Paul: „Nie pozwalamy dzieciakom pić alkoholu aż do 21. roku życia. Niektórzy chcą, by palenie było legalne dopiero od 21. roku życia. A mimo to pozwolimy, by zmieniać życie i ciało siedmiolatka w ten sposób? To znęcanie się nad dzieckiem i państwo powinno stanąć za ojcem, który chce ochronić swoje dziecko”.

Gubernator Teksasu Greg Abbott ogłosił, że sprawie chłopca przyjrzą się stanowa prokuratura oraz Teksasński Departament Rodziny i Służb Społecznych. Prokurator generalny Teksasu Ken Paxton stwierdził z kolei wprost, że „dzieci w centrum tego sporu znajdują się w bezpośrednim niebezpieczeństwie”. Republikańscy politycy z Teksasu wzywają władze federalne do zablokowania możliwości podawania dzieciom tzw. blokerów dojrzewania.

Ostatecznie prowadząca sprawę sędzia zadecydowała pod koniec października, że o przyszłości Jamesa i jego brata rodzice mają decydować wspólnie, co oznacza, że ojciec będzie w stanie zablokować plany matki (część polskich mediów podała błędnie, że sędzia przyznała rację matce).

„EKSPLOWANIE TOŻSAMOŚCI”

Spór małego Jamesa gorąco komentowała również amerykańska lewica obyczajowa, pokazując tę sprawę jako szczyt nietolerancji (ze strony ojca oraz prawicowych polityków i komentatorów) wobec cierpiącego dziecka.

Przykładowo „The New York Times” jako pewnik podawał opinie, według której również małym dzieciom trzeba „pomagać” w transycji między płciami: „Ekspersi twierdzą, że najlepszym sposobem opieki nad dziećmi przed okresem dojrzewania, które mogą być transpłciowe, jest wsparcie ich wyborów i danie im przestrzeni do eksplorowania ich tożsamości”. Równocześnie jednak nowojorski dziennik sam przywołał głos eksperta, który stwierdził, że choć działania blokerów dojrzewania jest w pewnym stopniu możliwe do odwrócenia, to grozi wieloma niebezpieczeństwami, takimi jak choćby utrata płodności.

Powołanie się przez „NYT” na opinie „ekspertów” jest o tyle trudne do zakwe-

stionowania, że rzeczywiście Amerykańska Akademia Pediatryczna, działająca od roku 1930, wydała rok temu zalecenia, by w takich przypadkach lekarze wspierali „doświadczenia płciowości” przeżywane przez dzieci. Innymi słowy – jeżeli siedmiolatek twierdzi, że czuje się dziewczynką, to należy u niego taką myśl pielęgnować.

TAKA MODA

Jak pokazuje historia małego Jamesa, pół biedy, kiedy tylko jeden z rodziców upiera się, że jego dziecko zamknięte jest w niewłaściwym ciele. Przy determinacji drugiego rodzica możliwe jest powstrzymanie krzywdzenia dziecka. Gorzej, jeżeli „postępowi” są zarówno ojciec, jak i matka, a wszyscy specjaliści utwierdzają ich w przekonaniu, że trzeba dziecku pomóc „uwolnić się” od złej płci... Sprawę dodatkowo komplikuje to, że coraz więcej amerykańskich gwiazd zaczyna się doszukiwać „niewłaściwej płci” u swoich pociech, a historie tych przemian przedstawiane są przez mainstreamowe media w jak najbardziej pozytywnym świetle. Ideolodzy gender bodaj najczęściej zawdzięczają w tej kwestii aktorce Charlize Theron, która opowiada w mediach, jak wspaniale jest wychowywać jako dziewczynkę siedmioletniego adoptowanego syna, w którym „odkryła” przeciwną płeć.

– To szaleństwo narasta, bo niestety zaczyna to być modą. W najbardziej „postępowych” kręgach naszego społeczeństwa jeżeli rodzic mówi swoim znajomym, że jego dziecko jest najprawdopodobniej transpłciowe, to jest to – choć ciężko w to uwierzyć – uznawane za objaw mądrości. „To ci mądrzy, otwarci rodzice, którzy zauważyli, że ich syn to tak naprawdę dziewczynka, i pozwalają dziecku podążać w kierunku wolności” – powiedział „Do Rzeczy” Walt Heyer, Amerykanin, który przestrzega ludzi przed zagrożeniami związanymi ze „zmianą płci”. Heyer przeżył to wszystko na własnej skórze – operacyjnie okaleczył się, by wyglądać jak kobieta, a następnie – po wyleczeniu swoich zaburzeń psychicznych – przeszedł powrotną drogę. – Jeżeli dasz dziecku klapsa, to przyjedzie do twojego domu policja i może się to skończyć aresztem. Ale jeżeli pozwolisz okaleczyć swoje własne dziecko, to jesteś uznawany – na szczęście jeszcze nie wszędzie – za wspaniałego i tolerancyjnego rodzica.



Z Jadwigą Emilewicz,
minister przedsiębiorczości i technologii
rozmawia Marcin Makowski

Polska

zrywa z modelem taniej imitacji Zachodu

FOT. MAREK WISNIEWSKI/POLSKA BIZNESU/FOTUM

MARCIN MAKOWSKI: Czy przeczuciła się pani ostatnio z polityki na publicystkę?

JADWIGA EMILEWICZ: Nie, dlaczego? Myślę, że to była właśnie odwrotna droga, którą wybrałam cztery lata temu. Czasami korci, żeby wrócić, ale...

Może jest bliżej, niż się wydaje? „Od projektów ustaw podatkowych jest Ministerstwo Finansów, ale jeżeli ktoś lubi zajmować się publicystyką, to niech się zajmuje” – tak minister Jerzy Kwieciński skomentował pani słowa o możliwym nowym podatku od sklepów wielkopowierzchniowych.

Proponuję na początku coś uściślić – przecież podatek od handlu detalicznego nie jest dla rządu niczym nowym. Jego zakres ustaliliśmy na początku pierwszej kadencji, ale Komisja Europejska uznała, że

stanowi niedozwoloną pomoc. W tej sprawie trwa spór z Komisją, choć Trybunał Sprawiedliwości w maju wypowiedział się, wskazując na błąd KE, więc do czasu jego rozstrzygnięcia musieliśmy się z ustawy wycofać. Nie zmienia to jednak faktu, że wiosną tego roku zaczęliśmy przeglądać rozwiązania alternatywne – już funkcjonujące w państwach Unii Europejskiej. Naszą uwagę w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii zwrócił zwłaszcza tzw. congestion tax, czyli opłata kongestywna.

Trudna nazwa na obłożenie dodatkową daniną „uciążliwości środowiskowej oraz dla tkanki miejskiej”, jaką tworzą takie hipermarkety.

W dużym skrócie tak. Chociaż nazwa skomplikowana, to rozwiązanie proste

i – mimo sprzeciwów przedstawicieli sklepów wielkopowierzchniowych – zostało zaakceptowane przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Chcę jednak podkreślić, że nie mamy w tej chwili żadnego projektu podatku, a właściwie opłaty środowiskowej. Rozumiem jednak, że moja wypowiedź wywołała burzę, ale jej skala jest nieproporcjonalna do sytuacji.

Dziwi się pani? W końcu mówimy o rozwiązaniu wprowadzanym post factum. Ktoś wydawał zgody na budowy sklepów w takim, a nie innym miejscu, dlatego właściciele mieliby teraz płacić za uciążliwość?

Przyznaję, że powinnam być bardziej precyzyjna w tej kwestii i przede wszystkim wyraźnie podkreślić, że żadne

rozwiązanie nie zostanie przygotowane bez wcześniejszych konsultacji z wszystkimi zainteresowanymi stronami. Tym bardziej że w naszym resorcie bardzo pilnujemy, aby każda nowa ustawa była w pełni skonsultowana ze środowiskiem, którego dotyczy, zanim zostanie wprowadzona w życie.

Mówi pani „opłata środowiskowa”, a nie „podatek”, ale jaka to różnica z perspektywy konsumenta, jeśli zostałaby ona najpewniej przerzucona na niego w podwyżce cen produktów spożywczych?

Tak jak już podkreślałam, nie ma obecnie tematu wprowadzenia żadnej nowej opłaty czy podatku dla dużych sklepów. Co nie zmienia faktu, że właściciele tych sklepów zawsze, kiedy rozpoczyna się dyskusja nad ich opodatkowaniem, straszą wzrostem cen, czyli przerzuceniem swoich dodatkowych kosztów na konsumentów. Podobnie było w przypadku tzw. podatku handlowego, który wciąż czeka na ostateczny werdykt TSUE. Przypomnijmy więc ponownie nasze argumenty, że sklepy wielkopowierzchniowe, które pojawiły się w Polsce w latach 90., bardzo hojnie korzystały z efektu skali, który dał im 38-milionowy rynek, a ich obciążenia podatkowe wydawały się nieadekwatne do korzyści, jakie osiągały właściciele tych sklepów. To właśnie mała przedsiębiorczość od początku zwracała uwagę, kiedy samorządy na lewo i prawo wydawały zgody na budowę wielkich sklepów w centrach miast, że ona ostatecznie najbardziej ucierpi na zmianie struktury handlu detalicznego.

Tak czy inaczej, podatku od sklepów nie ma, tak samo jak indywidualnego opodatkowania gigantów technologicznych w Polsce.

W tej chwili jedynie cztery państwa członkowskie wprowadziły tzw. digital tax. My się z naszej zapowiedzi nie wycofujemy i prace nad podatkiem od usług cyfrowych zapowiedział niedawno minister Marek Zagórski. To jest sytuacja porównywalna do hipermarketów. Wiele firm z branży IT wykorzystuje swoją uprzywilejowaną pozycję, właściwie uniemożliwiając pojawienie się konkurenta. Wolny rynek działa tak długo, jak długo możliwa jest uczciwa konkurencja.

Wracając jeszcze do handlu, czy prawdą jest, że rząd pracuje nad projektem zniesienia zakazu pracy w niedziele dla studentów i emerytów w spożywczych sklepach franczyzowych?

Rząd nie pracuje nad takim rozwiązaniem ani nad żadnym innym. Rok 2020

będzie pierwszym, w którym ustawa będzie obowiązywała w swojej ostatecznej formie. To dobry moment na ocenę, jak nowe rozwiązanie wpłynęło na gospodarkę, zachowania konsumenckie czy inne kwestie społeczne. Dopiero po dokonaniu pełnej ewaluacji będzie można podejmować ewentualne decyzje, czy istniejące rozwiązania będą wymagały korekt. Przyznam, że słyszałam już o tym postulacie, który jest mocno promowany przez jedną z sieci franczyzowych.

Czy jest jednak sensowny?

Na pewno sytuacja, w której zachęcamy emerytów do dłuższej aktywności zawodowej, jest pożądana społecznie. To norma w Europie Zachodniej, która potrafi wprowadzać starsze osoby do tkanki społecznej i znajdować dla nich miejsca zatrudnienia, ułatwiać mobilność, aktywizować. Szczegółowych rozwiązań prawnych, o których pan mówi, jednak nie widziałam, dlatego na razie wstrzymam się z oceną ich sensowności.

Mówi pani o aktywizowaniu osób starszych, ale wcześniej w Radiu ZET stwierdziła pani, że w tym temacie „Radę Dialogu Społecznego przy prezydencie czeka trudna dyskusja”. To również wzbudziło sporo kontrowersji i spekulacji, z chęcią podwyższenia wieku emerytalnego włącznie.

Moje słowa zostały źle zinterpretowane. Temat wieku emerytalnego jest zamknięty. Nasz rząd go obniżył i to jest status quo. Czym innym jest natomiast dyskusja o systemie ubezpieczeń społecznych i wysokości składek w kontekście struktury demograficznej w Polsce i Europie.

Chce pani zachęcać starsze osoby do pracy w ramach „srebrnej ekonomii”. Jak miałyby te zachęty wyglądać?

Nie mamy jeszcze gotowych propozycji, niemniej wyzwania są rozpoznane. Rekordowo niskie bezrobocie sprawia, że ręce do pracy są niezwykle potrzebne. Jest kilka możliwych scenariuszy zachęt, z wprowadzeniem ulg dla pracodawców, którzy chcieliby zatrudniać emerytów, oraz dla samych emerytów. Zresztą już teraz MPiT prowadzi działania na rzecz promocji przedsiębiorczości osób starszych. Organizujemy konferencje i seminaria, a także przygotowujemy analizę barier, które utrudniają osobom 50+ kontynuację i rozpoczęcie działalności gospodarczej. W zależności od uzyskanych wyników będziemy podejmować dalsze działania.

Zostawmy już kwestie składek i podatków, bo zanudziły czytelników, i przejdźmy do rzeczy naprawdę ważnych. Jest pani ministrem, ministram czy ministerką?

[Śmiech] Polska norma językowa nie pozostawia tutaj wątpliwości – jestem ministrem. Wychowana przez profesorów Pisarka i Bralczyka na lekcjach retoryki na UJ, nie umiałabym mówić inaczej. Dobrze się czuję z określeniem „pani minister”.

Wspomniany prof. Jerzy Bralczyk stwierdził jednak kilka dni temu w TVN, że język ewoluuje, a te formy mu się podobają, bo nie możemy się bać używać w obecnych czasach feminatywów. Może jednak trzeba iść z duchem czasu?

Jednak podziękuję i zostanę przy swoim. Minister, oznaczający w języku łacińskim „sługę”, niech zostanie ministrem.

Agata Szczęśniak z „Krytyki Politycznej” nie zgodziłaby się z panią. Jej zdaniem badania dowodzą, że gdy dane funkcje i zawody nie mają nazwy w formie żeńskiej, mniej kobiet je wykonuje. Może gdyby były „górniczki”, mielibyśmy więcej kobiet fedrujących węgiel?

Teza z gruntu nieprawdziwa. W Polsce jest więcej kobiet informatyków niż w większości państw Europy. Nie sądzę, aby powód leżał w tym, czy ktoś jest określany jako „informatyczka”, bo forma u nas nadal mało popularna. Kobiety w Polsce są racjonalne i potrafią dokonywać wyborów kariery bez konieczności wprowadzania, często na siłę, czasami kuriozalnie brzmiących feminatywów.

Żarty żartami, ale ten temat to być może jeden z pierwszych sygnałów, że wchodzimy w nowy tryb dyskusji parlamentarnych? Będziemy skazani na spory światopoglądowe, z przerobieniem w przyspieszonym trybie tematów z agendy ideologicznej lewicy: aborcji, eutanazji, laicyzacji?

Pytanie, czy one są gdzieś definitywnie i raz na zawsze „przerobione”? Ucieczki od sporu światopoglądowego nie ma. Czy te płyty tektoniczne w Polsce zetrą się ze sobą ze zdwojoną siłą, nie wiem. Niewątpliwie żyjemy w czasach kwestionowania paradygmatu końca historii, której zwieńczeniem miała być demokracja liberalna. Wystarczy poszukać podstaw ruchu „żółtych kamizelek” we Francji czy fali kontestacji wyrażonej wynikami w wyborach landowych w Niemczech. Liberalna Europa jest dzisiaj w kryzysie, ale wątpię, abyśmy u nas w kraju powtarzali echo sporów, które kilkanaście lat temu zmieniały Stary Kontynent. Polska zrywa z modelem

taniej imitacji Zachodu i może stanowić mocny głos w dyskursie o odrodzeniu Europy.

Czy Zjednoczona Prawica jako blok trzech partii jest gotowa na te zmiany? Pod względem pokoleniowym, ideowym? Mówimy przecież o walce o nowego wyborcę na często nowych terenach: środowiskowych, miejskich, związanych z seksualnością człowieka.

Zgadzam się, że jako prawica nie możemy kapitulować w sporze, o którym mówimy, i odstępować bez walki tych pól, na których on się dzisiaj toczy. Nie możemy biernie przyglądać się Lewicy idącej na zwanie z Konfederacją. Dlaczego? Jeśli przeanalizujemy dokładnie pulę głosów i profil ideowy wybranych posłów, większość Polaków stawia na republikański umiar. Jeśli dodamy elektoraty PiS i PSL, a ludowców po korekcji programowej dokonanej przez Władysława Kosiniaka-Kamysza po wyborach europejskich zaliczam do grona racjonalnych konserwatystów, „mamy” przecież ponad połowę kraju.

A co z Platformą Obywatelską? Przecież to nie jest partia rozszalałych liberałów.

To prawda. Gdyby Grzegorz Schetyna zapytał sam siebie, jakie ma poglądy na podstawowe kwestie światopoglądowe, bliższy byłby politykom Zjednoczonej Prawicy niż Razem czy SLD. A jednak jego dramat polega na tym, że pcha opozycję w ich objęcia. Balansowanie KO na granicy wyrazistości ideowej sprawiło, że zyskują na tym partie, które nie mają problemu z tym, żeby – cytując Billa Clintona – palić i się zaciagać. Widzimy ten trend, identyfikujemy nowe zagadnienia i zdajemy sobie sprawę z konieczności dokonania zmiany pokoleniowej, aby wiarygodnie zabierać głos w dyskusji.

Zmiana pokoleniowa sama z siebie niczego nie zmienia, jeśli młodzi politycy nie będą samodzielni. Czy z nimi może wejść do Sejmu np. dyskusja na temat konserwatywnej ekologii? Tak aby nie oddawać tej przestrzeni bez walki.

Nie tyle może, co musi, i to już się dzieje. Temat walki ze smogiem podniósł nasz rząd...

Dopiero wtedy, kiedy po latach alarmowania o problemie ze strony aktywistów miejskich z Krakowa, których nikt nie słuchał, smog doleciał do Warszawy.

To nie do końca prawda, bo jeszcze jako radna sejmiku małopolskiego doprowadziłam do jednoślownego przyjęcia

uchwały antysmogowej. Dialog z Krakowskim Alarmem Smogowym prowadziliśmy jako Porozumienie, zanim zostałam posłem. Powietrze, którym oddychamy, jest rzeczą obiektywną, to nie miejsce na spory partyjne. Musimy na prawicy zrozumieć, że ekologia czy wątki miejskie nie są z istoty lewicowe. Ba, lewicowa ekologia zbankrutowała, zatracając się w ideologii, która jest antyhumanistyczna. Chcąc uzdrowić Ziemię, zapomniła, że człowiek ma na niej uprzywilejowane miejsce i te zmiany nie mogą go pomijać. To jest rola chrześcijaństwa i prawicy, aby przypominać o właściwej hierarchii celów. Warto przypomnieć sobie, co to znaczy „czynić sobie ziemię poddaną”, również w kontekście odpowiedzialności za nią. Od Jana Pawła II do Franciszka mamy ten sam cel – odbijać utracone, „zielone” przyczółki. To również „Zielona filozofia” Rogera Scrutona, ekologia integralna prof. Chantal Delsol czy wydana niedawno „Boska Ziemia” o. Stanisława Jaromiego. Mamy z czego czerpać.

Takie subtelności intelektualne w politycznej piramidzie Masłowa są jednak na samej górze – u jej podstaw leży zgoda co do głównego kursu, którym partia ma podążać. Czy między PiS, Solidarną Polską a Porozumieniem zapanował już względny pokój? Z walkami frakcji na zapleczu, nawet z pięknymi hasłami na sztandarach, niewiele zwojujecie.

zadekretuje się ustawą. To skomplikowana chirurgiczna operacja. Jeśli ma się powieść, wymaga doskonałych chirurgów i bardzo precyzyjnych narzędzi. Dobrymi przykładami są ofensywa historyczna w światowych mediach w 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej czy odbudowany teatr TV, a nie próba wymuszenia jednej wizji historii ustawą. My twierdzimy, że trzeba szukać tego poparcia w dialogu z mieszkańcami miast, dzisiaj nam nieprzychylnymi, a przez to odwoływać się bardziej do racji niż do emocji i polaryzacji. Kiedyś z premierem Gowinem żartowaliśmy, że piosenka „Jestem z miasta” powinna być naszym hymnem.

Już słyszę, jak nucą ją wyborcy PiS na Podkarpaciu.

Zdziwiłby się pan, bo przedsiębiorcy z Podkarpacia, których jest mnóstwo, chętnie z nami rozmawiają, ponieważ posługujemy się tym samym językiem. Istnieje wyraźna różnica między kanapową, polityczną przystawką, której liderzy realizują prywatne ambicje, a mniejszym koalicyjnym, skutecznie realizującym założony program. Jeśli bowiem przez ten pryzmat spojrzeć na Porozumienie i nasze zaangażowanie w ramach rządu Zjednoczonej Prawicy, to skuteczności we wprowadzaniu w życie ważnych dla nas postulatów nie można nam odmówić. Może jest tak, że jako Porozumienie nie mamy ambicji

Powietrze, którym oddychamy, jest rzeczą obiektywną, to nie miejsce na spory partyjne. Musimy na prawicy zrozumieć, że ekologia czy wątki miejskie nie są z istoty lewicowe

Dyskusję programową wśród koalicjantów prowadzimy dzisiaj równolegle z dyskusją nad personaliami nowego rządu. To on ma odzwierciedlać prerogatywy programowe, co do których się zgadzamy. Gdyby pan spojrzął na spięcie i korespondencyjną wymianę zdań między Patrykiem Jakim a Jarosławem Gowinem, zobaczyłby pan, że nie różnimy się tak bardzo. Jaki dobrze zdefiniował główne osie konfliktu: uczelnia, kultura, seksualność, media. Pytanie brzmi jednak, jakiego języka i rodzaju argumentów możemy użyć, aby przekonać Polaków, że nasza oferta światopoglądowa i polityczna lepiej odpowiada duchowi praw naszej wspólnoty politycznej. Strefy kultury, edukacji nie

być już jutro największą partią prawicy, ale po prostu wypełnić pojawiającą się lukę dla aspirującej klasy średniej. Rozległa klasa średnia to gwarancja umiarkowania i braku radykalnych konfliktów. Wierzę, że w strategii długiego marszu będziemy reprezentacją takiego elektoratu.

Jak do zapowiedzi walki o wyborcę centrum mają się nominacje prof. Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza na sędziów TK? Czy były z państwem konsultowane?

Ustalenia dotyczące TK powinny stać się elementem negocjowanej obecnie umowy koalicyjnej. Sprawę głosowania za lub przeciw pozostawiamy otwartą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

PiS pomiędzy

W nowym rozdaniu parlamentarnym PiS trafił w sam środek – między socjalistów z lewicy a liberałów z prawicowej Konfederacji. Będzie więc zaciekle atakowany – z jednej strony przez zwolenników jeszcze bardziej szczodrych programów socjalnych niż te, które sam wprowadził w pierwszej kadencji, a z drugiej – przez antyrozdawniczo nastawionych posłów z Konfederacji. Obrazowo rzecz ujmując, na ewentualną, kolejną propozycję PiS następnych „500+” z jednej strony padnie pewnie kontrpropozycja „1000+”, a z drugiej – wręcz przeciwnie – by zamiast rozdawania pieniędzy podatników obniżyć o tyle samo podatki.

To całkiem nowa sytuacja, bowiem w poprzedniej kadencji w Sejmie nie było socjalistów z lewicy, a nieliczni liberałowie gospodarzy z Platformy Obywatelskiej, Nowoczesnej i od Kukiza albo nie potrafili jasno bronić swych poglądów, albo ulegli presji narzuconej przez PiS socjalnej strategii politycznej. W każdym razie niezbyt wyraźnie i tylko z rzadka było słyszeć ich głos.

Jak ta polityczna wojna totalna skończy się dla kasy państwa, czyli dla podatników? Jeśli nawet politycy PiS – dobrze znając stan państwa – będą się bardziej niż w poprzedniej kadencji miarkowali w szermowaniu socjalnymi podarkami, to ich konkurenci z lewicy – nie odpowiadając za stan budżetu państwa tak jak rządzący – nie będą mieli żadnych skrupu-

łów w licytowaniu się z PiS obietnicami. I w ustawicznym wykazywaniu, że to oni rozdadzą więcej socjału od partii rządzącej – pod jednym wszak warunkiem: że wyborcy przekażą im stery władzy. Czy PiS będzie w stanie się pohamować i nie ulec pokusie startu w takim wyścigu – zabójczym dla budżetu i kieszeni podatników?

Z tego punktu widzenia niezmiernie korzystne jest pojawienie się w Sejmie – choć mało licznej, to jednak – jak przypuszczam – grupy bardzo wyrazistych posłów Konfederacji, którzy w sprawach gospodarczych (i nie tylko gospodarczych) będą ostro – zdecydowanie ostrzej od zmajoryzowanych posłów liberałów w poprzedniej kadencji – przeciwstawiać PiS swój liberalny punkt widzenia. Będą dowodzić, kto i ile płaci za prezenty robione przez polityków. Będą podważać skuteczność takich prezentów np. w zwalczaniu biedy czy przeciwdziałaniu katastrofie demograficznej. Będą przykuwać uwagę opinii publicznej od takich pomysłów jak postulowana przez Konfederację podczas kampanii przwdwyborczej likwidacja podatku od dochodów osobistych PIT. I tak dalej.

Czy PiS wykorzysta ich aktywność do studzenia socjalnych zapędów socjalistów i własnych, czy wręcz przeciwnie – upatrując w Konfederacji swego głównego konkurenta na prawicy, będzie całkowicie dezawuował te pomysły i za wszelką cenę starał się kontynuować hojną politykę socjalną? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Impresje z Syczuanu

Od kilku dni przebywam w Chengdu w chińskiej prowincji Syczuan. Pod względem wykorzystania technologii w życiu codziennym Chiny znacznie wyprzedzają Europę. Życie Chińczyka on-line i off-line jest zanurzone w aplikacji Wechat. Gotówki w życiu codziennym prawie się nie używa, bo za wszystko płaci się telefonem. Przy czym nie ma terminali płatniczych, tak jak u nas w przypadku blika, jedyne urządzenie, które jest potrzebne, to telefon kupującego. Tutaj każdy ma swój QR kod i kupując coś w sklepie, albo kupujący skanuje QR kod sklepu, albo sklep kod kupującego, i dwoma ruchami kciuka dokonuje się płatności. Wszystko trwa kilka sekund.

Motorów i skuterów spalinowych nie ma. Wszystkie są elektryczne. Skutery poruszają się po chodnikach i ulicach bezszelestnie, więc trzeba mieć oczy dookoła głowy. Na ulicach mnóstwo marek i modeli samochodów, których wcześniej nie widziałem i nie wiedziałem, że istnieją. Casy nieudanych kopii już minęły, wiele chińskich modeli jest wizualnie bardzo ładnych. Pod maskę nie zaglądałem, ale wnętrza mają wypełnione elektroniką.

Prawie nikt nie ma swojego roweru, w mieście są setki tysięcy rowerów na wynajem, w kilku jaskrawych kolorach. Podobnie jak każda z 10 linii metra (a szybko budują kolejne) ma swój kolor. Rączki do trzymania w metrze były w kolorze danej linii, czego nie widziałem nawet w Tokio,

gdzie do estetyki wizualnej przykładła się wielką wagę.

Chińczycy bardzo dbają o kondycję fizyczną. Na ulicach i w parkach są siłownie, gdzie można zobaczyć, jak 50-latek wykonuje 20 podciągnięć na drążku bez specjalnego wysiłku. Na wielu skrzyżowaniach ulic wieczorem zbierają się kobiety w wieku od średniego do sędziwego seniora i tańczą w grupach. Codziennie. W parkach ludzie ćwiczą tai-chi i wu-shu. Co mnie zdziwiło, bo słyszałem, że Chińczycy uprawiają masowo tai-chi, ale widok kilkunastu osób w wieku na oko 50+ ćwiczących dynamiczne kopnięcia i uderzenia był sporym zaskoczeniem. Raz widzieliśmy, jak przed dużym sklepem zebrała się jego obsługa, jakieś 30 osób, i wspólnie tańczyła.

Jak mówił mi mój syn, który tutaj teraz mieszka i studiuje, mieszkańcy Chengdu uchodzą za bardzo wyluzowanych, podobnie jak pandy, które tutaj żyją w pięknym parku przypominającym parki Singapuru. Miasto rozbudowuje się w zawrotnym tempie, często widać nowoczesne wieżowce ulokowane pośród wielkopłytowej kilkupiętrowej zabudowy, którą my też dobrze znamy ze słusznie minionych czasów. Nigdzie nie widziałem tylu ścieżek rowerowo-skuterowych wzdłuż wszystkich głównych ulic.

Białych ludzi jest bardzo mało. Chiński kolega zapytał syna, dlaczego się nie przywitał, jak mijali na ulicy innego białego człowieka. Zakładał, że wszyscy się znają. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



David Koch (z prawej) ze swoim bratem Charlesem. FOT. NBC

Sorosowie liberalizmu gospodarczego



Jakub Wozinski

Zmarły w sierpniu najbogatszy mieszkaniec Nowego Jorku, David Koch, miał wraz ze swoim bratem Charlesem ogromny wpływ na amerykańskie życie polityczne

W przeciwieństwie do tak znanych amerykańskich marek, jak Facebook, Google czy McDonald's, nazwa Koch Industries pozostaje praktycznie nieznana. Przyczyną tego jest to, że założone w 1940 r. rodzinne przedsiębiorstwo ze stanu Kansas wyspecjalizowało się w produkcji dóbr, które rzadko trafiają do masowego odbiorcy z logo producenta.

Imperium rodziny Kochów zajmuje się m.in. dystrybucją ropy naftowej, produkcją nawozów rolniczych, handlem metalami i instrumentami finansowymi, budownictwem, a nawet produkcją bandaży oraz pieluch.

Na liście najbogatszych Amerykanów pisma „Forbes” bracia Charles i David Kochowie zajęli ostatnio ex aequo 11. miejsce. Gdyby jednak zsumować ich majątek, wynosiłby aż 120 mld dol., czyli więcej niż w przypadku twórcy Microsoftu Billa Gateasa czy też właściciela Amazona Jeffa Bezosa.

„KOCHŚMIORNICA”

Zmarły 23 sierpnia David Koch był trzecim z kolei synem założyciela rodzinnego biznesu, Freda Kocha (łącznie miał ich czterech). W opublikowanej niedawno książce pt. „Kochland. The Secret Story of Koch Industries and Corporate Power in America” Christopher Leonard przekonuje, że pochodzący z rodziny holenderskich

imigrantów ojciec miliarderów zaszczeplił swoim synem wielkie zamiłowanie do biznesu i kapitalizmu. W latach 1929–1932 pracował w Związku Sowieckim jako inżynier w amerykańskiej firmie wynajętej do budowy rafinerii. Zetknięcie z komunizmem wykształciło w nim ogromną niechęć do biurokracji i nadmiernej roli państwa w gospodarce. Poglądy ojca silnie wpłynęły na jego synów.

Poglądy wolnorynkowe bardzo silnie współgrały z początkowym profilem działalności rodzinnego interesu. Potężne jeszcze od czasów Nowego Ładu związki zawodowe oraz narzucane nieustannie nowe przepisy bardzo uprzykrzały życie Koch Industries, które prowadząc wydobycie ropy naftowej, chciało mieć przede wszystkim święty spokój. Zgodnie z filozofią firmy rozwój miał polegać na ciągłym inwestowaniu osiągniętych zysków. Kochowie nie żyli wystawnie i nie zaciągali długów.

Wielkim przełomem dla braci Kochów okazały się lata 70. Wówczas uznali, że sympatyzowanie z ideami wolnościowymi nie może ograniczać się wyłącznie do własnej firmy, lecz musi mieć przełożenie na konkretne czynności natury politycznej. Wpływ na to miały dwa wydarzenia: po pierwsze, kryzys naftowy i związana z nim ingerencja państwa w rynek dostaw, po drugie, postępowanie przeciwko Koch Industries związane z nielegalnym zaniżaniem wartości ropy czerpanej z terytoriów należących do Indian. W wyniku tych wydarzeń Charles i David Kochowie podjęli decyzję o podjęciu lobbingu w Waszyngtonie oraz udzieleniu wsparcia finansowego dla tworzącego się właśnie ruchu libertariańskiego.

Bracia Kochowie byli zwolennikami Partii Republikańskiej, w której widzieli szansę zniesienia przynajmniej części regulacji krepujących amerykańską gospodarkę od czasów Nowego Ładu Roosevelta. Narzucenie przez administrację Nixona ścisłej kontroli całemu rynkowi ropy naftowej zostało jednak przez nich uznane za ostateczną zdradę ideałów wolnorynkowych. Charles Koch miał nazwać swoją dotychczas ulubioną partię bankrutem, po czym udzielił wsparcia niewielkiej i tworzącej się właśnie Partii Libertariańskiej, która miała wznieść sztandar prawdziwej i radykalnej wolności gospodarczej, ocierającej się nawet o anarchizm. Koch zaprosił do siebie najważniejszego filozofa libertariańskiego, Murraya Rothbarda, i ufundował dla jego otoczenia Instytut Katona. Wyłożył także

pieniądze na założenie wówczas jeszcze konserwatywnego Institute for Humane Studies.

Wybory z 1974 r. zakończyły się, jak można było oczekiwać, kląpą Partii Libertariańskiej, lecz bracia Kochowie zdobyli bardzo cenne doświadczenie. Dostrzegli łatwość, z jaką można kształtować rzeczywistość polityczną przy pomocy sponsorowanych przez siebie partii, think tanków, fundacji, stowarzyszeń i naukowców. W ten właśnie sposób zaczęła się tworzyć sieć lobbująca, którą w Stanach Zjednoczonych do dziś określa się mianem „Kochśmiernicy” („Kochtopus”). W wydzielonym w 2016 r. dla dziennika „USA Today” wywiadzie Charles Koch stwierdził otwarcie, że w ciągu roku zamierza wydać na swoją sieć łącznie ok. 900 mln dol.

W 1980 r. David Koch podjął próbę startu w wyborach jako kandydat na wiceprezydenta z ramienia Partii Libertariańskiej. Brak sukcesu w zakresie uruchomienia nowej, trzeciej siły na amerykańskiej scenie politycznej skłonił ostatecznie potentatów z Kansas do próby przejęcia możliwie jak największej kontroli nad Partią Republikańską. To wymagało jednak czasu.

KRÓL NOWEGO JORKU

David pozostawił w tym czasie zarządzanie rodzinną korporacją swojemu starszemu bratu i przeprowadził się do Nowego Jorku, gdzie stał się niezwykle wpływową postacią. Jako najbogatszy mieszkaniec całej metropolii zdobył się nawet na gest w postaci sfinansowania renowacji Teatru Stanu Nowy Jork. Po przekazaniu 100 mln dol. na ten cel całą placówkę przemianowano nawet oficjalnie na Teatr Davida H. Kocha. Dzięki pozycji w nowojorskiej socjocie, którą w ten sposób zdobył, współwłaściciel Koch Industries uzyskał jeszcze większy wpływ na wydarzenia w całym kraju.

W latach 80. i 90. rodzinna firma stawiała się coraz potężniejsza. Z impetem wkroczyła na rynek kontraktów terminowych, stając się jednym z głównych graczy obok wielkich banków z Wall Street. Wykorzystując łatwo dostępny kredyt, dokonała znaczących przejęć (m.in. największego w USA producenta karmy dla zwierząt). Polityczna strategia Kochów polegała m.in. na budowaniu coraz rozleglejszej sieci oddziaływania. Przez kilkanaście lat wspierała finansowo Boba Dole’a, który w 1996 r. stoczył nieudany pojedynek o Białą Dom z Billem Clintonem. Bracia Kochowie byli także jednymi z głównych pomysłodaw-

ców powszechnego dziś obchodzenia przepisów ograniczających wsparcie dla polityków. W 1996 r. założyli Economic Education Trust, za pomocą którego kierowali środki finansowe wprost do Waszyngtonu, nie będąc przy tym zmuszeni do ujawnienia danych dotyczących źródeł przekazanych pieniędzy.

Wielkim testem dla wszystkich sił finansowych zgromadzonych przez Kochów była prezydentura Baracka Obamy. Pierwszy w historii czarnoskóry prezydent od samego początku przystąpił do walki z paliwami kopalnymi i globalnym ociepleniem. Całokształt proponowanych zmian przypominał bazującym wciąż głównie na produkcji i handlu ropą Kochom kolejny Nowy Ład. Podczas gdy jeszcze w 1998 r. wydatki Koch Industries na lobbując w Waszyngtonie wynosiły 200 tys. dol., pod koniec kadencji Obamy wzrosły do 20 mln. Choć firma wydawała (podobnie jak Exxon czy Mobil) wielkie sumy na propagowanie alternatywnego podejścia do zmian klimatycznych co najmniej od lat 90., teraz została zmuszona do jeszcze większych wydatków.

Najważniejszą kwestią dla Charlesa i Davida Kochów było doprowadzenie do nieuchwalenia tzw. ustawy Waxman-Markey, która miała na celu wprowadzenie ścisłej kontroli emisji dwutlenku węgla. W tym celu posłużyli się założoną wcześniej grupą Amerykanie dla Dobrobytu (Americans for Prosperity), która otrzymała w samym tylko 2010 r. 17,5 mln dol. wsparcia. Jej działacze przystąpili do organizowania protestów w wielkich miastach, które wkrótce dały początek Tea Party. Co prawda nie udało się nigdy dowieść tego, że za jej utworzeniem stali bezpośrednio bracia Kochowie, lecz współdziałanie przedstawicieli partii z Amerykanami dla Dobrobytu na wielu szczeblach dało wiele powodów, by tak właśnie sądzić. Ostatecznie ustawa emisyjna została zablokowana, a wzmocniona działalność „Kochśmiernicy” wywarła na Partii Republikańskiej presję, aby nie ugięła się pod postulatami demokratów.

TRUMP NA DRODZE

Na początku 2016 r. Charles i David Kochowie mogli mieć wrażenie, że wreszcie nadszedł ich czas. Jeszcze nigdy nie byli tak bogaci, ich sieć organizacji tak prężna, a warunki tak sprzyjające do przejęcia roli „ojców chrzestnych” Partii Republikańskiej. Wtedy jednak na scenie pojawił się Donald Trump, który błyskawicznie rozprawił się z popieranymi przez Kochów kandydatami (m.in. Jebem Bushem, Markiem Rubio czy

też Tedem Cruzem) i po objęciu urzędu prezydenta zaczął prowadzić politykę, która nie spodobała się magnatom ze stanu Kansas. Trump zaczął ograniczać wolny handel, swobodną imigrację i – co najważniejsze – chciał zmienić przepisy podatkowe uderzające w korporacje zlecające produkcję za granicą. Machina lobbująca Kochów zareagowała błyskawicznie i m.in. dlatego nowego prawa podatkowego nie wprowadzono w życie. Obecnie wydaje się, że administracja Trumpa żyje w zgodzie z imperium Kochów, o czym świadczy chociażby to, że wiceprezydentem jest związany z nimi od lat Mike Pence. O pełnym porozumieniu nie ma jednak mowy.

Komentatorzy życia politycznego najczęściej upatrują w braciach Kochach siłę, która w ostatnich latach atakowała republikanów (nie wspominając demokratów) z prawej strony. Miały o tym świadczyć ich zdecydowanie wolnorynkowe poglądy. Wolny rynek w wydaniu Kochów zyskał jednak zdecydowanie lewicowe oblicze, co dawało się zauważyć już w latach 70. Fundacje, instytuty i think tanki finansowane przez ich sieć walczą w ostatnich latach coraz silniej nie tylko o wolną od ograniczeń gospodarkę, lecz także o wolną (tj. nielimitowaną) imigrację, o wolność dla ruchu LGBT, szeroko pojęte równouprawnienie czy też otwieranie lokalnych rynków dla międzynarodowych korporacji.

Tak pojęty wolny rynek znacząco różni się od tego, do którego przywiązani są chociażby polscy konserwatywni liberałowie. Choć bracia Kochowie zaczęli jako umiarkowanie konserwatywni zwolennicy wolności gospodarczej wspierający Partię Republikańską, w ciągu ostatniego półwiecza stworzyli prężną sieć lobbującą na rzecz lewicowo-liberalnego i kosmopolitycznego programu politycznego, w którym premiowane są przede wszystkim takie podmioty, którymi sami zarządzają. Nawet pobieżne prześledzenie zawartości stron internetowych instytucji przynależących do „Kochśmiernicy” pozwala stwierdzić zadziwiający deficyt idei konserwatywnych.

W Polsce żyjemy jeszcze wedle tradycyjnego podziału, w ramach którego do wolności gospodarczej dąży na ogół prawica. Siła organizacji finansowanych przez braci Kochów sprawiła jednak, że coraz częściej dyskurs wolnościowy przejmują środowiska o zdecydowanie lewicowych poglądach. Wcześniej czy później polska prawica będzie musiała się z tym faktem zmierzyć.

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNY SYSTEM ALARMOWY NETATMO

Brak opłat abonamentowych, mocno ograniczona liczba fałszywych alarmów oraz możliwość oszukania włamywaczy – to największe zalety inteligentnego systemu alarmowego, oferowanego przez francuską firmę Netatmo. W skład zestawu wchodzi inteligentna kamera domowa Netatmo wewnętrzna, inteligentne czujniki okien i drzwi oraz inteligentna syrena alarmowa. Jak przystało na produkty francuskiej firmy, wszystkie elementy systemu mają minimalistyczny wygląd. Każde urządzenie Netatmo jest też proste do skonfigurowania.

Wewnętrzna kamera Netatmo została wymyślona do zdalnej ochrony domu lub mieszkania. Urządzenie uczy się rozpoznawania twarzy domowników i przyjaciół (proces ten może zabrać kilka dni), dzięki czemu łatwiej może wykryć włamywaczy. Gdy kamera wyczuje ruch, nagrywa to, co się dzieje, gdy użytkownika nie ma w domu i – jeśli zobaczy nieznaną twarz – wysyła powiadomienia wraz z obrazem oraz nagraniem filmem, który można zdalnie odtworzyć w aplikacji na urządzenia mobilne. Sama kamera przydać się może młodym rodzicom, aby upewnić się, że dzieci wróciły już do domu, a także właścicielom psów czy kotów (można w czasie rzeczywistym podejrzeć i podsłuchać, co się dzieje w domu). Filmy zapisywane są na dołączonej karcie micro SD. Istnieje również możliwość przechowywania ich w chmurze Dropbox lub na własnym serwerze FTP.

Netatmo sprawnie odróżnia ludzi od zwierząt, co ma istotny wpływ na zmniejszenie liczby

fałszywych alarmów. Prosta w obsłudze aplikacja pozwala zaś kontrolować, co się dzieje w domu, z dowolnego miejsca na Ziemi.

Aby system był kompletny, Francuzi proponują połączenie kamery z inteligentnymi czujnikami otwarcia drzwi i okien. W jednym zestawie są trzy bezprzewodowe czujniki, które działają na baterię. Od standardowych urządzeń tego typu różni je choćby to, że są jednocześnie, a nie jak zazwyczaj bywa – dwuczęściowe.

Największą zaletą testowanego modelu jest jednak to, że inteligentne czujniki rozpoznają nie tylko ruch, lecz także drżenie – mogą więc zaalarmować użytkownika o włamaniu, zanim bandyci dostaną się do domu. Czujniki przydadzą się też tym, którym zdarza się zapomnieć, czy na pewno zamknęli okno w domu. Jeśli będzie ono cały czas otwarte, to będzie można to sprawdzić w aplikacji.

Inteligentna syrena alarmowa potrafi działać jak standardowe urządzenie tego typu, wydając dźwięk o głośności 110 decybeli, ale umożliwia ona także imitowanie

dźwięków sugerujących, że ktoś jest w domu. Dzięki temu włamywacze mogą uznać, że nie będą ryzykować, i pójdą szukać łupów gdzie indziej.

Wadą kamery jest brak akumulatora, który pozwoliłby kamerze nadal nagrywać np. w przypadku awarii sieci energetycznej lub gdy to złodziej tuż przed skokiem odłączył prąd. Inteligentnym czujnikom okien i drzwi przydałby się z kolei inny system montowania baterii. Ten, który zastosowano obecnie, jest wyjątkowo irytujący. Kolejnym istotnym minusem jest fakt, że czujniki mogą być połączone tylko z jedną kamerą (maksymalnie 12 na jedną kamerę). Jeśli wyłączymy więc np. monitorowanie salonu, to mimo że druga kamera nadal monitoruje np. ogród, to przestaniemy dostawać powiadomienia np. o otwarciu drzwi do domu.

Podstawową wadą testowanego zestawu jest jego stosunkowo wysoka cena, porównywalna z innymi systemami ze średniej półki. Inteligentny system alarmowy Netatmo – w skład którego wchodzi kamera, trzy bezprzewodowe czujniki okien lub drzwi oraz syrena alarmowa – kosztuje 1699,97 zł. ©

Jacek Przybylski



TERMOMETR DOUSZNY

Można i tak. Niewielka firma z Los Angeles zaprojektowała termometr, który święci triumfy na Kickstarterze, choć nie wszedł jeszcze do produkcji. Na razie jego pomysłodawcy zebrali wielokrotność kwoty potrzebnej na wprowadzenie gadżetu do dystrybucji. ThermArt jest nowoczesnym termometrem mierzącym temperaturę za pomocą przyssawki przypiętej do czoła lub... wewnątrz muszli



uszej. Urządzenie wykonano bardzo estetycznie, jednak nie przypomina obskurnych, klasycznych termometrów, a dane szczegółowe o stanie zdrowia wyświetla na ekranie smartfona. Korpus ThermArt wykonany jest za pomocą komputera klasy medycznej techniką IML (In-moulding) z biokompatybilnej textury, zaś sondę czołową wykonano z przezroczystej gumy silikonowej spełniającej światowe standardy medyczne. Zamawiać można na Kickstarterze w cenie ok. 170 zł.

SZWAJCARSKI „NÓŻ” KABLOWY



Szwajcaria nie ma armii. Nie musi. Cała Szwajcaria jest armią – głosi potoczne powiedzenie i nie ma w nim nic dziwnego, tam bowiem każdy obywatel jest przeszkolony, by bronić swojej ojczyzny. Armia armią, ale szwajcarskie noże słyną w całym świecie. A jeśli coś jest reklamowane jako „nóż kablów szwajcarskiej armii”, choć oczywiście z tą armią to lekka przesada, to na gadżet warto zwrócić uwagę. Dlaczego? Bo inCharge 6 to po prostu zestaw krótkiego kabla z kilkoma zręcznymi ukrytymi wejściami. Inaczej mówiąc, niewielki breloczek zawierający wszystkie używane na co dzień krótkie kabelki, z tymi od USB do ładowarki i laptopa łącznie. Wszystko wygląda estetycznie, jest poręczne i nie zajmuje wiele miejsca. Aha, oczywiście do breloczka można dodać też klucze. Drobniarz jest tani, pojedyncza sztuka z sześcioma „wejściami” kabelka kosztuje ok. 70 zł. Zamawiać można na portalu Indiegogo, dostawa w grudniu. ©

Wojciech Wybranowski



DO IV EDYCJI KONKURSU ZAPRASZA PARTNER STRATEGICZNY



ORLEN



POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



Joanna Bojańczyk

Rihanna ma 31 lat, 75 mln fanów na Instagramie, 600 mln dol. na koncie

Drogę od skromnego bungalowu na Barbadosie do limuzyn showbiznesowego olimpu przeżyła bez zatrzymania. Osiąga wszystko, czego chce, umiejętnie dozując prowokację. Raz dzika i wyzywająca, raz znów anielsko słodka. Równie chętnie pozuje z pluszowym misiem jak z jointem. Raz pop, raz reggae, raz rap – liczy się przecież elastyczność i szybka reakcja na oczekiwania rynku. Rihanna jest lustrem współczesnej kalejdoskopowej cywilizacji. „Szybko się nudzę, wciąż muszę się zmieniać” – twierdzi ku radości swoich 76 mln fanów na Instagramie. Od debiutu w roku 2005 r. sprzedała 250 mln płyt, wygrała dziewięć nagród Grammy, wylansowała własną firmę bielizny i kosmetyków. Ostatni wyczyn: „autobiografia wizualna”. „Rihanna by Rihanna”. Same zdjęcia, siedem kilogramów wagi. 540 stron narcyzmu, którego bohaterka się wcale nie wstydzi. Wersja luksusowa książki w cenie 4,5 tys. euro jest już wyczerpana. „Bądźmy realistami, młodzi wolą obrazki” – przyznaje Riri z rozbrajającą szczerością. „Jestem moją własną muzą”.

„Chciałabym się z Wami podzielić tym dziełem sztuki” – zadeklarowała z właściwą sobie skromnością na premierze książki, która odbyła się 11 października w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Wstęp na imprezę – 150 dol. Po wygłoszeniu krótkiej przemowy diwa ubrana w suknię w lamparci wzór oddaliła się do prywatnego baru w towarzystwie ochrony godnej męża stanu. Rzeczony obiekt sakralny, który można oglądać tylko w rękawiczkach, to album zaprojektowany przez plastyków Haas Brothers. 1050 zdjęć przedstawiających życie i karierę gwiazdy, chwile prywatne, występy estradowe. Sukcesy, same sukcesy. Rewia brylantów i stringów.

BĘDZIE GWIAZDĄ

Zgodnie z wymaganiami bajki o książnicze i milionerze wszystko zaczyna się skromnie. Nie w biedzie, ale skromnie. Robyn Fenty przychodzi na świat w 1988 r.

FOT. ROY ROBIN/GETTY IMAGES

Diwa z Barbadosu



na wyspie Barbados, na Antylach Angielskich (wyspa o powierzchni 450 km kw.). Ojciec, Ronald Fenty, sprzedaje ubrania na bazarze, matka – Monica Braithwaite – jest księgową. Razem z młodszymi braćmi – Rorreyem i Rajadem – mieszkają w bungalowie bez wdzięku. Dziewczynka ma krew barbadosko-gujańsko-irlandzką. „Marzyłam o butach timberlandach, jak marzy się o Diorze. Oszczędzałam rok i w końcu je kupiłam”. To pierwsze oznaki silnej woli... Ojcu zdarza się brać narkotyki, skutkiem czego rodzice się rozwodzą, matka pracuje na utrzymanie dzieci, a Robyn opiekuje się braćmi.

W domu słucha się muzyki, matka jest fanką Whitney Houston, dla córki istnieją trzy nazwiska: Beyoncé, Céline Dion i Mariah Carey. Nie tylko słucha ich piosenek lecz także je śpiewa. Sąsiedzi, koleżanki i rodzice wypychają nastolatkę do telewizji. Ona na razie ma za sobą tylko zwycięstwo w lokalnym konkursie piękności. Razem z dwiema koleżankami zakładają trio. Udać się załatwić przesłuchanie u amerykańskiego producenta Evana Rogersa, przebywającego akurat na wakacjach na Barbadosie. Dziewczynki wykonują piosenkę „Hero” Mariah Carey. „W chwili, w której Rihanna weszła do pokoju, dwie pozostałe dziewczynki przestały dla mnie istnieć” – wyznał później producent. I zaprosił debutantkę do swego domu w Stanach, gdzie nagrali demo, próbny teledysk do rozesłania do wytwórni płytowych. Nagrania trwają prawie rok, bo Robyn może przyjeżdżać tylko w czasie wolnym od szkoły. Trafiają do rapera Jaya-Z, który szefuje wytwórni Def Jam Recordings. Ten nie ma wątpliwości co do talentu nastolatki. „W dwie minuty zrozumiałem, że będzie gwiazdą” – wspomina. „Nie możesz wypuścić tej dziewczyny z budynku, zanim nie podpisze z nami kontrakt” – mówi do Jaya-Z właściciel Def Jam, L.A. Reid. Prawnicy wytwórni pracują nad kontraktem do trzeciej nad ranem. Jay-Z stanie się rodzajem ojca chrzestnego nastolatki, także substytutem nieobecnego ojca.

NA KANAPIE TV

Wtedy Robyn staje się Rihanną. Pierwsze nagranie – „Pon de replay”, rok 2005. Wokalistka w skeitowych spodniach i cekinowym staniku wije się na podium nocnego klubu. Słowa mało wyszukane: „Didżeju, czy możesz jeszcze raz puścić tę piosenkę”. Natychmiastowy sukces. Czarowi głosu lekko zachrypnie-

tego, szorstkiego, z modulacjami i nieznanym akcentem karaibskim trudno się oprzeć.

Producenci widzą, że zanosi się na coś więcej – nie mają do czynienia z gwiazdką jednego sezonu. A zapotrzebowanie jest. Britney Spears się stoczyła, Paris Hilton wyszła z więzienia, Lindsay Lohan zaczyna odwyk. A Rihanna śmiało, wyprostowana, wkracza do fabryki przebojów. Współpracuje z Seanem Paulem, Eminemem, wyjeżdża na tournée z Black Eyed Peas, odzyskuje od Spears piosenkę „Umbrella”, której tamta nie chciała. Sukces jest planetarny – 8 mln sprzedanych singli.

Jej styl jest trudny do zdefiniowania: raz to jest pop, raz reggae, raz rap, to znów rock. Czasem wszystkie naraz. Wyczyny na teledyskach bywają ostre – czasem na granicy sado-maso. Jednak Rihanny słucha się wszędzie: w mieszczańskich salonach i na robotniczych przedmieściach. Im mniej słów, tym lepiej.

„Forbes” wycenia ją na 600 mln dol.

Bernard Arnault ofiarował jej niedawno połowę udziałów w domu mody Fenty

Barbadoska staje się supergwiazdą, ale szybko zarówno ona, jak i publiczność odkrywają reperkusje nowego statusu. Dla niej to potyczki z partnerem raperem Chrisem Brownem, dla publiczności – czołówki tabloidów i portali plotkarskich. W roku 2009 amerykański portal TMZ publikuje zdjęcie Rihanny z twarzą pełną siniaków – to ślady pobicia przez krewkiego partnera. Gdy ona opowiada o swoich przeżyciach na kanapach telewizji śniadaniowych, w prime timie psychologowie analizują burzliwy związek. Bestia zostaje skazana, ale Rihanna nie zamierza bynajmniej opuścić damskiego boksera. Fani są po jej stronie, skłonni wszystko wybaczyć i wszystko zrozumieć. Riri jest im wdzięczna – swoich wielbicieli nazywa „navy” – w odróżnieniu od „swifties” Taylor Swift i „little monsters” Lady Gagi. Największy fanklub jest oczywiście na Barbadosie. Tam panuje prawdziwa rihannomania. Dziewczyny tatuują sobie literkę R na nadgarstku, fryzjerzy

dokonują cudów, żeby w konkursach na sobowtóra skopiować liczne fryzury idolki, która sama jest cała wytatuowana w rysunki plemienne, pistolety, kwiaty.

TALENT DO SHOPPINGU

Lista podbojów miłosnych jest imponująca: Leonardo DiCaprio, Karim Benzema, Ashton Kutcher. Ale spokojnie, piękniejsza jest pragmatyczna. Od roku 2016 jej kochankiem jest saudyjski multimilioner Hassan Jameel, który potrafi prywatnym odrzutowcem wysłać swojej Riri pluszowego niedźwiadka. W dowód uczucia, ma się rozumieć. Przecież dla niej nic nie jest zbyt piękne ani zbyt drogie.

Jednak publicznie, na imprezach, na czerwonych dywanach Rihanna jest zawsze sama. Ubrana w prawie nic – np. przezroczystą suknię lśniąca tysiącem kryształków Swarovskiego, którą miała na wręczeniu nagród CFDA (Amerykańskiej Rady Projektantów Mody). Żółta suknia z trenem dłuższym niż ten przy ślubnej sukni Kate Middleton, kreacja na balu Met w 2015 r. obiega wszystkie media. Krytycy mody porównują suknię do jajecznicy. Ale jakkolwiek minimalny by był strój, gwiazda nigdy nie pokazuje się publicznie bez makijażu, nieuczesa, w dresie. Wszystko u niej jest skrupulatnie wystudiowane.

„Jedyny talent, który mam do mody, to shopping” – wyznaje jak zwykle bez żenady. Mimo to każdy designer marzy o tym, żeby ją pozyskać. „Forbes” wycenia ją na 600 mln dol., jest przed Lady Gagą i Madonną. Wiadomo – wszystko, czego się dotknie, zamienia w złoto.

Nic dziwnego, że sukcesem jest firmowana jej nazwiskiem linia kosmetyków dla kobiet o wszystkich kolorach skóry. Podobnie sprzedaje się linia seksownej bielizny. Ostatnio panna R. zrobiła grubszy interes – oto drugi najbogatszy człowiek na świecie, Bernard Arnault, ofiarował jej połowę udziałów w domu mody Fenty, należącym do grupy LVMH. Zanosilo się na to już w momencie, gdy została pierwszą niebiałą modelką zaangażowaną przez grupę LVMH. Teraz oferta zapowiada się naprawdę zachęcająco.

Ona nie boi się niczego. Włącznie z cyklonami, w końcu jest z Barbadosu. Mimo wszystkich kaprysów jej dewizą życiową pozostaje praca: „work, work, work”. Nie zapomina, że to śpiewanie ją wyniosło. A fani czekają na dziewiąty album.



Z prof. Piotrem Czauderną,
prezesem Agencji Badań Medycznych
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Impuls dla polskiej medycyny

KATARZYNA PINKOSZ: Kieruje pan kliniką chirurgii dziecięcej, brał pan udział w wypracowywaniu kierunków zmian w polskiej ochronie zdrowia, w pracach nad regulacjami dotyczącymi badań klinicznych na poziomie europejskim, a niedawno został pan prezesem ABM. Nie boi się pan nowych wyzwań?

PROF. PIOTR CZAUDERNA: Moje życie jest pełne nowych wyzwań, lubię je podejmować. Faktycznie, kierowanie Agencją Badań Medycznych na wczesnym etapie jej tworzenia to wyzwanie.

Czym docelowo będzie Agencja Badań Medycznych?

Chciałbym, żeby kiedyś – dzięki wspieraniu polskich nauk medycznych przez Agencję – pojawiła się polska Nagroda Nobla w medycynie. Jednak to oczywiście daleko idące marzenie, nie można oczekiwać, że tak się stanie w ciągu roku czy nawet dwóch–pięciu lat. To wymaga wielu lat pracy, jednak obejmując stanowisko szefa ABM, pomyślałem, że może uda się stworzyć na tyle silną markę polskich nauk medycznych, że kiedyś będziemy mieli nie tylko laureatów Nagrody Nobla w literaturze, lecz także w medycynie.

Co musi się wydarzyć, żeby tak się stało? Za słabo finansujemy badania, pomysły naukowe nie są aż tak odkrywczyste czy brakuje silnej marki polskiej medycyny?

W Polsce działają bardzo dobre zespoły, które liczą się w światowej nauce, np. w kardiologii, onkologii czy genetyce. Na pewno potrzebna jest budowa silnych zespołów badawczych i ich finansowanie, a także konsekwencja w prowadzeniu badań. Od rozpoczęcia badań podstawowych, ich sukcesu, do powstania nowych technologii, które przeobrażą medycynę, mija kilkanaście lat. W Polsce brakuje usystematyzowanej ścieżki, która prowadziłaby od badań podstawowych poprzez wypracowanie technologii medycznych i przetestowanie ich w ramach badań klinicznych do zastosowania w praktyce klinicznej. Organizacja takiej ścieżki powinna opierać się na współpracy wielu instytucji, takich jak Narodowe Centrum Nauki, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, Agencja Badań Medycznych czy Państwowy Fundusz Rozwoju. Bardzo bym się cieszył, gdyby taką „ścieżkę” udało się zorganizować.

To jednak plan na dalszą przyszłość. Najbliższa to cel, dla którego Agencja została powołana, czyli wsparcie badań klinicznych, przede wszystkim niekomercyjnych.

Niekomercyjne badania kliniczne to znaczy?

Komercyjne badania kliniczne są wykonywane z inicjatywy firm farmaceutycznych. Mają na celu potwierdzenie

bezpieczeństwa i skuteczności leku wynalezionej przez firmę, uzyskanie danych, by można było go zarejestrować i wprowadzić do leczenia. Z punktu widzenia firmy to inwestycja: ponoszone są duże koszty, które zwrócić się dzięki sprzedaży leków, a stopa zwrotu może być wysoka, np. Viagra przyniosła jej producentowi, czyli firmie Pfizer, dziesiątki miliardów dolarów zysków.

Badania niekomercyjne są prowadzone z inicjatywy badaczy; organizatorem może być szpital, uczelnia medyczna. Mają na celu poszerzenie wiedzy, poprawę metod leczenia, wybór optymalnej metody dzięki porównaniu nowej terapii z uznawaną za standard. Oczywiście zawsze jest pewien element ryzyka, nie zawsze „nowe” jest lepsze, dlatego każde badanie może być przerwane, jeśli okaże się, że nie przynosi korzyści. Zwykle jednak, gdy badanie kliniczne się rozpoczyna, to przekonanie, że ma ono sens, jest oparte na wcześniejszych analizach, badaniach na zwierzętach czy liniach komórkowych.

Do tej pory ponad 95 proc. badań klinicznych w Polsce to były badania komercyjne. Dlaczego tak trudno było o sfinansowanie badań niekomercyjnych?

Brakowało mechanizmu finansowania. Bardzo dobrze to rozumiem, gdyż moja działalność naukowa to głównie onkologia dziecięca, a niemal cała euro-

pejska onkologia dziecięca oparta jest na niekomercyjnych badaniach klinicznych. Nie mogliśmy ich otwierać w Polsce z braku możliwości finansowania. W praktyce oznacza to, że polskie dzieci chore na raka nie mogły być leczone tak jak ich rówieśnicy w Europie, nie miały dostępu do najnowszych metod leczenia, gdyż można je było zastosować tylko w badaniach klinicznych. Praktycznie nie można było na nie uzyskać finansowania ani z NCR, ani z NCBiR. Właśnie dlatego Agencja Badań Medycznych jest tak bardzo potrzebna. Od wielu lat byłem zaangażowany w działania – zarówno w Polsce, jak i w Europie – na rzecz tworzenia nowych regulacji prawnych, które ułatwiłyby prowadzenie niekomercyjnych badań klinicznych.

Czy może pan podać przykłady badań, które mogłyby być wykonane w onkologii dziecięcej, a nie udało się to przez brak finansowania?

Przykładem są guzy wątroby u dzieci. Najskuteczniejszym lekiem w tym przypadku jest cytostatyk (cisplatyna), który niestety powoduje nawet u 40–50 proc. dzieci, zwłaszcza tych najmłodszych, trwałe uszkodzenie słuchu. W ramach badania przetestowano możliwość zastosowania leku, który będzie chronił słuch. Faktycznie okazało się, że dzięki temu częstość uszkodzenia słuchu była dwukrotnie mniejsza, a nie zaszкодowało to skuteczności leczenia przeciwnowotworowego.

Dzieci w Polsce nie mogły być tak leczone?

Nie, niestety nie udało się w Polsce otworzyć tego badania.

Obecnie można już w ten sposób leczyć?

Niestety nie, ponieważ lek nie został jeszcze formalnie zarejestrowany w tym wskazaniu. To znaczy: jest możliwe stosowanie go w ramach procedury, tzw. compassionate use (za zgodą komisji bioetycznej firma zgadza się dostarczać lek nieodpłatnie, pod warunkiem otrzymywania informacji na temat jego działania). Jest to jednak dość skomplikowana procedura.

Czyli nawet dobry wynik niekomercyjnego badania klinicznego nie przekłada się na leczenie?

Pozytywny wynik badania może stać się dopiero podstawą wniosku składanego w USA do FDA (Food and Drug Administration), a w Europie do EMA (European Medicines Agency), w celu

uzyskania rejestracji. Gdy to się uda, trzeba czekać na decyzję o refundacji danego leku. W związku z tym nawet kilkanaście lat trwa oczekiwanie, by lek poddany został badaniom klinicznym i znalazł się w powszechnym stosowaniu. Właśnie dlatego badania kliniczne są tak atrakcyjne i chcemy, by liczba przeprowadzanych badań w Polsce znacznie wzrosła. Udział w badaniu pozwala dużo wcześniej skorzystać z możliwości leczenia, które staną się powszechnie dostępne niekiedy dopiero za kilka czy nawet kilkanaście lat.

ABM już ogłosiła pierwszy konkurs na niekomercyjne badania kliniczne. Jak duże jest zainteresowanie?

Na ten moment trudno to jeszcze ocenić. Konkurs trwa do 29 listopada, a z własnego doświadczenia wiem, że wnioski wpływają głównie w ostatnich dniach. Zainteresowanie badaczy i uczelni wydaje się jednak bardzo duże. Można zgłaszać badania kliniczne prowadzone wyłącznie w Polsce lub równocześnie w ośrodkach międzynarodowych. Konkurs dotyczy nowego zastosowania leków w pediatrii, neonatologii, onkologii, neurologii, hematologii, radioterapii, kardiologii. W przyszłym roku planujemy też konkursy dotyczące technologii nielekowych.

Często podkreśla pan, że polski system ochrony zdrowia wymaga zmian – takie były wnioski z debat „Wspólnie dla zdrowia”, w których pan aktywnie uczestniczył. Czy ABM w tym pomoże?

Od Ministerstwa Zdrowia zależy, na ile będzie chciało wykorzystać ABM. Być może w przyszłości Agencja mogłaby stać się pewnego rodzaju zapleczem thinktankowym, które umożliwi opracowywanie nowych rozwiązań i ich testowanie w ramach badań naukowych. Mogą one dotyczyć również nowych rozwiązań organizacyjnych, finansowych czy telemedycznych.

Czyli rola ABM to na razie postawienie na niekomercyjne badania kliniczne, a w przyszłości: sprawdzanie nowych rozwiązań w ochronie zdrowia, budowanie marki polskiej medycyny i medycyny Nobel dla Polski?

Jak wspominałem, medyczny Nobel dla naukowców z Polski to moje marzenie. Nawet gdy stanie się to za 20 lat, a ABM się do tego przyczyni, to spełnimy swoje zadanie bardzo dobrze. Chciałbym, żeby jednym z zadań ABM było podążanie za tym, w jakim kierunku idzie nauka

światowa, a w jakim polskie zespoły badawcze. Nie chodzi tylko o Nobla, lecz także o udostępnianie nowych technologii pacjentom – w czym powinna pomóc ABM. Mamy w Polsce dwie dziedziny w onkologii, które się nie rozwinęły. Pierwsza to immunoterapia (w tym terapia zmodyfikowanymi limfocytami T, czyli tzw. CAR-T cells) w nowotworach: nie mamy wielu grup badawczych, które nad tym pracują. Druga idea to onkologia precyzyjna, czyli zastosowanie terapii celowanych w selekcjonowanych na podstawie badań molekularnych grupach pacjentów, u których stwierdzono nieprawidłowości w komórkach nowotworowych w obrębie tzw. szlaków sygnałowych. Pozwala to na użycie kolejnych leków blokujących ww. nieprawidłowe szlaki. Są to wszystko rewolucje na miarę wprowadzenia niegdyś chemioterapii. Dzięki nim nowotwory stają się w pewnym sensie chorobami przewlekłymi.

Pierwsze kliniki, które będą mogły w Polsce stosować metodę leczenia limfocytami CAR-T, wkrótce otrzymają akredytację...

Tak, jednak nastąpi to dzięki technologiom oferowanym przez firmy farmaceutyczne, a tymczasem większość dużych krajów stworzyła laboratoria, które opracowują własne linie CAR-T cells. Leczenie jednego pacjenta oferowane przez firmę to koszt rzędu nawet pół miliona dolarów, a jeśli CAR-T cells są stworzone we własnych laboratoriach – koszty są nawet 10 razy niższe. Ponadto ta terapia – bardzo skuteczna w niektórych beznadziejnych stanach nowotworowych – powoduje wiele skutków ubocznych, dlatego niezbędne są osoby i ośrodki, które potrafią prowadzić takie leczenie. ABM mogłaby się przyczynić do wystymulowania rozwoju tych dziedzin w Polsce, np. poprzez niekomercyjne badania kliniczne. To ważne nie tylko z punktu widzenia badań naukowych, lecz także przede wszystkim z punktu widzenia szans dla pacjentów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Piotr Czauderna

– kierownik Kliniki Chirurgii i Urologii Dzieci i Młodzieży Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, koordynator Sekcji Opieki Zdrowotnej w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP, prezes Agencji Badań Medycznych.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Alpinista Gesner

Jednym z pierwszych ludzi uprawiających turystykę wysokogórską dla przyjemności i zdrowia, a nie dla czarów lub rabunku był Konrad Gesner. Człowiek renesansu, jeden z najślawniejszych XVI-wiecznych przyrodników, naukowców i bibliografów, szwajcarski lekarz, urodzony w 1516 r. w Zurychu. Jego naukowymi pracami i odkryciami można by wypełnić całą bibliotekę; dość wspomnieć, że był twórcą „Historii animalium”, monumentalnego atlasu zwierząt, i „Bibliotheki universalis”, pierwszej w historii ludzkości bibliografii zawierającej spis łacińskich, greckich i hebrajskich dzieł wszystkich znanych pisarzy i badaczy od początku świata. Autor zmarł przedwcześnie w 1565 r. w Zurychu, walcząc jako lekarz z epidemią dżumy.

Dziesięć lat wcześniej dokonał wyczynu, który zarówno zadziwił, jak i przeraził ówczesnych ludzi. Wiosną 1555 r. wszedł bowiem na górę Pilatus w Alpach Zachodnich, nad Jeziorem Czterech Kantonów w Szwajcarii. Co więcej, wspiął się tam z własnej woli, aby podziwiać przyrodę, stając się jednym z pierwszych turystów wysokogórskich. „Postanowiłem – pisał – że jak długo Bóg darzy mnie życiem, będę co roku wchodził na góry, przynajmniej na jedną, w porze, gdy kwitnie kwiecie, właśnie aby je oglądać i aby dać memu ciału ćwiczenie, a zarazem mojej duszy radość”.

Dla współczesnych Gesner był szaleńcem, czarownikiem, a może nawet bluźniercą. W połowie XVI w. nikt przy zdrowych zmysłach nie wchodził z własnej woli na największe góry. Gór się bano, przeklinano je i omijano, nikt nie podziwiał tak jak dziś krajobrazów, nie zachwycał się ich przestrzeniami i klimatem. „Wdrapywaliśmy się – pisał sto lat po wyczynie Gesnera jadący przez Alpy John Evelyn – znów wśród



FOT. WIKIPEDIA

dziwnych, groźnych i strasznych urwisk, pokrytych sosnami i zamieszkałych jedynie przez niedźwiedzie, wilki i dzikie kozły; nie było nic widać przed nami, a horyzont zamykały góry”. „Skały zbyt wielkie i niebezpieczne, bo porysowane spadają z drogi; tego dnia sztuka skały tak wielka jak chata przed nami spadła, drugi zaś [kawałek] na wóz furmański, wino tyrolskie prowadzący wypadł. W jego pobliżu inny głaz stracił z kozła woźnicę i spadł na dyszel, między konie. Cud to, bo szkody nie było!” – wspominał podróż przez góry Polak Teodor Bilewicz w XVII w.

Jak pisał Antoni Mączak w „Życiu codziennym w podróżach po Europie”: „Trudy i niebezpieczeństwa opóźniały epokę, w której Europejczyk mógł odnaleźć urok gór, zaaprobować ich dzikość, pokochać przyrodę, szukać w niej natchnienia. Na przeszkodzie stały lęki [...], złe duchy, pokutujący grzesznicy, poświadczane przez poważnych i bywały podróżnych smoki gnieździły się najchętniej w górach”.

Konrad Gesner miał zadanie o wiele trudniejsze niż zwykły przejazd przez Alpy. Pilatus, na który chciał wejść, był bowiem nie tylko niedostępny, lecz także przeklęty i nawiedzony. Wedle legendy wierzone, że ukazuje się tam duch

samego Poncjusza Piłata, którego zwłok, po popełnieniu samobójstwa, nie chciała przyjąć żadna rzeka. Najpierw wrzucono je do Tybru. Kiedy w następstwie tego pojawiły się burze i nawałnice – wyłowiono je i utopiono w Rodanie. Gdy i ta rzeka zareagowała gniewem, wrzucono ciało nieszczęsnego sędziego do jeziora pod szczytem najwyższej góry – zwanej od tej pory Górą Piłata. Jednak niegodny Piłat w dalszym ciągu zachowywał się niespokojnie – ukazywał się bowiem w każdy Wielki Piątek jako widmo siedzące w purpurze na krześle. Ten, kto go zobaczył, mógł być pewien, że niechybnie umrze w następnym roku. Jeśli jednak nie umarł – to była to oznaka, że klątwa się go nie ima i żyć będzie bardzo długo.

Zdobывая szczyt, Gesner rozprawiał się nie tylko z niebezpieczeństwami, lecz także z budzącą grozę legendą. Przy okazji opisał i skatalogował wiele gatunków rosnących tam roślin. Uważna lektura jego opisu wyprawy „Descriptio Montis Fracti sive Montis Pilati...” pozwala dowiedzieć, że wszedł na jeden ze szczytów góry Gnepfstein zwany także Mittag-güpfli, na wysokości ponad 1900 m n.p.m. W kolejnych latach przyrodnik „zdobył” następne szczyty alpejskie: Stockhorn i Niesen.

Zdawać by się mogło, że wyprawa Gesnera po pierwsze odmitologizuje Górę Piłata, po drugie wpłynie na wzrost popularności turystyki wysokogórskiej. Niestety, jeszcze na prawie 200 lat owa nowożytna turystyka górską pozostawała wyłącznie zajęciem uczonych, szaleńców, rozbójników i pokutujących grzeszników. Jeszcze w 1624 r. przebywającemu w Lucernie Albrychtowi Stanisławowi Radziwiłłowi opowiadano legendę o pojawiającym się na jeziorze duchu Poncjusza Piłata i przestrzegano przed wyprawą na górę jego imienia. ©

KONFITOWANE UDA GĘSI À LA BOROWICZ

Odwieczny problem w domu i u znajomych... Twarda sucha gęšina, czyli za krótko albo za długo pieczona, albo za krótko marynowana w solance... Tysiące wymówek, dلاعzego gęś nie wyszła. Kiedy zapraszam gości na uda gęsie confit, jest totalna konsternacja – rewelacja! Mięso jest miękkie, niewysuszone, odchodzi od kości, a do tego jest aromatyczne! Wszyscy zdziwieni – o co chodzi – przecież to gęś! To nie wszystko – gęś podana jest z plackiem ziemniaczanym i konfitowaną czerwoną cebulą z miodem i wytrawnym winem. Totalna rewolucja w domu i dziesiątki chętnych na przepis! Łatwo nie było mi go oddać, ale dziś chętnie się nim podzielę, tym bardziej że mamy listopad, a wtedy gąski są najlepsze i najtłustsze, takie jak lubię.

Składniki:

- 4 uda gęsie
- 1,5 kg tłuszczu gęsiego
- 3 liście laurowe
- 3 kulki ziela angielskiego
- pół główki czosnku przeciętej w poprzek
- 1 łyżka soli

Placki ziemniaczane:

- 3 ziemniaki
- sól, pieprz do smaku
- jajko
- dwie łyżki mąki pszennej
- smalec do smażenia

Dżem z cebuli:

- 4 czerwone cebule
- 300 ml czerwonego wytrawnego wina
- gwiazdka anyżu
- szczypta cynamonu
- dwie łyżki miodu

Przygotowanie:

Udka lekko solimy i pieprzymy, odkładamy na 3 godz. Tłuszcz gęsi podgrzewamy do temperatury ok. 80 st. C, aby nie

miał za wysokiej temperatury, tylko sobie „pykał”. Dodajemy liście laurowe, ziele angielskie, pół główki czosnku i łyżkę soli. Wrzucamy nasze uda i „pyrkamy” ok. 4 godz., po zdjęciu z ognia zakrywamy folią aluminiową (matową stroną). Ziemniaki trzemy na większych oczkach – tych cienkich, nie największych. Dodajemy jajko, sól, pieprz, mąkę. Mieszmamy i smażymy na złocisty kolor na smalcu wieprzowym. Cebulę kroimy w paski, podsmażamy na małym ogniu na złoto, dodając łyżkę masła. Po 10 min dodajemy miód, anyż, cynamon, sól, pieprz. Mieszmamy przez 3 min zwiększamy ogień i dolewamy wino. Wszystko razem mieszmamy i gotujemy wolniutko pod przykryciem ok. 40 min. Odkrywamy pokrywkę i odparowujemy płyn, aby masa cebulowa zgęstniała.

Udka wyciągamy z tłuszczu, kładziemy na patelnię i podsmażamy 10 min z każdej strony na złoty kolor. Placki układamy na talerz, na nie gęsie uda, a na boki dżem z cebuli. ©© **oprac. raw**



Adam Borowicz jest gospodarzem programu „To je Borowicz. Podróże ze smakiem” w TVP, autorem vloga (adamborowicz.pl), prowadzącym pokazy kulinarne

FOT. ARCHIWUM ADAMA BOROWICZA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Fryzjer oswojony



FOT. ADAM STOK

Chodzę do tej samej fryzjerki od 15 lat. Przez pierwszych pięć pani Ewa nie odezwała się do mnie ani słowem. Aż nagle przemówiła, uznawszy widocznie mój staż klientki za zakończony, i postanowiła odrobić zaległości. Od tej pory przez kolejnych 10 lat dowiadywałam się od niej o rodzinie bliższej i dalszej, znajomych, problemach zdrowotnych i życiowych. Pani E. ma również sporą bazę danych lekarzy wszystkich specjalności (klientki) i chętnie poleci właściwą osobę, gdyby np. bolało mnie ucho lub wątroba.

Temat polityki nie był poruszany, ale – jak wiadomo – dzisiaj nawet z drobnych sygnałów można się zorientować o przynależności plemiennej. Z tego, co do mnie dotarło od pani E., wynika, że reprezentuje ona inne plemię polityczne niż ja. Jednak żadna z nas tematu nie rozwijała. Poza rozmowami naszym spotkaniom towarzyszy telewizor o dużej rozdzielczości i dużym ekranie, który działa, zdaje się, w systemie 24 h i na którym obejrzałam już sporą liczbę odcinków serialu „Górski doktor” na kanale Romantica.

Serial wcale nie taki najgorszy, muszę przyznać. Porządna austriacka robota z Alpami w tle. A pani E. jako fryzjerka doskonała.

O męskich fryzjerach wiem tyle, ile opowie mi męska część rodziny. Nasz ro-

dzinny fryzjer męski, pan Robert, na szczęście nie stał się jeszcze barberem, jest wciąż zwykłym fryzjerem, nie ma salonu z migającym szyldem, tylko niewielki zakładzik na Mokotowie. No i pewnie dlatego na strzyżenie trzeba zapisać się z miesięcznym prawie wyprzedzeniem. Jednak ani mój mąż, ani synowie i nawet dwóch moich wnuków nie wyobrażają sobie, że można byłoby ostrzyżać się u kogoś innego niż u pana Roberta.

Pan Bojańczyk nie jest osobą szczególnie gadatliwą, więc jego obawy budzi zawsze problem konwersacji w zakładzie. Czy trzeba będzie gadać? A jeśli tak, to o czym? Polityka absolutnie nie wchodzi w grę, gdyż w użytku są ostre narzędzia tnące. Mimo to pożycie dobrze się układa i choć do zwierzeń nie dochodzi, to pan Robert jest dobrze zorientowany w rozkładzie zajęć klientów. Pełni poniekąd funkcję rodzinnej skrzynki kontaktowej. – Czy tata już wrócił z ? (tu wstawić odpowiednie miasto, kraj) – pyta syna, który właśnie w tej chwili dowiaduje się o wyjeździe ojca. – Czy ma pan już gaz miejski?

W każdym razie nasza rodzina bardzo chwali sobie obsługę fryzjerską. Nie musimy korzystać z sieciowego salonu, gdzie za każdym razem oprawką naszej głowy będzie kto inny, nie musimy tłumaczyć, jak ma wyglądać uczesanie. Fryzjer lokalny, oswojony to grunt. ©©



EKOLOGICZNY KONCEPT NA ROCZNICĘ BENTLEYA

EXP 100 GT. Tak nazywa się sportowe auto, które powstało, aby uczcić 100. rocznicę powstania brytyjskiego producenta samochodów luksusowych.

Nowoczesny Grand Tourer jest w pełni autonomiczny, a jego napęd w 100 proc. elektryczny. Aby zadowolić wymagania ekologów, EXP 100 GT ma też wewnątrz wyłożone haftowaną bawełnianą tkaniną, która jest odnawialna i biodegradowalna. Za to, aby wszystko było nie tylko „eko”, lecz także najwyższej jakości, odpowiadają takie firmy jak Gainsborough czy Hand & Lock, które od lat dostarczają wyroby dla Jej Królewskiej Mości. Podłogę luksusowego EXP 100 GT wyłożono

wykładziną dywanową wyprodukowaną przez istniejącą od XVIII w. firmę Grosvenor Wilton z wełny brytyjskich owiec. Zamiast skórzanej tapicerki w koncepcie Bentleya zastosowano Copper Infused Riverwood, czyli w 100 proc. organiczny materiał skóropodobny, który powstał jako produkt uboczny przy produkcji wina. Nawet lakier zastosowany na niektórych elementach nadwozia powstał według producenta w wyniku recyklingu łusek ryżu. Bentley nie wspomina o szczegółach napędu, a także o tym, ile ton butelek zwrotnych trzeba by dostarczyć do skupu, aby móc jeździć tego typu ekologicznym cackiem, jeśli trafiłoby ono do masowej produkcji.



RAJ DLA PIESZYCH

Strefy ograniczonej prędkości „Tempo 30” stają się coraz popularniejsze. Zdaniem ekspertów przyczyniają się bowiem nie tylko do zmniejszania liczby wypadków, lecz także do ograniczenia poziomu hałasu, zmniejszenia stężenia spalin oraz... szybszego udrożnienia zakorkowanych ulic. Jak pokazują szwedzkie badania, w godzinach szczytu w tego typu strefach jeździ się bowiem szybciej niż w miastach, w których teoretycznie można poruszać się z prędkością 50 km/godz.

Władze hiszpańskiej Pontevedry – miasta liczące ponad 80 tys. mieszkańców – poszły jeszcze dalej i przyjęły przepisy ograniczające maksymalną prędkość pojazdów poruszających się po ścisłym centrum miasta do zaledwie 10 km/godz. Dziesięć lat wcześniej w mieście wprowadzono pierwsze strefy ograniczonej prędkości. Decyzja ta sprawiła, że liczba wypadków drogowych w ciągu dekady spadła aż o 90 proc. Miasto nazywane jest zaś „rajem dla pieszych”.

W Polsce decyzję o powiększeniu strefy „Tempo 30” podjęły niedawno m.in. władze Katowic.

NOWY MOTORYZACYJNY GIGANT

Zarządy Fiat Chrysler Automobiles (należą do niego m.in. takie marki jak Alfa Romeo, Chrysler, Dodge, Fiat, Jeep, Lancia, Maserati oraz RAM) oraz grupa PSA (należą do niej takie marki jak Peugeot, Citroën, DS, Opel oraz Vauxhall) zatwierdziły plan stworzenia nowego giganta motoryzacyjnego. W wyniku fuzji powstanie spółka o wartości ponad 50 mld dol. Będzie to jednocześnie czwarty producent na świecie pod względem liczby sprzedawanych samochodów. Pierwsze zajmuje obecnie koncern VW, drugie Toyota, a trzecie Renault-Nissan. Fuzja ma przynieść ok. 3,7 mld dol. oszczędności rocznie, a klientom dać możliwość wyboru z szerszej gamy pojazdów. © ©

Jacek Przybylski



PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

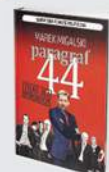
WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ
DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI



W PREZENCIE

PAKIET ROZPRAW POLITYCZNYCH

„Lech Kaczyński. Odwaga i wizja”
„Rewolucja Franciszka”, „Paragraf 44”
„Sanacja czy demokracja”



~~693~~ zł



243,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
450** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Apologia pro Studnicki

Władysława Studnickiego (1867–1953) považala większość elit politycznych II RP, co nie oznaczało akceptacji jego poglądów. Tak było do ostatnich jego dni. Rozmawiało i korespondowało z nim wielu naszych najwybitniejszych polityków na uchodźstwie, by wymienić tylko Sosnkowskiego, Matuszewskiego, Bieleckiego, Zaleskiego...

Jego bogaty życiorys – zsyłka na Sybir, wędrówki partyjno-środkowe od II Proletariatu przez socjalistów i endecję do proniemieckiego aktywizmu podczas I wojny światowej, kariery urzędnicy w II RP (w latach 1919–1930 pozostawał w służbie państwowej, w tym m.in. w MSZ) i rolę solisty-publicysty – był podporządkowany tylko jednemu celowi: znalezieniu sposobu rozbicia Rosji, a później Sowietów! No właśnie, jego stała i konsekwentna orientacja proniemiecka była jedynie wypadkową antyrosyjskości i antysowietyzmu. W geopolitycznych szachach i własnych rachubach postrzegał niepodległą Polskę jako gwaranta podtrzymującego napięcie i konflikt między Niemcami a Rosją (Sowietami). Moim zdaniem nie zawsze miał rację. Wystarczy odwołać się tylko do przykładu z I wojny światowej,

kiedy to orientacja Dmowskiego na Rosję była przecież kalkulacją obliczoną na klęskę Niemiec, które chociażby przez to (ale nie tylko) nie mogą być jakimkolwiek gwarantem naszej niepodległości, jak chciał z kolei Studnicki. Inaczej było w przededniu II wojny światowej. Wówczas to Studnicki się nie mylił!

Całkiem przypadkiem, przeglądając ostatnio papiery Oddziału II SG (WBH CAW sygn. I.303.4.4765), ponownie natknąłem się na lekturę memoriału Studnickiego z 5 maja 1939 r. skierowanego do „szczupłego grona wpływowych mężów stanu” z wyłączeniem premiera Sławoja Felicjana Składkowskiego, którego „premierostwo uważał za obelgę dla narodu polskiego”. Moje spotkanie po latach z tym tekstem (który w 1995 r. z inicjatywy prof. Andrzeja Piskozuba został opublikowany jako aneks do „Tragicznych manowców” Studnickiego) zbiegło się z szaleństwem chóralnego potępienia Studnickiego i usunięciem jego książki z konkursu Książka Historyczna Roku (formalnie jako antysemitki) przez pseudonazwówców jego twórczości i rzeczników dziwacznie pojmowanej „polityki historycznej”. Nieważne. Istotna jest treść memoriału – podkreślam raz jeszcze: z 5 maja 1939 r. – w którym czytamy m.in.: „Wypowiedzenie przez Hitlera paktu o nieagresji z Polską jest bezwarunkowo groźnym objawem. Jest on wynikiem deklaracji angielskiej i polskiej na nią odpowiedzi. Polska deklarująca się do obozu angielskiego, do wojny po stronie Anglii przeciwko Niemcom, będzie prawdopodobnie zaatakowana przez Niemcy. Gdy bowiem ma się nieprzyjaciela na obu frontach, likwiduje się najpierw słabszego, a w danym wypadku słabszym jesteśmy my. Na zachodzie może być wojna tylko pozycyjna wobec fortyfikacji francuskich i niemieckich, a w Pol-

sce wojna ruchoma; pierwsza jest z natury przewlekłą, druga dąży do szybkiego rozstrzygnięcia”;

„Gdy dla pomocy militarnej armia rosyjsko-sowiecka zajmie prawy brzeg Wisły i nasze ziemie wschodnie, gdzie jest tyle pierwiastków, na których może się oprzeć, wówczas jeżeli nieprzyłączenie całej Polski do Rosji Sowieckiej, to wszystkich ziem za Sanem i Bugiem stanie się więcej niż prawdopodobnym”;

„Jeżeli Niemcy zostaną zwyciężeni przy kooperacji koalicji z Rosją Sowiecką, musi ona być wynagrodzona, a może być wynagrodzona tylko naszym kosztem”;

„Wielka Brytania w swej prasie, wystęпах parlamentu stale uważa osiągnięcie przez nas ziem wschodnich za jakiś imperializm, karygodny, jak wszystkie imperializmy nieangielskie. Idea granicy Curzona: Białostok, Brześć jest w wysokim stopniu zakorzeniona w Anglii. Z czystym sumieniem będą oddawali nasze wschodnie dzielnice”.

Dopiero ponad trzy miesiące później Niemcy zawarły z Sowietami pakt wspólnej likwidacji Polski. Hitler i Stalin wykończyli „najpierw słabszego”. Po 1 i 17 września trwała na Zachodzie „dziwna wojna”. Francja padnie w 1940 r., a pięć lat później Anglia „odda nasze wschodnie dzielnice” i „wynagrodzi tylko naszym kosztem” Sowietom. Większość naszych elit zostanie zgłodzona przez Niemców i Sowietów. Polska utraci niepodległość. I na zawsze swoją kresową tożsamość.

Cała reszta – potępienych zaklęć, administracyjnych zakazów, wyzisk i stygmatów rzucanych obecnie na Studnickiego i jego obrońców nie ma znaczenia. No może poza jednym – jest świadectwem bezradności wobec tragicznego profetyzmu profesora, który był mądry przed szkodą. Takich się w Polsce szczególnie nie lubi. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Paznokciec niezgody

Przypomnę, że jako samozwańczy Wergiliusz, który tu, na łamach, oprowadza państwa po boskim, a nieznanym polskiej inteligencji, fascynującym świecie, którego istnienia pogrążona w Dantem i innych takich inteligencja nawet nie przeczuwa, w minionym tygodniu przybliżyłem państwu postać Mini Majka, karła, który walczył w MMA, wywołując tym piekielną dyskusję. Dzisiaj kolejna część przewodnika po – dla państwa – „terrainkognitach”: dziś skupimy się na paznokciu.

Tak, tak, na paznokciu, który rozgrzał do czerwoności tę gigantyczną część społeczeństwa, która kierowana troską i empatią, a lubiącą z pobudek prawie naukowych wgapić się w cudze życie, w paznokciu owym dostrzegła dezynwolturę. Czy jednak słusznie? Nie chodzi tu o byle jaki paznokieć, rzecz jasna. Paznokieć należy do Dżołany Krupy. A Dżołana Krupa jest top modelką i jest piękna, co wśród modelek zdarza się jeszcze, ale rzadko. Dżołana urodziła otóż córeczkę, której dała na imię Asha Leigh. Wątek tego imienia być może podejmę w przyszłym tygodniu, gdyż w tym tygodniu będę tym zbyt zszokowany.

Tu chodzi o paznokieć i na nim się skoncentrujemy. Otóż w czasie porodu Dżołana miała paznokieć pomalowany. Widziałem na zdjęciach, był w kolorze ładnym. I Dżołana pokazała zdjęcia z tą piękną córeczką i z tym paznokciem, i się zaczęło. Otóż okazało się, że

istnieje na świecie pulsoksymetr (taka pani, która się zna, ujawniła to w Internecie). I on jest niezbędny kobietom rodzącym, gdyż zakłada się go na palucha. I ten pulsoksymetr mierzy oczywiście puls, ale po kolorze płytki paznokcia on odczytuje, jak jest krew natleniona i w ogóle. Pomyśleliby państwo? Jaka to technika! A jak Dżołana miała ten paznokieć pomalowany, to się nie odczyta. I się zaczęło! I jakie były wstrząsające dyskusje, jakie było oburzenie, że jak to tak można, że jakie to jest nieporadne ze strony tej pięknej Dżołany, tak się skazywać na brak informacji o paznokciowym dotlenieniu! Gdyby to było w Norwegii, to może by chcieli praw rodzicielskich pozbawić, bo Norwegowie, wiadomo, trochę są nie tego.

Osobiście absolutnie solidaryzuję się z naszą piękną Dżołaną i uważam, że wszystkie kobiety – tak jak ona – powinny rodzić właśnie z paznokciami zrobionymi, z pełnym makijażem w takiej jak ona prywatnej klinice, w której są prywatne jacuzzi do pokoju i specjalni kucharze (czy NFZ mnie słyszy?). A nawet poszedłbym dalej, w szpilkach Christiana Louboutina, bo przecież piękne buty chyba po bokach przy porodzie nie przeszkadzają? Nadmienię na koniec, że ja sam jednak paznokci nie maluję, bo to jednak nigdy nic nie wiadomo. A pani Dżołano z serca gratuluję i niech się pani nie przejmuję tymi, co o pani paznokciach wypisują. Pewnie nic ważnego nie mają w tych głowach. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Gry profesorskie

Perypetie z przyznawaniem tzw. profesury belwederskiej nie są niczym nowym. O tym, jak zagmatwane potrafią być losy choćby tytułów uczelnianych, przekonali się ostatnio Andrzej Zybertowicz i Marek Migalski. Jeśli jednak jest się znanym medialnie naukowcem, a procedura się opóźnia (choć w pierwszym przypadku nie ma żadnych ram czasowych), to zawsze można liczyć na pomoc przyjaciół. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w przypadku dr. hab. Michała Bilewicza, zajmującego się na UW „badaniem postaw antysemickich w społeczeństwie polskim”.

Otóż psycholog, znany z często kontrowersyjnych tweetów i wypowiedzi, złożył w ubiegłym roku podanie do Pałacu Prezydenckiego. I, tak jak wiele innych osób, czeka. A ponieważ czas bez odpowiedzi dłużył się niemiłosiernie, postanowił dopytać u źródła, otrzymując pismo komunikujące, że decyzja jeszcze nie zapadła. Można by było schować tę sprawę do szuflady i dać jej żyć własnym życiem, gdyby nie wsparcie portali i agencji, które dorobiły do niej całą ideologię. „Prezydent Duda wstrzymuje nominację profesorską Bilewicza. Bo badacz antysemityzmu naraził się PiS?” – zapytał Adam Leszczyński w OKO.press, nie udowadniając w felietonie swojej tezy ponad przekonanie, że skoro Bilewicz „wielokrotnie naraził się rządzącym (oraz narodowej prawicy)”, to siłą rzeczy musi być tutaj jakieś drugie dno.

Niestety, sprawa w Polsce specjalnie nie rezonowała, dlatego przyszła druga fala – tym razem zagranicznych komentarzy. I tutaj już odważniej, Katarzyna Markusz z Jewish Telegraphic Agency „poinformowała”, że „polski prezydent Andrzej Duda wycofał swój podpis pod dokumentami, pozwalającymi przyznać żydowskiemu akademikowi Michałowi Bilewiczowi tytuł profesora”, a za nią informację podała m.in. francuski „Le Monde”. Oczywiście wszystko w aurze domniemanej zemsty za poruszanie tematów tabu, szczególnie „mowy nienawiści i antysemityzmu u polskich dziennikarzy i polityków”.

Postanowiłem sprawdzić te informacje w samym Pałacu Prezydenckim. Wysłałem oficjalne pytanie o stan rozpatrywanego wniosku, postawę Andrzeja Dudy i kwestie merytoryczne. Oto jaką odpowiedź otrzymałem: „Sprawa Pana dr. hab. Michała Kamila Bilewicza nie trafiła jeszcze na biurko Pana Prezydenta. Wniosek zostanie przekazany po wyjaśnieniu wszystkich wątpliwości, które pojawiły się na etapie przygotowania wniosku do przedstawienia Panu Prezydentowi. Kwestie te były wyjaśniane z Centralną Komisją ds. Stopni i Tytułów, do której Kancelaria Prezydenta RP zwracała się w sprawie już trzykrotnie”. Czyli ani nikt podpisu nie wycofał, ani nie czeka biernie, ani nie represjonuje. Przypomnę tylko, że Michał Bilewicz dostał niedawno grant z Ministerstwa Nauki na 2 mln zł. Cóż, lekko nie ma. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Dotknięty

SZYMON HOŁOWNIA: *Raz jeden z księży próbował przekroczyć moje granice, nie bardzo wiem nawet, o co mu chodziło, chyba chciał mnie objąć na pożegnanie, a może nie tylko to, w każdym razie dostał w mordę. Z tak zwanego plaskacza, przy czym odepchnąłem go też na tyle mocno, że się przewrócił na tapczan czy wersalkę, przy której stał.*

Nie bardzo wiem nawet, o co mu chodziło, chyba chciał mnie objąć na pożegnanie, a może nie tylko to – nawet wspominając to zdarzenie po latach, Szymon Hołownia nie wie, czy ksiądz, którego uderzył w twarz i popchnął tak mocno, że ten się przewrócił, miał wobec niego jakiegokolwiek nieczne zamiary, czy tylko chciał go objąć na pożegnanie. Też tak macie, że „bijecie w mordę” każdego kolegę, który was obejmuje na pożegnanie? Gdybym tak robiła w każdym przypadku, gdy ktoś mnie objął na pożegnanie – a Hołownia tylko o to oskarża księdza, zaznaczając asekuracyjnie, że mogło to być tylko niewinne i aseksualne objęcie – dawno miałabym opinię wariatki. Całkowicie zasłużoną. Tymczasem wypowiedź Hołowni bardzo się spodobała, zacytowała ją „Gazeta Wyborcza”, oklaskali internetowi komentatorzy

oburzeni, że odczytałam tę sytuację tak, jak ją opisał sam Hołownia – kolega go objął na pożegnanie, a ten go uderzył w twarz. Amerykanie mają na to specjalną nazwę – „gay panic”, a w ich systemie prawnym istnieje nawet coś takiego jak „gay panic defence”, o zakaz czego zresztą walczą środowiska prawnicze.

Jeśli ktoś nie rozumie, co jest nie tak z tą historią, to niech sobie wyobrazi, że – powiedzmy – Dominik Tarczyński opowiada w prawicowej prasie, że swojego kolegę geja, który „chyba chciał go objąć na pożegnanie”, uderzył z listwa w twarz. Myślicie, że taka wypowiedź spodobałaby się liberalnym mediom, czy raczej oskarżyliby Tarczyńskiego o agresywną homofobię? Ale to przecież Tarczyński, a tu Hołownia, na dodatek obejmującym nie był jakiś zadeklarowany cywilny gej, tylko ksiądz, którego Hołownia o gejostwo podejrzewał. A historii o molestujących księżach nigdy dosyć, więc i tę przyjmujemy z dobrodziejstwem inwentarza. Chociaż ciągle nie wiemy, co ksiądz Hołowni zrobił. Nie wiemy, bo i sam Hołownia nie wie. „Chyba chciał mnie objąć na pożegnanie”...

Gdyby wspomniany ksiądz złapał Hołownię za krocze, poklepał go po pupie albo próbował obejmować

mimo jasnego zakomunikowania mu, że Hołownia sobie tego nie życzy, byłabym pierwsza do okłasków, bo niechciane awanse seksualne są obrzydliwe i zasługują nawet na „plaskacza”. Jednak z tej relacji wcale nie wynika, że coś takiego się stało – ksiądz Hołownię objął w sposób, który po latach Hołownia sam uznaje za zwykłe pożegnanie „a może nie tylko to”, nie będąc pewnym, czy objęcie miało jakiegokolwiek podtekst seksualny. Myślę, że jedynym, co sprowokowało taką reakcję, było podejrzenie lub wiedza, że ksiądz jest gejem. Jestem pewna, że ksiądz heteroseksualista za coś takiego nie dostałby od Hołowni „z plaskacza”. Jeśli więc uznajemy przemoc fizyczną za odpowiednią karę za objęcie, którego seksualny podtekst może istnieć tylko w głowie obejmowanego i który wynikać może z jego wiedzy o homoseksualnej orientacji obejmującego, to co to o nas mówi?

Fakt, że Hołownia uderzył właśnie księdza, sprawił, że postępowcom łatwo przyszło zaakceptowanie tego, ale oznacza to w istocie zaakceptowanie założenia, że każdy kontakt fizyczny ze strony kogoś podejrzanego o homoseksualizm ma podtekst seksualny i przemoc jest akceptowalną na niego reakcją. I to trudno mi zaakceptować. ©©

PODSŁUCHANE

Prawdziwa dobra zmiana

Krystyno, ja rozmawiałem o tym z prezesem i on mi powiedział, że jeśli wejdziemy do trybunału, to musimy się zmienić. Żeby, rozumiesz, była taka gruba kreska. Że niby jesteśmy inni. Ty masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

O, kochany, ja to już bardzo dobrze przemyślałam. Przede

wszystkim znikam z tłytera i fejsika.

Ale kiedyś mi mówiłaś, że ty bez tego już nie umiesz...

Ale ty jesteś niedzisiejszy, w ogóle się nie znasz na souszajl mediach. Znikam jako Krystyna, ale zobacz tutaj: GrubyCzarek123, NiezłaDzaga18 i StefanBumbalski1 – a to nie są wszystkie moje konta.

A to tutaj? „AdrianZanbderg”?

Ten numer to mi Tarczyński pokazał: zakładasz konto pod niby czymś nazwiskiem i tylko

dwie literki przekreślasz. Ludzie myślą, że to on, a to nie on, ale przyklepić się nie można. Więc ja tu będę różne rzeczy pisać, żeby kompromitować lewactwo. Ha ha, w piąty im pójdzie, tym lewackim łbom zakutym!

A jak się prezes dowie?

Nie dowie się. Prezesowi się myli tłyter z mejlem. A ty masz jakiś pomysł na zmianę?

No... Na razie tylko wymyśliłem, że zgolę wąsy... ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie ma feminizmu bez weganizmu!!!”.

SYLWIA SPUREK, europosłanka, na Twitterze

Kandydat na prezydenta?

Przez minione trzy dekady miałem jasną wizję w kwestii wyzwolenia. No, może nie przez całe trzy, ale prawie trzy. Prawie, bo przez pierwsze lata pierwszej dekady (1988–1990) uważałem, iż z komunistycznej opresji uwolnili mnie konspiratorzy należący do tajemnej tajni MSW, notabene ci sami (mniej więcej), którzy w tym samym czasie (lata 80–e) uwolnili mnie od okowów małżeńskich spiskując z moją żoną. Później jednak (pierwsza połowa lat 90–ych) usłyszałem gromki głos człowieka, który zapewniał społeczeństwo, że to on sam, „własnymi rękami”, wyzwolił „te Polskie” od klątki komunizmu, zrywając łańcuchom prokremlowskie kajdany, uświadomiłem sobie więc, że wyzwolił mnie Lech Wałęsa, trójmiejski proletariusz skaczący motorówką przez płot, wygrywający w Lotka i w Nobla autentyczny bohater narodowy, godny kultu ikonizacyjnego. Co prawda nim minęła pierwsza dekada obecnego stulecia ukazał się (2008) 750–stronicowy wolumin dwójki lustracyjnych historyków (Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka), pełen dokumentów mówiących, że Lech Wałęsa był esbeckim szpiclem, jednak w kolejnej dekadzie „Lechu” poinformował współobywateli, iż wszystkie te papierkowe „kwity” to fałszyfikaty — podróbki zmagistrowane przez fałszerski gang oszczerców (Cenckiewicz i spółka). Mogłem tedy odetchnąć z ulgą, karmiąc się kojącym przekonaniem, że „gdański elektryk” zawsze nosił w kłapie Matkę Boską Częstochowską, a nie znaczek wiadomego „resortu”.

Głęboką pewnością co do tego, iż wyzwolenie antykomunistyczne zawdzięczam noblistom z Gdańska, miałem jeszcze przed paroma miesiącami, ale właśnie wtedy (druga połowa 2019 roku) ta pewność mi się zachwiała, bo przeczytałem dwa teksty, które mną wstrząsnęły. Pierwszy wyszedł spod pióra lewicowca Antoniego Szpaka na łamach salonowej „Angory”, co jest o tyle znaczące, że Salon przecież wspiera Wałęsę jako ojczyźnianego herosa, tymczasem Szpak pisze tak: „*Sluchając Wałęsy, tego co on wygaduje, odnosi się wrażenie, że jego kora mózgowa nie ma żadnego kontaktu z aparatem mowy (...) Dłuższe obcowanie z posiadaczem licznych doktoratów honoris causa, tudzież słuchanie jego wywodów, nieuchronnie prowadzi do wściekłości mózgu. Wałęsa potrafi też być niebывale komiczny, szczególnie gdy wciela się w mesjasza i zaczyna snuć opowieści o zbawieniu przez Ojczyznę (...) Stał się niedoścignionym mistrzem obciachu, zenady i autodestrukcji — zniszczył swoją legendę i stał się parodią siebie samego*”. Zaś drugi tekst, który mną wstrząsnął, to pisemne świadectwo księdza Alojzego Orszulika, uczestnika kluczowych negocjacji pomiędzy komunistami

mi (PZPR), „Solidarnością” i Kościołem (czerwiec oraz lipiec roku 1989, w Sekretariacie Episkopatu Polski i w willi MSW przy ul. Zawrat) — że Wałęsa uporczywie lansował wówczas szefa czerwonej bezpieki, generała Kiszczaka, na prezydenta RP!

Wstrząśnięty (ale nie zmieszany) tymi inseratami o „Bolku” — pojąłem, iż to chyba nie on wyzwolił z komunizmu mnie i resztę społeczeństwa. Lecz jeśli nie on — to kto? W końcu czerwony totalitaryzm nie obalił się sam, musiał tego dokonać jakiś bohater z rodzaju baśniowych Wyrwidębów. I jak na zawołanie — bo „*natura nie znosi próżni*” — nowy heros się znalazł. Jest nim — co ogłosił periodyk „**Uważam Rze — HISTORIA**” — dzisiejszy magnat prasowy Grzegorz Hajdarowicz, za PRL-u aktywny bojownik czynnego ruchu oporu przeciwko despotacji komuszej. Ten sam, który kilka lat temu, knując z „prawą ręką” Tuska, Pawłem Grasiem, wykonał pod dyktando Salonu koronkową robotę przejścia „**Rzeczpospolitej**” i „**Uważam Rze**” dla spacyfikowania (a właściwie odwrócenia) ich kontrsa-



Antoni Gorecki („Zera”):

„*Szanujcież,
kiedy macie, ludy,
bohatera!*”



lonowości/antypolitpoprawności, czyli dla ich zdeprawiczenia. Prawicowi żurnaliści, wysadzeni wówczas z etatów, dali mu miano: „*hajdabomber*”, będące ksywką ewidentnie pejoratywną, podczas gdy Salon go błogosławił.

W numerze 9/2019 (czyli wrześniowym) „**Uważam Rze — HISTORIA**” naczelny redaktor tego miesięcznika, Paweł Łepkowski, przeprowadził osobiście duży (kilkukolumnowy) wywiad ze swoim bossem (konkretnie: swoim pracodawcą), rzeczonym Grzegorzem Hajdarowiczem. Wywiad jest przez Łepkowskiego robiony na kolanach, a momentami nawet na brzuchu (i wtedy mamy klasyczne czołganie). Pytania zaczyna się w ten sposób: „*Skąd taki talent? Czy to cecha dziedziczna w pańskiej rodzinie?*”, natomiast stwierdzenia, którymi prowadziwy, „*interview*” komentuje odpowiedzi Hajdarowicza, brzmią tak: „*I to tłumaczy pański sukces*”. Biskup Ignacy Krasiński (Wiek Oświecenia):

„*Bo od czegoż lizusy?
Stąd też, jak na smyczy,
Szedł chwalca za chwalonym,
Zysk niosąc w zdobycy.
Ten gardził, ale płacił...*”

Odpowiadając na naprowadzające (ku heroizmowi) pytania Łepkowskiego, Hajdarowicz peroruje, iż czynną walkę z „*komu-*

na” wznicił wkurzony „*stanem wojennym*” zaprowadzonym przez juntę Jaruzela. Właśnie czynną (fizyczną, uliczną), a nie głośną, gabinetową, pacyfistyczną, jaką uprawiała wówczas rozmaite organizacje dysydenckie. W tym celu zaczął organizować „*jako przywódca*” grupę bojowo-szturmową, złożoną „*z osób, które nie chciały biernie czekać na rozwój wydarzeń, ale pragnęły walczyć z ustrojem, którego [pisownia oryginalna] nienawidziłyśmy*”. Postanowiliśmy działać (...) Mówiąc po męsku, szukaliśmy gości z jajami, którzy chcą działać”. Łepkowski komentuje te wynurzenia również po męsku: „*Wybrał pan najbardziej konfrontacyjny kierunek działania*”. A pan Hajdarowicz na to bez fałszywej skromności: „*Mnie rozpieiera energia. Nie interesowała mnie współpraca z ludźmi zamierzającymi zmieniać rzeczywistość modlitwą (...) Ja byłem przeciwnikiem tego całego pacyfistycznego podejścia. Zawsze uważałem, że jak działać, to działać, albo w ogóle nie działać (...) Działaliśmy zdecydowanie, wręcz agresywnie, no ale ja bardzo nie lubię działań delikatnych. Krótko mówiąc, skoro mieliśmy uwalniać cały ten komunizm, to trzeba było zrobić to siłą*”. Mocne!

Walczenie siłą wymaga broni. Hajdarowicz postawił na siłę proc: „*W jednej akcji byliśmy w stanie przetrzymać kilkudziesięciu zomowców, bo nas gaz nie łamał, a oni sami wcale nie mieli odwagi podejść do gościa, który strzela kulką z procy (...) Było też kilka mocnych akcji, gdy coś podpalaliśmy (...) Podpaliliśmy komisariat w czasie demonstracji w okolicach Arki w Krakowie-Bieńczycach (...) Poza tym powiem nieskromnie, że ja byłem naprawdę beczelnie odważny. No, przyznam się, że parę razy byłem aresztowany...*” Itd., itp.

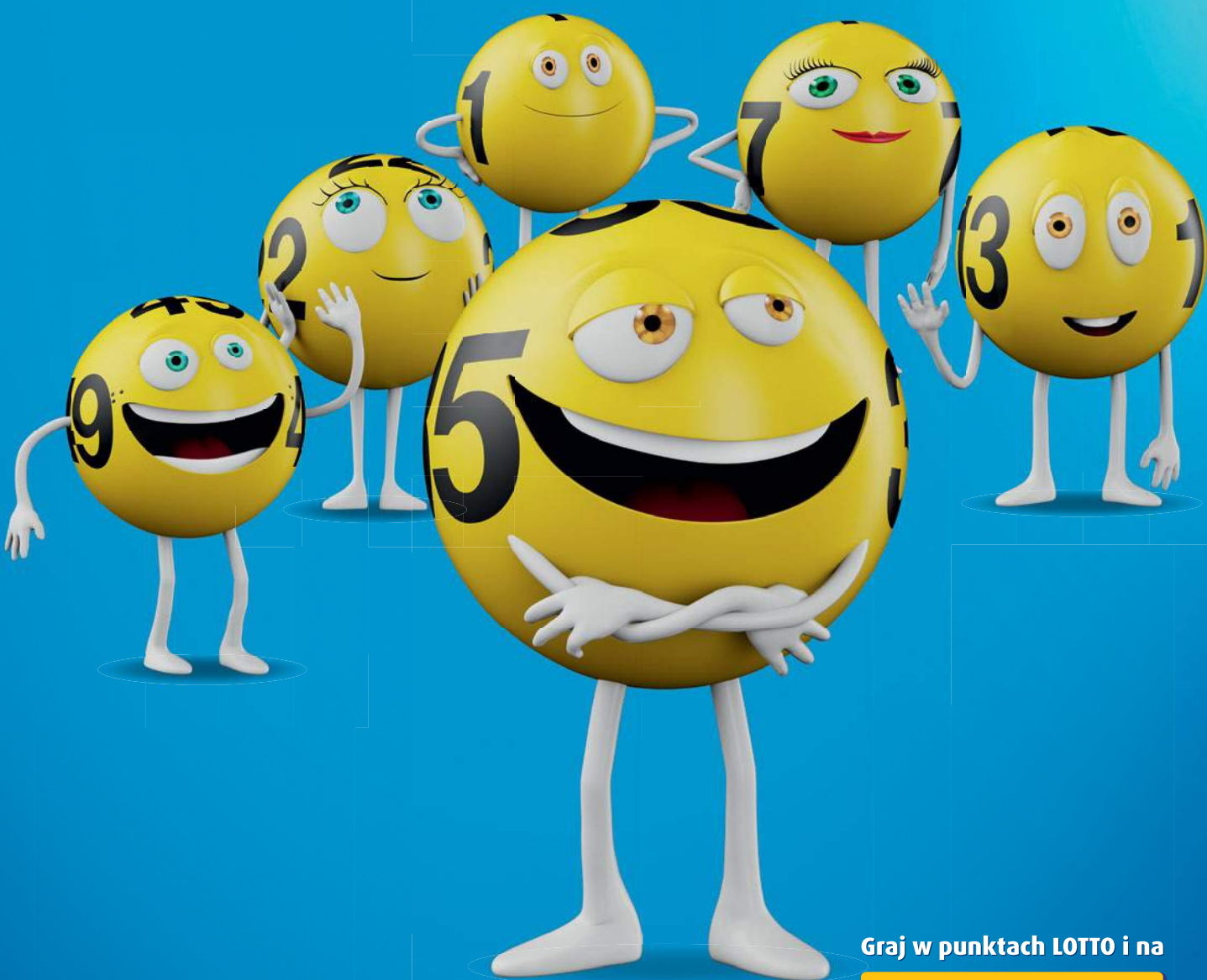
Teraz już wiem komu się udało „*uwalniać cały ten komunizm*” za pomocą kulek z proc. Nie Lechowi Wałęsie, tylko Grzegorzowi Hajdarowiczowi. On jest narodowym bohaterem — on mnie wyzwolił trzy dekady temu. Cześć i chała, pardon: chwała, tytanie! walki z opresją totalitarną! Wzniesmy mu pomniki, i to zaraz! ☺

Waldemar Łysiak

P.S. Historycznemu magazynowi wydawanemu przez „**Uważam Rze**” sekundują (niskim poziomem, nierzadko bredzeniem) inne tego rodzaju czasopisma. W neoendeckim miesięczniku „**HISTORIA NA WEEK-END**” (9–10/2019) konfederata Grzegorz Braun był łaskaw wskazać jako jedną kontrolną siłę dwie zblatowane rodziny proinsurekcyjnych „*wieszców*” (sic!): rodzinę Michników (wymienił Helenę i Adama) oraz rodzinę Łysiaków (wymienił Waldemara i Tomasza), a redakcja periodyku wyjęła ów passus z tekstu Brauna i wydrukowała olbrzymią (nieomal plakatową) czcionką pośrodku 10–stronicowego (sic!) artykułu.



MILIONY KRĘCĄ KAŻDEGO



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl